

Robert Sheckley

Obywatel Galaktyki

Tytuł oryginału Citizen In Space

Przekład Marek Pałcinski Marek Rudnik

The Mountain Without a Name

Góra Bez Imienia

Gdy Morrison opuszczał namiot dowództwa, Dengue, obserwator, spał z otwartymi ustami, rozciągnięty w płóciennym fotelu. Morrison nie zadał sobie trudu, by go obudzić. Miał wystarczająco dużo własnych zmartwień.

Musiał przyjąć delegację tubylców. Byli to ci sami idioci, którzy walili w bębny na otaczających obóz urwiskach skalnych. Potem zaś miał nadzorować zniszczenie Góry Bez Imienia. W tej chwili był tam już jego zastępca, Ed Lerner. Jednak wcześniej Morrison zamierzał jeszcze zająć się wypadkiem, który ostatnio miał miejsce.

Gdy przemierzał obóz roboczy, mijało właśnie południe; korzystając z przerwy na lunch, robotnicy jedli kanapki i popijali kawę, oparci o swe olbrzymie maszyny. Wyglądało to w miarę normalnie, jednak Morrison już dostatecznie długo był szefem robót przy rekonstrukcji planet, by umieć rozpoznać niepokojące oznaki. Nikt nie chwycił go za rękawy, nikt nie próbował zagadywać. Siedzieli po prostu na zapyłonej powierzchni planety, w cieniu swoich wielkich maszyn, jakby spodziewali się kolejnego incydentu.

Tym razem zniszczeniu uległ duży niwelator terenu firmy Owen. Stał teraz przekrzywiony na złamanej osi, tam, gdzie pozostawiła go brygada awaryjna. W szoferce siedziało dwóch kierowców, czekając na Morrisona.

— Jak to się stało? — spytał podchodząc do nich.

— Nie mam pojęcia — odparł główny kierowca, ścierając z powiek kropelki potu. — Miałem wrażenie, jakby droga umknęła nam spod kół. Tak jakby nagle obróciła się na bok.

Morrison chrząknął i kopnął w olbrzymie przednie koło niwelatora. Ta maszyna była tak skonstruowana, że mogłaby spaść z sześciu metrów na litą skałę i wyjść z tego bez najmniejszego zadrapania. Niwelatory Owena należały do najodporniejszych maszyn, jakie kiedykolwiek zbudowano.

A teraz już pięć z tych, które mu przydzielono, było niesprawnych.

— Nic w tej robocie nie może iść normalnie — oznajmił kierowca-pomocnik, tak jakby to wszystko wyjaśniało.

— Stajecie się kompletnie beztroscy — powiedział strofująco Morrison. — Nie możecie tutaj kierować tym sprzętem tak, jak na Ziemi. Z jaką prędkością jechaliście?

— Piętnaście kilometrów na godzinę — odpowiedział główny kierowca.

— I ja mam w to uwierzyć? — spytał z przekąsem Morrison.

— Ależ to prawda! Droga przed nami tak jakby opadła...

— Taaa... — skonstatował dyrektor. — Kiedy wreszcie dotrze do waszych pustych czaszek, chłopaki, że nie jesteście na autostradzie do Indianapolis? Obcinam wam po pół dniówki.

Odwrócił się i poszedł w swoją stronę. Na pewno byli teraz na niego wściekli. Ale to dobrze, bo uczucie irytacji powinno odwrócić ich uwagę od tego, co działo się na planecie.

Właśnie ruszał w stronę Góry Bez Imienia, gdy radiooperator wychylił się ze swojego baraku i zawołał:

— To do ciebie, Morrie! Ziemia.

Morrison wziął słuchawkę. Mimo pełnego wzmocnienia ledwie był w stanie rozpoznać głos pana Shotwella, prezesa rady nadzorczej koncernu Stal Pozaziemska. Shotwell pytał:

— Co was wstrzymuje?

— Wypadki — odrzekł Morrison.

— Kolejne wypadki?

— Obawiam się, że tak, sir.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. W końcu Shotwell zadał pytanie:

— Ale dlaczego, Morrison? To przecież jedna z najłatwiejszych planet w naszym wykazie robót. Czy nie jest tak?

— Tak, sir — potwierdził bezwiednie Morrison. — Mieliśmy tu jednak serię pechowych wydarzeń. Ale poradzimy sobie.

— Mam nadzieję — stwierdził Shotwell. — Chciałbym mieć pewność, że tak będzie. Siedzicie tam już prawie miesiąc i nie zbudowaliście jeszcze żadnego miasta, kosmoportu ani nawet autostrady! Pojawiły się już pierwsze ogłoszenia i reklamy.

Ludzie pytają nas o szczegóły. Wielu chce się osiedlić na tej planecie, Morrison! Przedsiębiorstwa komercyjne i usługowe chcą tam założyć swoje przedstawicielstwa.

— Wiem o tym, sir.

— Z pewnością. Jednak do tego potrzebna jest zagospodarowana planeta, osadnicy zaś domagają się ustalenia definitywnej daty przeprowadzki. Jeśli my nie będziemy w stanie tego zrobić, uczyni to General Construction albo koncern Ziemia–Mars, albo Johnson i Hearn. Planety nie są aż tak rzadkim towarem. Rozumie pan to, prawda?

Od czasu gdy zaczęły się wypadki, nastrój Morrisona był mocno zwarzony. Teraz nagle

ekspłodował:

— Czego, do diabła, pan chce ode mnie?! — krzyknął. — Czy uważa pan, że coś zmyślam?! Może pan wziąć ten swój zawieszony kontrakt i wsadzić go...

— No, dobrze już, dobrze — powiedział pośpiesznie pan Shotwell. — Nie miałem na myśli nic osobistego, Morrison. Wierzymy, wiemy, że jest pan najlepszy w dziedzinie konstrukcji planetarnych. Jednak akcjonariusze...

— Zrobię, co w mojej mocy — odpowiedział Morrison i odłożył słuchawkę.

— Ostro, ostro — wymamrotał radiooperator. — A może akcjonariusze zechcieliby zjawić się tutaj ze swoimi małutkimi szpadelkami?

— Zapomnij o tym — odrzekł Morrison i wybiegł z baraku.

Lerner czekał na niego w Punkcie Kontrolnym Able, patrząc ponuro na masyw góry. Była wyższa niż ziemski Mount Everest, a śnieg w wyższych partiach zbocza połyskiwał różowawo, odbijając przedwieczorne światło słońca. Ta góra nigdy nie została nazwana.

— Czy założyliście już wszystkie ładunki? — zapytał Morrison.

— To potrwa jeszcze kilka godzin — odrzekł z wahaniem Lerner, niewysoki, ostrożny, siwiejący człowiek. Oprócz tego, że pełnił funkcję zastępcy Morrisona, zajmował się też amatorsko ekologią. — To najwyższa góra na planecie — dodał. — Czy nie mógłbyś jej zachować?

— Nie ma takiej możliwości. To miejsce ma kluczowe znaczenie. Właśnie tutaj ma powstać port oceaniczny.

Lerner skinął głową i obrzucił górę wzrokiem pełnym żalu.

— Naprawdę szkoda — powiedział. — Nikt nigdy jeszcze się na nią nie wspinał.

Morrison odwrócił się gwałtownie i utkwiał pełen wściekłości wzrok w swoim zastępcy.

— Posłuchaj, Lerner — powiedział. — Zdaję sobie sprawę z tego, że nikt jeszcze nie wspinał się na tę górę. Uświadamiam sobie, że zniszczenie jej będzie miało wymowę symboliczną. Jednak wiesz równie dobrze jak ja, że to jest nieuniknione. Po co w takim razie rozdzierać szaty?

— Nie zamierzałem...

— Moja praca nie polega na podziwianiu krajobrazów. Nienawidzę naturalnych krajobrazów. Moja robota to przekształcenie tego miejsca tak, by spełniało specyficzne wymagania ludzkich istot.

— Jesteś dość nerwowy — zauważył Lerner.

— Po prostu skończ z tymi chytrymi wycieczkami pod moim adresem.

— W porządku.

Morrison wytarł spocone dłonie w nogawkę spodni. Uśmiechnął się nieśmiało, przepraszająco, po czym powiedział:

— Wracajmy do obozu, żeby sprawdzić, co zamierza zrobić ten cholerny Dengue.

Odwrócili się na pięcie i odeszli. Lerner, rzuciwszy okiem wstecz, zobaczył czerwony kontur Góry Bez Imienia, odcinający się wyraźnie na tle nieboskłonu.

Sama planeta również pozbawiona była nazwy. Niewielka społeczność tubylców nazywała ją Umgcza lub Ongdża, ale nie miało to specjalnego znaczenia. Planeta miała pozostać bezimienna, dopóki specjaliści od reklamy z koncernu Stal Pozaziemska nie wynajdą dla niej oficjalnego miana. Powinno ono usatysfakcjonować pod względem semantycznym parę milionów potencjalnych osadników z zatłoczonych planet wewnętrznych. Do tego czasu zaś określano ją prowizorycznie jako Zlecenie 35. Na razie znajdowało się tu parę tysięcy wyposażonych w maszyny ludzi, którzy na rozkaz Morrisona mogli zdmuchiwać z jej powierzchni masywy górskie, tworzyć w ich miejscu równiny, przenosić całe potężne lasy, zmieniać bieg rzek, roztopiać czapy lodowe wokół biegunów, kształtować kontynenty, złobić dna nie istniejących jeszcze mórz, jednym słowem czynić wszystko, by Zlecenie 35 stało się kolejnym przytulnym domem, spełniającym wymogi cywilizacji technologicznej stworzonej przez gatunek Homo sapiens.

Dziesiątki planet zostało przekształconych zgodnie z ziemskimi standardami. Zlecenie 35 nie powinno przedstawiać jakichś szczególnych problemów dla pracujących tu ekip. Było to spokojne miejsce, pełne cichych lasów i łagodnych pagórków, ciepłych mórz i falistych łańcuchów górskich widocznych na horyzoncie. Jednak coś było nie tak na tej nudnej planecie. Zdarzały się tu wypadki, których ilość przekraczała wszelkie statystyczne średnie, zaś zdenerwowani ludzie z obozu powodowali reakcję łańcuchową, która jeszcze powiększała ich liczbę. Można powiedzieć, że wszyscy przyczyniali się do powstania tego efektu. Toczyły się ostre kłótnie pomiędzy obsługą buldożerów a specjalistami od sztucznie prowokowanych eksplozji. Kucharz dostawał histerii nad kadzią tłuczonych kartofli, to znów spaniel księgowego ugryzł w łokieć rewidenta. Z drobnych wydarzeń wynikały duże incydenty.

Robota zaś — wydawałoby się prosta — ledwie się zaczęła.

W namiocie dowództwa Dengue nie spał już, spoglądając refleksyjnie na szklanek whisky z wodą sodową.

— I co tam? — zawołał. — Jak idzie robota?

— W porządku — odpowiedział Morrison.

Nie miał żadnej władzy nad Dengue'em i jego odżywkami. Rządowe przepisy dotyczące inżynierii

planetarnej zastrzegaly, że obserwatorzy z innych przedsiębiorstw mogą być obecni podczas realizacji każdego projektu. Miało to na celu wzmocnienie stworzonej przez specjalną komisję zasady „współdziałania w dziedzinie metod” w zakresie sposobów pracy na planetach. Jednak w praktyce obserwatorzy poszukiwali nie ulepszonych metod, lecz ukrytych słabości, które ich własne przedsiębiorstwa mogłyby wykorzystać. Jeśli zaś obserwator potrafił doprowadzić szefa robót z konkurencyjnej kompanii do nerwowej drżączki, tym lepiej był widziany przez swoich mocodawców. Dengue był ekspertem w tej dziedzinie.

— I do czego zabieracie się teraz? — spytał Dengue.

— Likwidujemy górę — odparł Lerner.

— Świetnie! — wykrzyknął Dengue, wyprostowując się w fotelu. — Tę dużą? — Rozłożył się swobodnie na oparciu i rozmarzonym wzrokiem zaczął wpatrywać się w sufit. — Ta góra była tu już, gdy człowiek grzebał w kurzu w poszukiwaniu larw owadów i dojadał resztki po tygrysie szablozębnym. Boże, ona jest nawet starsza! — Dengue roześmiał się radośnie i pociągnął łyk swojego drinka. — Góra trwała już na morskim brzegu, gdy człowiek, mam na myśli nasz szacowny gatunek homo sapiens, był jeszcze meduzą, próbującą zdecydować się, czy chce zamieszkiwać ocean, czy też stały ląd.

— W porządku — przerwał mu Morrison. — Wystarczy!

Dengue rzucił w jego stronę przenikliwe spojrzenie.

— Ależ Morrison, jestem z ciebie dumny, jestem dumny z nas wszystkich. Przeszliśmy długą drogę od czasu, gdy byliśmy meduzami. W ciągu jednego dnia możemy zniszczyć to, co natura tworzyła przez miliony lat. Możemy rozerwać tę śliczną górkę na strzępy i zastąpić ją betonowo-stalowym miastem, którego gwarantowana trwałość wynosi jeden wiek!

— Zamknij się! — warknął Morrison, ruszając ku niemu z poczerwieniałą z wściekłości twarzą. Lerner, powstrzymując go, położył mu dłoń na ramieniu. Uderzenie obserwatora było najlepszym sposobem na to, by zostać odprawionym z kwitkiem ze swojego stanowiska.

Dengue dokończył drinka i zaczął patetycznym tonem:

— Zejdź nam z drogi, Matko Naturo! Zadrzyjcie, prastare skały i wzgórza, zagrzmij z lęku, nieśmiertelny oceanie, aż do swych najmroczniejszych głębin, gdzie diabelskie potwory suną bezgłośnie w ciemnościach! Ponieważ Wielki Morrison przybył tu, by osuszyć ocean i uczynić zeń spokojny staw, by wyrównać góry i zbudować na ich miejscu dwunastopasmowe superautostrady, wyposażone dodatkowo w toalety dla drzew, stoły piknikowe dla krzewów, restauracje dla skał, stacje benzynowe dla jaskiń, tablice ogłoszeń dla górskich strumieni, a także wiele innych wyszukanych fanaberii, wymyślonych przez półboskiego człowieka.

Morrison wstał gwałtownie i wyszedł z namiotu, a za nim Lerner. Czuł w tej chwili, że wręcz warto byłoby rąbnąć Dengue’a w twarz i rzucić w diabły tę całą intratną posadę. Nie mógł jednak tego zrobić, ponieważ o to właśnie chodziło temu facetowi; w tym celu został wynajęty.

Morrison zadawał sobie także w duchu pytanie, czy byłby tak zdenerwowany, gdyby w tym, co mówił Dengue, nie znajdowało się ziarno prawdy?

— Ci tubylcy wciąż czekają — oznajmił Lerner, doganiając go.

— Nie chcę się z nimi teraz widzieć — odparł Morrison. Jednak z dużej odległości, z monumentalnych górskich zboczy docierał do niego odgłos bębnow i piszczałek. Był to kolejny fakt, który budził niepokój jego ludzi. — No dobrze — zgodził się w końcu.

Przy Północnej Bramie, w pobliżu tłumacza pracującego na użytek ludzi z obozu, stało trzech tubylców. Należeli oni do humanoidalnej rasy i byli nagimi, chudymi dzikusami z epoki kamienia łupanego.

— Czego chcą? — spytał Morrison.

— Cóż, panie Morrison, rzecz sprowadza się do tego, że zmienili zdanie — oznajmił tłumacz. — Chcą swoją planetę z powrotem i mają zamiar zwrócić wszystkie prezenty, które od nas dostali.

Morrison westchnął. Nie czuł się na siłach wytłumaczyć im, że Zlecenie 35 nie było „ich” ani w ogóle „czyjąkolwiek” planetą. Ziemia nie jest tu niczyją własnością, może być zaledwie przez kogoś zajmowana. W tym wypadku działało prawo bezwzględnej konieczności. Ta planeta w większym stopniu należała do kilku milionów ziemskich osadników, którzy mogli zrobić z niej jakiś użytek, niż do kilkuset tysięcy dzikusów, których hordy od czasu do czasu przemierzały jej powierzchnię. W każdym razie taki punkt widzenia panował w tej chwili na Ziemi.

— Więc opowiedz im znów — odezwał się Morrison — o wspaniałym rezerwacie, który pozostawiliśmy specjalnie dla nich. Zamierzamy ich karmić, ubierać, uczyć...

Od tyłu cicho podszedł Dengue.

— Zamierzamy zadziwić ich naszą szczodrością — oznajmił. — Każdemu mężczyźnie podarujemy zegarek, parę butów i wydany przez rząd katalog nasion. Każdej kobiecie szminkę do ust, mydło i zestaw prawdziwych bawełnianych firanek. Każdej wsi — dworzec kolejowy, sklep firmowy oraz...

— Teraz przeszkadzasz w pracy — przerwał mu Morrison. — I to przy świadkach.

Dengue znał reguły gry.

— Przepraszam, staruszk — powiedział, po czym wycofał się.

— Mówią, że zmienili zdanie — stwierdził tłumacz. — By wyrazić rzecz idiomatycznie, oznajmiają, że mamy wycofać się do krainy demonów na niebie albo zniszczą nas za pomocą swej potężnej magii. Ich święte bębny układają już przekleństwo na nas, duchy zaś już się zbierają.

Morrison spojrział na dzikusów z politowaniem. Coś takiego zdarzało się z reguły na każdej

planecie, na której mieszkała jakaś populacja tubylców. Zawsze pojawiały się bezmyślne groźby, wypowiedziane przez barbarzyński lud o absurdalnie rozdętym poczuciu własnych możliwości, nie mający żadnego pojęcia o ogromnej sile techniki. Znał aż nadto dobrze tych prymitywnych humanoidów. Wielkie samochwały, potężni pogromcy mieszkających w okolicy licznych gatunków królików i myszy. Od czasu do czasu kilkudziesięciu z nich mogło wziąć się na jakiegoś starego bizona, zamęczając go kompletnie przez zmuszanie do ciągłego galopu. Dopiero wtedy odważali się podejść dostatecznie blisko, by wydusić zeń życie zmasowanymi uderzeniami grotów swoich tępych włóczni.

A jaką fetę urządzali, gdy im się to wreszcie udawało! Za jakich uważali się bohaterów!

— Powiedz im, żeby zabierali się stąd w diabły — rzekł Morrison. — Powiedz, że jeśli zbliżą się do obozu, będą mogli zobaczyć trochę magii, która naprawdę działa.

— Obiecują nam wielkie kłopoty w pięciu nadprzyrodzonych dziedzinach! — krzyknął za nim tłumacz.

— Wykorzystaj to w swoim doktoracie! — odpowiedział dyrektor, a tłumacz uśmiechnął się z rozbawieniem.

Późnym popołudniem nadeszła pora zniszczenia Góry Bez Imienia. Lerner udał się tam na ostatnią inspekcję. Dengue, przynajmniej raz naprawdę pełniąc funkcję obserwatora, przeszedł po linii okopów, notując diagram rozkładu ładunków wybuchowych. Saperzy skulili się w schronach. Morrison poszedł do Punktu Kontrolnego Able.

Szefowie poszczególnych sekcji, jeden za drugim, meldowali gotowość swoich ludzi. Sekcja meteo podała najnowsze dane dotyczące pogody, stwierdzając, iż warunki do przeprowadzenia operacji są pomyślne. Fotograf zrobił ostatnie zdjęcia góry w całości.

— Zarządzam gotowość! — ogłosił Morrison przez radio, po czym usunął bezpieczniki z głównego detonatora.

— Spójrz na niebo — wymamrotał Lerner.

Morrison podniósł wzrok. Słońce miało właśnie skryć się za horyzontem i od zachodu nadeszły chmury, zakrywając niebo koloru ochry. Nad obozem zaległa cisza, nawet bębny na pobliskich wzgórzach milczały.

— Dziesięć sekund... pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... — już! — wykrzyknął Morrison, po czym wcisnął guzik detonatora. W tej samej chwili poczuł silny powiew na policzku.

Na moment przed rozpadnięciem się góry Morrison zacisnął paznokcie na guziku, chcąc jakby instynktownie powstrzymać to, co nieuniknione, ponieważ jeszcze zanim usłyszał krzyki swoich ludzi, wiedział, że eksplozja przebiegła źle, że wszystko poszło fatalnie.

Już po wszystkim, gdy ranni zostali przeniesieni do szpitala, a zabici pochowani, siedząc samotnie w namiocie Morrison podjął próbę zrekonstruowania całego wydarzenia. Był to, naturalnie, nieszczęśliwy zbieg okoliczności: nagła zmiana kierunku wiatru, nieoczekiwana kruchość warstwy skalnej położonej tuż pod powierzchnią, awaria specjalnych warstw tłumiących eksplozję, a także zatraćająca o kryminał głupota, polegająca na umieszczeniu dwóch ładunków wybuchowych tam, gdzie mogły wyrządzić największe szkody.

Oto kolejne wydarzenie z serii wypadków całkowicie nieprawdopodobnych z punktu widzenia statystyki, powiedział sam do siebie, po czym nagle wyprostował się w fotelu.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że ktoś lub coś może pomagać przypadkowi.

Oczywisty absurd! Jednak rekonstrukcja planet była delikatną i niebezpieczną robotą, polegającą na zonglowaniu potężnymi siłami. Wypadki były przy tym nieuniknione, jeśli zaś ktoś im pomagał, mogły przybrać wymiar katastrofalny.

Wstał i nerwowym krokiem zaczął przemierzać bardzo ograniczoną przestrzeń swojego namiotu. Dengue wydawał się podejrzanym numer jeden. Współzawodnictwo między przedsiębiorstwami rozgorzało ostatnio z wielką siłą. Gdyby koncern Stał Pozaziemska okazał indolencję, bez troskę i bezradność wobec nieszczęśliwych wypadków, mógłby stracić koncesję, oczywiście z korzyścią dla przedsiębiorstwa Dengue'a i dla niego samego.

Wydawało się to jednak zbyt naciągane. Odpowiedzialny za to mógł być również każdy inny człowiek z obozu.

Ten mały Lerner także mógł mieć swoje motywy. Morrison stwierdził, że naprawdę nie może nikomu ufać. Być może powinien wziąć pod uwagę nawet tubylców i ich magię, polegającą, o ile się orientował, na nieświadomej manipulacji siłami psi.

Wyszedł do przedsionka i ogarnął wzrokiem dziesiątki namiotów, składających się na miasteczko jego robotników.

Którego z nich miał winić? W jaki sposób mógł ustalić odpowiedzialnych?

Z otaczających obóz wzgórz dobiegał go słaby, nieregularny rytm bębnow, należących do poprzednich właścicieli planety. Wprost przed nim widniał zaś wciąż wyszczerbiony, poważnie zniszczony kontur Góry Bez Imienia o zboczach wymiecionych lawinami.

Morrison nie spał dobrze tej nocy.

Następnego dnia praca szła normalnie. Wielkie ciężarówki transportowe, wypełnione chemikaliami do osuszania pobliskich bagien, ustawiły się jedna za drugą. Przyjechał także Dengue, ubrany w oficjalny strój urzędnika: spodnie koloru khaki i różową koszulkę.

— Halo, szefie! — zawołał. — Myślę, że wybiorę się z nimi, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Jasne, że nie — odpowiedział Morrison, sprawdzając jeszcze raz trasę, którą mieli poruszać się przez bagna.

— Dzięki. Lubię operacje tego rodzaju — oznajmił Dengue, wskazując do pierwszego buldożera na miejsce obok pilota. — Powodują one, iż czuję dumę z faktu, że jestem człowiekiem.

Osuszamy setki kilometrów kwadratowych dzikich, bezużytecznych bagnisk, by żyzne pola złociły się pszenicą tam, gdzie niegdyś kwitło tylko sitowie.

— Masz mapę? — spytał Morrison Rivierę, towarzyszącego mu brygadziście.

— Oto ona — rzekł Lerner, podając mapę Rivierze.

— Taak... — dumał na głos Dengue. — Bagna zostaną osuszone, by stać się żyznymi pszenicznymi polami. Oto cud nauki... A przy tym jaka niespodzianka dla mieszkańców bagien! Wyobraźcie sobie konsternację kilkuset gatunków ryb, gadów, ptactwa wodnego i pozostałych zdomowionych na mokradłach istot, gdy okaże się, że ich wodny raj nagle stężał nad grzbietami! I to dosłownie stężał; co za pech! Ale, oczywiście, będą stanowić znakomity nawóz dla przyszłych upraw pszenicy...

— Dobra, zabierajcie się już! — krzyknął Morrison. Dengue pomachał radośnie i konwój ruszył w drogę. Riviera wspiął się do szoferki ciężarówki. Flynn, główny brygadzysta, przejeżdżał obok swoim dżipem.

— Poczekaj chwilę! — zawołał Morrison. Podszedł do dżipa. — Chcę, żebyś uważał na Dengue'a — powiedział.

Flynn zrobił zakłopotaną minę.

— Chce pan, żebym miał go na oku? — spytał.

— Otóż to — odparł Morrison, niespokojnie zacierając ręce. — Rozumiesz, nie oskarżam nikogo, ale mieliśmy podczas tej roboty zbyt wiele wypadków. Jeśli ktoś chciał, żeby nasza sytuacja wyglądała kiepsko...

Na twarzy Flynna pojawił się drapieżny uśmiezek.

— Będę go obserwował, szefie — obiecał. — Niech pan się nie obawia o tę operację. Być może dołączy do swoich rybek na pszenicznych polach.

— Żadnych takich — ostrzegł Morrison.

— Oczywiście, że nie. Rozumiem pana doskonale, szefie.

Główny brygadzysta wskoczył do swojego dżipa, który z rykiem silnika popędził na przód konwoju. Jeszcze przez pół godziny nieprzerwana procesja ciężarówek wzbijała tumany pyłu, zanim ostatnia z nich zniknęła w perspektywie. Morrison powrócił do swojego namiotu, by wypełnić raporty dotyczące postępu robót.

Po jakimś czasie odkrył jednak, że bez przerwy obserwuje odbiornik radiowy, czekając na raport Flynna. Gdyby tylko Dengue chciał zrobić cokolwiek! Nic wielkiego, tylko tyle, by udowodnić, że to jego sprawka. Wtedy on, Morrison, miałby pełne prawo rozedrzeć go na strzępy kawałek po kawałku.

Minęły dwie godziny, zanim radio się odezwało, i Morrison stłukł sobie kolano, pędząc w kierunku odbiornika.

— Tu Riviera — usłyszał. — Mamy kłopoty, panie Morrison!

— Mów!

— Przedni buldożer najwyraźniej musiał zejść z kursu. Proszę mnie nie pytać, jak to się stało. Sądziłem, że pilot wie, dokąd jedziemy... Ale drogo za to zapłacił.

— No już, gadaj, co się wydarzyło! — wrzasnął Morrison.

— Musieliśmy chyba jechać po cienkiej skorupie stałego gruntu. Gdy tylko cały konwój znalazł się na niej, jej powierzchnia pękła. Pod spodem był muł przesycony wodą. Zostało nam tylko sześć ciężarówek, resztę straciliśmy.

— A Flynn?

— Dzięki pontonom wyłowiliśmy wielu ludzi, ale Flynna nie udało się uratować.

— W porządku... — powiedział z trudem Morrison. — W porządku... Nie ruszajcie się stamtąd. Wyślę po was amfibie. Słuchaj, i jeszcze jedno... Nie wypuszczajcie z łap Dengue'a.

— To będzie trochę trudne — oznajmił Riviera.

— Dlaczego?

— No cóż, wie pan, on był w przednim buldożerze... Nie miał najmniejszej szansy.

Poniesione straty tak rozwścieczyły ludzi z obozu, że na gwałt potrzebowali czegoś namacalnego, na czym mogliby wyładować swoją złość. Pobili piekarza, bo upieczony przez niego chleb smakował jakoś dziwnie, i niemal zlinczowali specjalistę od dystrybucji wody, ponieważ znaleziono go w pobliżu wielkich maszyn, gdzie oficjalnie nie powinien mieć żadnego interesu. Nie usatysfakcjonowało ich to jednak i zaczęli pożądliwie spoglądać w stronę wioski tubylców.

Dzikusy z epoki kamienia łupanego zbudowały na zboczach urwiska nową osadę w pobliżu obozu ludzi; była to wioska jasnowidzów i czarowników, zebranych do kupy, żeby rzucać przekleństwa na przybyłe z niebios demony. Dzień i noc waliły tam bębny i robotnicy zaczęli rozważać możliwość przegonienia ich stamtąd, po to tylko, żeby to towarzystwo jakoś uciszyć.

Morrison ponaglał swoich ludzi do dalszej pracy. Zbudowali drogi dojazdowe, których nawierzchnia w ciągu tygodnia popękała tak, że nie nadawały się do użytku. Żywność psuła się w zastraszającym tempie, ale nikt nie kwapił się nawet ruszyć naturalnych produktów z tej planety. Podczas burzy piorun uderzył w generator, kompletnie ignorując odgromniki, które Lerner osobiście zainstalował. Pożar ogarnął połowę obozu, a gdy drużyna strażacka wybrała się po wodę, odkryła, że najbliższe strumienie w tajemniczy sposób zmieniły bieg.

Podjęto kolejną próbę wysadzenia w powietrze Góry Bez Imienia, jednak w jej następstwie doszło jedynie do strącenia kilku fantastycznych skalnych osuwisk. Później zaś okazało się, że pięciu ludzi właśnie wtedy urządziło sobie nielegalny piknik, popijając piwo na pobliskim stoku; zostali przywaleni przez spadające skały. Po tym wypadku saperzy stanowczo odmówili podkładania kolejnych ładunków pod górę.

Ziemskie biuro przedsiębiorstwa po raz kolejny nawiązało kontakt z Morrisonem.

— A właściwie, dokładnie rzecz biorąc, co idzie nie tak, jak powinno? — spytał pan Shotwell.

— Powiedziałem już panu, że nie mam pojęcia.

Po chwili milczenia Shotwell spytał cicho:

— Czy istnieje jakaś możliwość, że to sabotaż?

— Przypuszczam, że tak — odrzekł Morrison. — To wszystko nie może mieć wyłącznie naturalnych przyczyn. Jeśli ktoś miał taki zamiar, mógł wyrządzić duże szkody — na przykład manipulując ładunkami wybuchowymi, lub zakładając po partacku piorunochrony...

— Czy podejrzewa pan kogoś?

— Mam tutaj ponad pięć tysięcy ludzi — odpowiedział powoli Morrison.

— Wiem o tym. Teraz proszę słuchać uważnie. Rada dyrektorów przedsiębiorstwa podjęła uchwałę, by przyznać panu w tej sytuacji nadzwyczajne pełnomocnictwa. Może pan robić wszystko, co uważa za stosowne, byleby tylko ukończyć tę robotę. Jeśli pan sobie życzy, może pan zaaresztować połowę obozu. Może pan zmieść ładunkami wybuchowymi tubylców z otaczających obóz gór, jeśli uważa pan, że to coś pomoże. Proszę przedsięwziąć wszelkie możliwe środki. Nie spadnie na pana żadna odpowiedzialność prawna. Jesteśmy przygotowani nawet na to, by zapłacić sporą premię, jednak praca musi zostać ukończona.

— Wiem — odparł Morrison.

— Tak, ale nie wie pan, jak ważne jest dla nas Zlecenie 35. Mogę panu powiedzieć w największej tajemnicy, że w innych strefach nasza firma doznała wielu znaczących niepowodzeń. Miały miejsce duże straty i zniszczenia, koincydencje wydarzeń nie przewidziane przez nasze polisy ubezpieczeniowe. Za dużo już utopiliśmy w tej planecie, by ją teraz po prostu opuścić. Musi pan doprowadzić to do końca.

— Zrobię, co w mojej mocy — odrzekł Morrison, po czym wyłączył się.

Tego samego popołudnia doszło do eksplozji w składzie paliwa. Zniszczeniu uległo prawie czterdzieści tysięcy litrów paliwa D-12, a strażnik składu poniósł śmierć.

— Miałeś dużo szczęścia — powiedział Morrison, patrząc ponuro na Lenera.

— Zgadzam się z tym — rzekł jego zastępca, a po pobladłej twarzy wciąż ściekały mu grube krople potu. Pośpiesznie nalał sobie drinka. — Gdybym przechodził tamtędy dziesięć minut później, byłbym w prawdziwych opałach. W sumie niewiele brakowało, abym odczuł wieczną ulgę.

— Dużo szczęścia... — powtórzył Morrison z zamyśleniem.

— Wiesz... — odezwał się Lerner — gdy szedłem obok składu paliwa, miałem wrażenie, że ziemia jest gorąca... Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że to zaskakujące... Czy możliwe, żeby pod powierzchnią miała tam miejsce jakaś aktywność wulkaniczna?

— Nie — odpowiedział zdecydowanie Morrison. — Nasi geolodzy zrobili wcześniej mapy dosłownie każdego centymetra tego terenu. Obóz znajduje się na grubej warstwie solidnego granitu.

— Hmm... — zastanawiał się Lerner. — Morrie, sądzę, że w takim razie powinieneś zlikwidować tubylców.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Oni są jedynym czynnikiem poza naszą kontrolą. Każdy człowiek w obozie obserwuje pozostałych. To muszą być tubylcy! Wiesz, że istnienie zdolności psi zostało udowodnione; wykazano także, że są one bardziej rozpowszechnione wśród ludów pierwotnych.

Morrison skinął głową.

— A zatem postawiłbyś hipotezę, że eksplozja składu została spowodowana przez aktywność złośliwych duchów?

Lerner zmarszczył brwi, patrząc na wyraz twarzy Morrisona.

— Czemu nie? Uważam, że warto się nad tym zastanowić.

— A jeśli one potrafią robić nam wredne kawały — kontynuował dyrektor — to również wszystko inne powinno leżeć w zakresie ich możliwości, prawda? Mogą powodować eksplozje, wyprowadzić konwój na manowce...

— Przypuszczam, że tak, jeśli przyjmiemy takie założenie.

— Więc po co kręcą się wokół nas jak głupie? — zadał pytanie Morrison. — Jeśli mogą zrobić to

wszystko, o czym mówiliśmy, byłyby w stanie bez żadnego problemu zmieść nas z powierzchni tej planety.

— Ich działalność może mieć określone granice — zauważył Lerner.

— Bzdura! To zbyt skomplikowana teoria. Znacznie prościej jest przyjąć, że ktoś tutaj nie życzy sobie, żeby robota została wykonana. Być może jakaś konkurencyjna firma zaoferowała mu za to nawet milion dolarów. Albo jest jakimś świrem. Jednak to musi być ktoś, kto kręci się tutaj i ma dostęp do wszystkiego. Ktoś, kto sprawdza schematy podkładania ładunków wybuchowych, kursy na mapach, kieruje pracującymi w terenie brygadami...

— Poczekaj chwilę! Jeżeli wysnuwasz wniosek...

— Nie wysnuwam żadnego wniosku — stwierdził Morrison. — A jeśli jestem wobec ciebie niesprawiedliwy, przepraszam — mówiąc to wyszedł z namiotu i zawołał dwóch robotników.

— Zamknijcie go gdzieś i upewnijcie się, że będzie przez cały czas pod dobrą strażą.

— Przekraczasz swoje kompetencje — ostrzegł Lerner.

— Jasne.

— I popełniasz błąd. Bardzo się mylisz co do mnie, Morrie!

— Jeśli tak jest naprawdę, to cię z góry przepraszam.

Gestem ponaglił robotników, którzy wyprowadzili Lenera z namiotu.

Dwa dni później zaczęły się lawiny. Geolodzy nie mieli pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Wymyślili teorię, zgodnie z którą powtarzające się próby zniszczenia Góry spowodowały głębokie pęknięcia w skalnym podłożu, które następnie poszerzyły się i... cóż, takie było powszechnie panujące przypuszczenie.

Morrison próbował niestrudzenie popchnąć robotę do przodu, ale ludzie zaczęli wymykać mu się spod kontroli.

Niektórzy zaczęli truć coś o nie zidentyfikowanych obiektach latających, ognistych dłoniach wyłaniających się z nieba, mówiących zwierzętach i obdarzonych zdolnością odczuwania maszynach. Swoim gadaniem przyciągali sporo słuchaczy.

Chodzenie po obozie po zapadnięciu zmroku zrobiło się niebezpieczne. Samozwańczy strażnicy strzelali teraz do wszystkiego, co się rusza, a także zdarzało im się posłać serię w kierunku obiektów, które pozostawały w bezruchu.

Morrison nie był szczególnie zaskoczony, gdy pewnego razu późno w nocy odkrył, że obóz

robotników jest całkowicie opustoszały. Spodziewał się, że jego ludzie podejmą ten krok.

Usiadł więc w swoim namiocie i czekał.

Po chwili wszedł Riviera i usiadł obok.

— Będą kłopoty — oznajmił, zapalając papierosa.

— Kto będzie miał kłopoty?

— Tubylcy. Chłopcy ruszyli na górę, do tej ich wioski.

Morrison skinął głową.

— Co ich do tego sprowokowało?

Riviera odchylił głowę na oparcie i wydmuchnął papierosowy dym.

— Zna pan tego kopniętego Charliego? Tego gościa, który bez przerwy się modli? Otóż przysięgał, że widział jednego z tubylców, stojącego przy swoim namiocie. Twierdził, że tubylec powiedział: „Umrzesz, a razem z tobą umrą wszyscy przybysze z Ziemi”. A potem zniknął.

— Zapewne w oparach dymu? — spytał Morrison.

— Taaa... — potwierdził Riviera, szczerząc zęby w uśmiechu. — Myślę, że była tam jakaś chmura dymu.

Morrison pamiętał tego człowieka: klasyczny typ histeryka, do którego diabeł przemawiał bez kłopotów w jego własnym języku. Był przy tym na tyle głupi, że mógł podjąć dzieło zniszczenia.

— Powiedz mi — zapytał Rivierę — czy oni poszli tam, na górę, by walczyć z czarownicami? A może z supermanami posługującymi się energią *psi*?

Riviera pomyślał przez chwilę, zanim odpowiedział:

— No cóż, panie Morrison, powiedziałbym, że nie sprawia im to szczególnej różnicy.

Z oddali dobiegł ich uszu głośny, odbijający się echem huk.

— Czy wzięli ze sobą materiały wybuchowe? — zadał pytanie Morrison.

— Nie wiem. Przypuszczam, że tak.

To śmieszne, pomyślał Morrison. Zachowanie typowe dla beładnej hałastry. Dengue zapewne uśmiechnąłby się w tym momencie i powiedział: kiedy masz wątpliwości, zawsze strzelaj do cieni. Nie możesz przecież wiedzieć, co one knują.

Jednak Morrison odkrył także, iż jest zadowolony z tego, że jego ludzie podjęli taki krok. Ukryte

siły parapsychologiczne... Nigdy nie można przewidzieć, kiedy się ujawnią.

Pół godziny później pierwsi wlokący się chaotycznie ludzie dotarli do obozu. Szli powoli, nie odzywając się do siebie.

— I co? — spytał Morrison. — Dorwaliście ich wszystkich?

— Nie, proszę pana — odpowiedział jakiś mężczyzna. — Nawet się do nich nie zbliżyliśmy.

— Co się stało? — pytał dalej Morrison czując, że ciarki przechodzą mu po krzyżu.

Nadchodziło więcej robotników. Stali w kompletnej ciszy, nie patrząc na siebie.

— Co się stało?! — wrzasnął Morrison.

— Nawet się do nich nie zbliżyliśmy — powtórzył robotnik. — Pokonaliśmy mniej więcej połowę drogi. A potem zeszła kolejna lawina.

— Czy ktoś z was odniósł jakieś obrażenia?

— Nie, proszę pana. Ona nie spadła w pobliżu nas... ale pogrzebała wioskę tubylców.

— To niedobrze — rzekł cicho Morrison.

— Tak, proszę pana — odpowiedzieli jego ludzie, którzy stali w nieregularnych grupach, obserwując go.

— Co teraz zrobimy, proszę pana?

Morrison przez chwilę zaciskał oczy niemal do bólu powiek, po czym powiedział:

— Wracajcie do swoich namiotów i pozostańcie w pogotowiu.

Rozpłynęli się w ciemności. Riviera spojrzał pytająco na Morrisona. Ten, jakby w odpowiedzi, poprosił:

— Przyrowadź tu Lenera.

Gdy tylko Riviera wyszedł, Morrison podszedł do nadajnika radiowego i zaczął wycofywać wysunięte posterunki wokół obozu.

Miał przeczucie, że coś się zbliża, więc tornado, które rozszalało się nad obozem pół godziny później, nie było dla niego całkowitym zaskoczeniem. Zdołał skierować większość ludzi do statków kosmicznych, zanim ich namioty porwała wichura.

Lernerowi udało się przedostać do prowizorycznego punktu dowodzenia, zorganizowanego przez Morrisona w kabinie łącznościowej ich statku flagowego.

— Co się dzieje? — spytał.

— Zaraz ci powiem, co się dzieje! — wykrzyknął zdenerwowany Morrison. — Pasma dawno wygasłych wulkanów, położone mniej więcej trzydzieści kilometrów stąd, właśnie wybucha. Stacja kontroli meteo przepowiada zbliżanie się fali pływowej, która zatopi cały kontynent. Tu, gdzie jesteśmy, nie powinny zdarzać się trzęsienia ziemi, ale sędzę, że odczułeś już pierwszy wstrząs. A to dopiero początek.

— Co to jest? — dopytywał się Lerner. — Kto lub co powoduje te zjawiska?

— Nie udało ci się jeszcze nawiązać połączenia z Ziemią? — spytał Morrison radiooperatora.

— Cały czas próbuję.

Do pomieszczenia wpadł Riviera.

— Na powierzchni zostały jeszcze tylko dwie drużyny — zameldował.

— Zawiadom mnie, kiedy już wszyscy będą na statku.

— Co się dzieje?! — wrzasnął Lerner. — Czy to także ma być moja wina?

— Przepraszam cię za tamto posądzenie — powiedział Morrison.

— Chwileczkę! Zdaje się, że coś złapałem... — wtrącił się radiooperator.

— Morrison! — krzyknął Lerner. — Powiedz mi, o co tu chodzi!

— Nie wiem, jak ci to wyjaśnić — stwierdził dyrektor. — To mnie przerasta. Ale Dengue mógłby ci to wytłumaczyć.

Morrison przymknął oczy i wyobraził sobie stojącego przed nim Dengue'a. Uśmiechał się pogardliwie i mówił:

— Posłuchajcie oto sagi o meduzie, której zamarzyło się zostać bogiem. Otóż wyłoniwszy się na brzeg oceanu supermeduza, która nazwała się człowiekiem, zdecydowała, iż z racji posiadania szarej substancji zwojów mózgu wyniesiona jest ponad wszystkie inne stworzenia. Zdecydowawszy tak, meduza zgładziła żyjące w odmętach morskich ryby i zwierzęta mieszkające na powierzchni Ziemi; uśmierciła je w sposób potworny i bezpardonowy, całkowicie lekceważąc intencje Natury. A potem wywierciła w górach wielkie otwory na powierzchni jęczącej z bólu Ziemi, wzniosła ciężkie miasta z betonu i stali, pokryła zieloną niegdyś trawę asfaltową skorupą. Następnie, rozmnażając się w sposób przekraczający wszelką miarę, ubrana w skafander kosmiczny meduza udała się ku innym światom; tam unicestwiała góry, tworząc w ich miejscu równiny, przenosiła całe potężne lasy, zmieniała bieg rzek, roztopiała czapy lodowe wokół biegunów, kształtowała kontynenty, złościła dna nie istniejących jeszcze mórz, na setki i tysiące sposobów okaleczając potężne planety, które, obok gwiazd, są najbardziej godnym szacunku dziełem Natury.

Obecnie Natura jest już w podeszłym wieku i działa powoli, lecz w sposób nader solidny. Nieuchronnie przyszedł więc czas, gdy Natura stwierdziła, iż ma już dosyć zarozumiałej meduzy i jej pretensji do boskości. Pewnego pięknego dnia wielka planeta, której skórę meduza przewiercała na tysiące sposobów, po prostu zrzuciła ją z siebie, wypluwając jakby ze swej powierzchni, po czym wysłała do diabła tę zuchwałą istotę. Był to zarazem dzień, gdy meduza odkryła ku swemu zdziwieniu, że przez cały czas żyła podlegając siłom przekraczającym jej zrozumienie, że jest całkowicie równorzędna z istotami żyjącymi na równinie i w bagnach, nie gorsza od kwiatów, nie lepsza od zielska i chwastów, i nie uczyni Wszechświatowi żadnej różnicy, czy będzie nadal żyć, czy też umrze. Cała zaś jej chełpliwa kronika praci osiągnięć, których dokonała, nie jest niczym więcej niż płytki ślad pozostawiony na piasku przez owada.

— Więc co się dzieje? — pytał wciąż Lerner, patrząc błagalnym wzrokiem na Morrisona.

— Sądzę, że ta planeta nie chce nas więcej — odrzekł dyrektor. — Myślę, że miała już dosyć.

— Złapałem kontakt z Ziemią! — wykrzyknął radiooperator. — Możesz mówić, Morrie!

— Pan Shotwell? — odezwał się Morrison do nadajnika. — Niech pan posłucha, nie mogę już tego dłużej znieść! Zabieram stąd ludzi, póki nie jest jeszcze na to za późno! Nie mogę w tej chwili tego wyjaśnić... i nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie to uczynić...

— Planeta zupełnie nie nadaje się do użytku? — spytał Shotwell.

— Tak, sir, nie ma żadnej szansy; mam nadzieję, że nie zagrozi to pozycji firmy...

— Do diabła z pozycją firmy! — oznajmił pan Shotwell. — W tym właśnie rzecz, nie ma pan pojęcia, Morrison, co się tutaj dzieje. Pamięta pan nasz projekt „Gobi”? Jest kompletnie zrujnowany, do najmniejszego szczegółu. I nie dotyczy to tylko nas. Nie wiem, co się dzieje, po prostu nie mam pojęcia. Będzie pan musiał mi wybaczyć, może wyrażam się nieco chaotycznie, ale od czasu, gdy zatonała Australia...

— Cooo?!

— Tak, zatonała, mówię przecież, że zatonała, czy pan jest głuchy? Być może należałoby podejrzewać o to jakiś czynnik związany z huraganami. Ale te późniejsze trzęsienia ziemi... teraz po prostu kompletnie nie mamy pojęcia, co się dzieje...

— A Mars? Wenus? Alpha Centauri?

— Wszędzie to samo. Ale to chyba nie jest nasz koniec, prawda, Morrison? Mam na myśli nas, gatunek ludzki...

— Halo! Halo! — krzyknął Morrison do słuchawki, a potem spytał nerwowo radiooperatora:

— Co się dzieje?!

— Łączność nawaliła — usłyszał w odpowiedzi. — Spróbuję jeszcze raz.

— Daruj sobie — powiedział Morrison. W tej samej chwili do kabiny wpadł Riviera.

— Zaokrętowaliśmy już ostatnich maruderów — zameldował. — Śluzy są uszczelnione. Jesteśmy gotowi do startu, panie Morrison.

Wszyscy patrzyli teraz na dyrektora. Morrison opadł na fotel i bezradnie się uśmiechnął.

— Jesteśmy gotowi — powiedział. — Ale dokąd mamy lecieć?

The Accountant

Księgowy

Pan Dee siedział sobie właśnie w wielkim, wygodnym fotelu, rozluźniwszy pasek od spodni. Na jego kolanach spoczywały porozrzucone popołudniówki. Palił w spokoju fajkę, rozmyślając jak wspaniały jest świat. Sprzedał dziś dwa amulety i wywar miłosny; jego żona krzątała się po kuchni, przygotowując jakiś znakomity posiłek, a fajka ciągnęła jak należy.

Z westchnieniem ukontentowania pan Dee ziewnął i przeciągnął się.

Morton, jego dziewięcioletni syn, przebiegł przez living-room obładowany książkami.

— Jak poszło dzisiaj w szkole? — zawołał za nim pan Dee.

— W porządku — odpowiedział chłopiec zwalniasz, ale wciąż przemieszczając się w stronę swojego pokoju.

— Co tu masz? — spytał pan Dee, wskazując na niesiony przez syna stos książek.

— Tylko kilka tych cegieł o księgowości — odparł Morton, nie patrząc na ojca. Pognał do swojego pokoju, jakby go kto gonił.

Pan Dee potrząsnął głową z dezaprobatą. Chłopak wpadł na tyleż uporczywy co bezsensowny pomysł, że zostanie księgowym. Księgowym! Tak, to prawda, Morton był dobry w liczeniu; powinien jednak jak najszybciej zapomnieć o tych głupstwach. Z jego osobą wiązano ambitniejsze plany.

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

Pan Dee zacisnął pasek, pospiesznie wepchnął koszulę w spodnie i otworzył frontowe drzwi. Stała w nich pani Greeb, nauczycielka jego syna z czwartej klasy podstawówki.

— Proszę, pani Greeb — powiedział Dee. — Czy mogę zaproponować pani coś do picia?

— Nie mam czasu — odpowiedziała pani Greeb. Stała w przedsionku, podpierając się pod boki. Ze swoimi siwymi rozczochranymi włosami, podługowatą wychudzoną twarzą, długim nosem i rozbieganymi oczami o czerwonych źrenicach wyglądała dokładnie jak wiedźma. Co gorsza w tym wypadku wszystko się zgadzało, ponieważ pani Greeb była wiedźmą.

— Przyszłam, żeby porozmawiać o pańskim synu — oznajmiła.

W tej samej chwili pani Dee przybiegła z kuchni, wycierając ręce w fartuszek.

— Mam nadzieję, że nie jest nieposłuszny — powiedziała z niepokojem.

Pani Greeb prychnęła złowróźnie.

— Dzisiaj przeprowadziłam testy sprawdzające z całorocznego materiału. Syn państwa oblał je z kretesem.

— O mój Boże! — wykrzyknął pan Dee. — Jest wiosna. Być może...

— Wiosna nie ma tu nic do rzeczy — stwierdziła wiedźma. — W zeszłym tygodniu przerabiałam z nimi Wielkie Czary Cordusa, paragraf pierwszy. Zdajecie sobie państwo sprawę, jakie są łatwe. A on nie nauczył się nawet jednego z nich.

— Hmm — stwierdził treściwie pan Dee.

— Jeśli chodzi o biologię, on nie ma zielonego pojęcia, jakie są podstawowe zioła, używane do czarowania. Zielonego pojęcia — zrywała się nauczycielka.

— To nie do pomyślenia! — oznajmił pan Dee.

Pani Greeb zaśmiała się z goryczą.

— Do tego jeszcze kompletnie wyleciał mu z głowy cały Sekretny Alfabet, którego nauczył się w trzeciej klasie. Zapomniał także Formułę Ochronną, imiona dziewięćdziesięciu dziewięciu pomniejszych skrzatów Trzeciego Kręgu, a także całą tę skromną wiedzę na temat Geografii Większego Pieła, którą udało mu się opanować. Co więcej, on nie zamierza się tego nauczyć!

Pan i pani Dee spojrzeli na siebie bez słowa. Była to naprawdę poważna sprawa. Typowo chłopięce roztrzepanie wydawało się do pewnego stopnia dopuszczalne; chłopcy w tym wieku zwykle stają się niesforni. Jednak dzieciak musiał nauczyć się podstaw, jeśli miał kiedykolwiek zostać czarownikiem w pełni zdatnym do wykonywania zawodu.

— Mogę państwu powiedzieć wprost — stwierdziła pani Greeb — gdyby to były dawne czasy, oblałabym go bez najmniejszych wątpliwości. Jednak teraz zostało nas już tak niewiele...

Pan Dee ze smutkiem skinął głową. Sztuka czarodziejska podupadała nieprzerwanie w ciągu ostatnich stuleci. Stare rody, które zajmowały się nią, wymarły, stały się łupem demonów lub wkroczyły na drogę nauki. Kapryśna publika nie przejawiała już żadnego zainteresowania urokami i sztuką magiczną z dawnych czasów.

Obecnie dawna wiedza znajdowała się w posiadaniu rozproszonej garstki ludzi, którzy chronili ją, a także nauczali jej w miejscach takich jak prywatna szkoła pani Greeb dla dzieci czarowników. To było jakby dziedzictwo, święty depozyt, którego zobowiązani byli strzec.

— Wszystko przez te bzdury związane z księgowością — stwierdziła pani Greeb. — Nie mam pojęcia, skąd mu to strzeliło do głowy... Zupełnie też nie rozumiem, dlaczego to nie zostało zduszone w zarodku — dodała, patrząc oskarżycielsko na państwa Dee.

Ojciec Mortona poczuł, że pieką go policzki.

— Wiem jedno — kontynuowała nauczycielka. — Dopóki Morton będzie myślał o tych bzdurach,

nie zdoła zwrócić należytej uwagi na magię!

Pan Dee odwrócił wzrok od czerwonych źrenic wiedźmy. To była jego wina. Nie powinien był nigdy przynosić do domu tej zabawki — maszyny do liczenia dla dzieci. A gdy po raz pierwszy zobaczył Mortona, bawiącego się w podwójną księgowość, należało natychmiast spalić rejestr.

Ale skąd mógł przypuścić, że te zainteresowania jego syna przerodzą się w obsesję?

Jego żona wygładziła fartuszek i powiedziała:

— Pani Greeb, zdaje sobie pani sprawę, że ufamy pani bezgranicznie. Co mogłaby nam pani doradzić w tej sytuacji?

— Ze swej strony zrobiłam już co mogłam — odrzekła wiedźma. — Jedyne, co pozostało do zrobienia, to wezwać Boarbasa, Demona Dzieci. Ale to, oczywiście, zależy od państwa.

— Och, nie sądzę, żeby w tej chwili sprawy zaszły już aż tak daleko — oznajmił szybko pan Dee. — Wezwanie Boarbasa to poważny krok.

— Tak jak powiedziałam, zależy to od państwa — powtórzyła pani Greeb. — Wezwijcie Boarbasa lub nie, jeśli uważacie to za stosowne. Ale biorąc pod uwagę aktualny stan rzeczy, wasz syn nigdy nie zostanie czarownikiem.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

— Nie zostanie pani na filiżankę herbaty? — spytała pośpiesznie pani Dee.

— Nie, muszę wziąć udział w Sabacie Czarownic w Cincinnati — stwierdziła pani Greeb, po czym zniknęła, pozostawiając po sobie kłęb pomarańczowego dymu.

Pan Dee machnięciem dłoni rozwiął chmurę i zamknął drzwi.

— Phi! — odezwał się. — Można by pomyśleć, że ona używa jakiejś perfumowanej pochodni.

— Jest nieco staroświecka — wymamrotała pani Dee.

Przez chwilę stali w milczeniu w pobliżu drzwi. Pan Dee dopiero teraz zaczął odczuwać szok, związany z tym, czego się dowiedział. Trudno mu było uwierzyć, że jego własny syn, krew z krwi i kość z kości, nie chce kontynuować rodzinnej tradycji. To nie mogła być prawda!

— Po kolacji — oznajmił w końcu — przeprowadzę z nim rozmowę jak mężczyzna z mężczyzną. Jestem pewien, że obejdzie się bez interwencji jakiegokolwiek demona.

— To dobrze — odparła pani Dee. — Jestem przekonana, że potrafisz wytłumaczyć chłopcu niestosowność jego postępowania.

Uśmiechnęła się i Dee, jak za dawnych czasów, dostrzegł w jej źrenicach typowy dla czarownic

błysk.

— Moja pieczeń! — wykrzyknęła nagle, łapiąc oddech, a ognek zgasł w jej oczach. Pobieгла z powrotem do kuchni.

Kolację zjedli w milczeniu. Morton wiedział, że pani Greeb złożyła wizytę w ich domu i jadł swoją porcję w ciszy, z poczuciem winy, od czasu do czasu popatrując na ojca. Pan Dee kroił i serwował pieczeń, ponuro marszcząc brwi. Nawet pani Dee nie podjęła próby rozpoczęcia choćby błażej konwersacji.

Przełknąwszy deser, chłopiec popędził do swojego pokoju.

— Zaraz się przekonamy — powiedział pan Dee do swej żony. Dopił resztkę kawy, wytarł usta i wstał od stołu.

— Teraz zamierzam z nim porozmawiać — oznajmił. — Gdzie jest mój Amulet Perswazji?

Pani Dee przez chwilę zastanawiała się głęboko. Potem przemierzyła pokój i podeszła do biblioteczki.

— Jest tutaj — powiedziała, wyjmując talizman spomiędzy stron powieści w kolorowej okładce. — Używałam go jako zakładki.

Pan Dee wsunął amulet do kieszeni, wziął głęboki oddech i wkroczył do pokoju syna.

Morton siedział przy biurku. Przed nim znajdował się otwarty notatnik, zabazgrany cyframi i jakimiś uwagami, zapisanymi drobnym, pedantycznym charakterem pisma. Na blacie leżało również sześć doskonale zatemperowanych ołówków, gumka do wycierania, liczydło i dziecięca maszyna do liczenia. Stos książek balansował ryzykownie na krawędzi; były tu takie tytuły, jak: „Pieniądze” Rimraamera, „Praktyczna księgowość bankowa” Johnsona i Calhouna, „Studia Ellmana z księgowości porównawczej”, a także chyba z tuzin innych.

Pan Dee przesunął na bok stertę ubrań leżących na łóżku, robiąc sobie miejsce.

— Jak ci leci, synu? — spytał najłagodniejszym tonem, na jaki było go stać.

— Świetnie, tato — odpowiedział skwapliwie Morton. — W „Podstawach księgowości” dotarłem do rozdziału czwartego i odpowiedziałem na wszystkie pytania...

— Synu — pan Dee mówił nadal bardzo cicho — a co z twoją zwykłą pracą domową?

Wyglądało na to, że Morton poczuł się nieswojo; zaczął szurać nogami po podłodze.

— Wiesz, że w dzisiejszych czasach niewielu chłopców ma szansę zostać czarownikami?

— Tak, proszę taty, wiem o tym — odrzekł Morton, po czym nagle odwrócił wzrok. Łamiącym się ze zdenerwowania głosem powiedział:

— Ale, tato, ja chcę zostać księgowym. Naprawdę chcę tego, tato!

Pan Dee potrząsnął głową przecząco.

— Morton, w naszej rodzinie zawsze był czarownik. Od tysiąca ośmiuset lat rodzina Dee była sławna ze swoich nadprzyrodzonych zdolności.

Morton nadal patrzył gdzieś w bok, na krajobraz za oknem, i szurał nogami.

— Chyba nie chciałbyś mnie rozczarować, prawda, synu? — spytał pan Dee, uśmiechając się ze smutkiem. — Zdajesz sobie sprawę, że każdy może zostać księgowym, podczas gdy jedynie wybrani są w stanie rządzić siłami czarnej magii.

Morton odwrócił się od okna. Podniósł z biurka ołówek, obejrzał dokładnie zaostrzoną końcówkę grafitu, i zaczął powoli obracać go w palcach.

— No więc jak z tym będzie, chłopcze? Nie zechciałbyś pracować nieco rzetelniej u pani Greeb?

Morton potrząsnął głową.

— Chcę być księgowym — powtórzył z uporem.

Pan Dee z trudem zapanował nad nagłym odruchem wściekłości. Czyżby coś było nie tak z jego Amuletem Perswazji? Czyżby jego moc się wyczerpała? Pan Dee pomyślał, że powinien ponownie naładować go przed rozmową z synem.

Mimo to postanowił kontynuować.

— Morton — powiedział. — Wiesz, że jestem tylko Adeptem Trzeciego Stopnia, prawda? Moi rodzice byli bardzo biedni. Nie mogli posłać mnie na uniwersytet.

— Wiem — odpowiedział szeptem chłopiec.

— Chciałbym, żeby twoim udziałem stało się to wszystko, czego mnie nie udało się osiągnąć. Morton, możesz zostać Adeptem Pierwszego Stopnia! — potrząsnął głową z zadumą. — To będzie trudne. Jednak twoja matka i ja odłożyliśmy trochę funduszy, i na pewno jakoś zwiążemy koniec z końcem.

Morton przygryzał wargi i coraz szybciej obracał w palcach ołówek.

— No i co, synku? Wiesz, że jako Adept Pierwszego Stopnia nie będziesz musiał pracować w sklepie. Będziesz mógł zostać Bezpośrednim Agentem Księcia Mroków. Bezpośrednim Agentem! No i co ty na to, chłopcze?

Przez moment Dee odniósł wrażenie, że jego syn drgnął. Rozchylił wargi, a w jego oczach pojawiły się podejrzane ogniki. Po chwili jednak spojrzał na podręczniki do księgowości, na swoje maleńkie liczydła i na dziecięcą maszynę do liczenia.

— Zamierzam zostać księgowym — oznajmił niewzruszenie.

— To się jeszcze okaże! — wrzasnął pan Dee, w jednej chwili tracąc całą cierpliwość. — Właśnie, że nie zostaniesz księgowym, młody człowieku! Będziesz czarownikiem. Jeśli to było dobre dla całej reszty twojej rodziny, to, do ciężkiej cholery, będzie dobre także dla ciebie! I nie sądź, młodzieńcze, że tak się cała sprawa zakończy! — To mówiąc z hukiem wypadł z pokoju syna.

Morton natychmiast powrócił do lektury podręczników księgowości.

Pan i pani Dee siedzieli razem na kanapie, nie odzywając się do siebie. Pani Dee pracowicie robiła na drutach szalik, ale myślami była daleko. Pan Dee markotnie wpatrywał się w dziurę, wytartą na skutek zużycia w dywanie, leżącym na podłodze living-roomu.

W końcu Dee oznajmił:

— Najwyraźniej go rozpieściłem. Boarbas to jedyne rozwiązanie.

— Och, nie — powiedziała pospiesznie pani Dee. — To jeszcze taki dzieciak!

— Czy chcesz, żeby twój syn został księgowym? — spytał gorzko pan Dee. — Chcesz, żeby dorastał, bazgrząc jakieś liczby, zamiast wykonywać zadania dla Księcia Ciemności?

— Oczywiście, że nie — odparła. — Ale Boarbas...

— Wiem. Już teraz czuję się jak morderca.

Zastanawiali się przez jakiś czas. Potem pani Dee zaproponowała:

— Może jego dziadek mógłby coś zrobić. Zawsze przepadał za swoim wnusiem.

— Może mógłby — odparł pan Dee z namysłem. — Nie wiem jednak, czy powinniśmy go niepokoić. Mimo wszystko starszy pan jest przecież martwy od trzech lat.

— Wiem o tym — rzekła pani Dee, łapiąc zgubione oczko w szaliku. — Ale pozostaje nam wybór pomiędzy nim a Boarbasem.

Pan Dee zgodził się z tym. Boarbas był nieskończenie gorszy niż zakłócenie wiecznego spokoju dziadka Mortona. Zaczął natychmiast przygotowywać się do wezwania swego zmarłego ojca.

Zgromadził potrzebne rekwizyty: pęd lulka czarnego, róg jednorożca, cykutę, a także fragment zęba smoka, i położył to wszystko na dywanie.

— Gdzie jest moja różdżka? — zapytał żonę.

— Wsadziłam ją do worka razem z kijami golfowymi — poinformowała go.

Pan Dee odnalazł różdżkę i pomachał nią nad zebranymi ingrediencjami. Wymamrotał trzy słowa zaklęcia zwanego Uwolnieniem, a potem wezwał swego ojca po imieniu.

Z dywanu uniosła się natychmiast wstążka dymu.

— Witaj, dziadku! — odezwała się pani Dee.

— Tato, przykro mi, że ci przeszkadzam — stwierdził pan Dee. — Jednak mój syn, a twój wnuczek, odmawia zostania czarownikiem. Chce być... księgowym.

Wstęga dymu zadrżała, potem wyprostowała się i uformowała literę z Pradawnego Języka.

— Tak — odpowiedział pan Dee. — Próbowaliśmy mu to wyperswadować. Jednak chłopak jest nieugięty.

Kłęb zadrżał ponownie i nakreślił w powietrzu kolejną literę.

— Przypuszczam, że tak będzie najlepiej — stwierdził pan Dee. — Przestraszysz go do nieprzytomności i raz na zawsze zapomni o tej bzdurnej księgowości. To okrutne, ale lepsze niż Boarbas.

Wstęga dymu kiwnęła twierdząco i popłynęła w stronę pokoju Mortona. Pan i pani Dee usiedli na kanapie.

Drzwi pokoju chłopca otworzyły się z hukiem, jakby wypchnięte przez poryw jakiejś gigantycznej wichury. Morton podniósł wzrok, zmarszczył brwi, po czym wrócił do lektury swoich książek.

Pasmo dymu zmieniło się w skrzydlatego lwa z ogonem rekina, który ryknął szkaradnie, przycupnął, warknął, po czym przygotował się do skoku.

Morton spojrzał, uniósł brwi i dalej zapisywał kolumny cyfr w notesie.

Lew zmienił się w trzygłową jaszczurkę o straszliwych bokach, dymiących świeżą krwią ofiar. Wydmuchując jęzory ognia, jaszczurka ruszyła na chłopca.

Morton skończył dodawanie kolumny cyfr, sprawdził rezultat na liczydłach i popatrzył na jaszczurkę.

Wtedy jaszczurka ze skrzekiem zamieniła się w olbrzymiego, mamroczącego coś nietoperza. Zaczął on fruwać wokół głowy chłopca, zawodząc i wyjąc paskudnie.

Morton uśmiechnął się i wrócił do lektury swoich książek.

Pan Dee nie był w stanie tego dłużej wytrzymać.

— Do cholery! — krzyknął. — Czy nie jesteś ani trochę wystraszony?!

— A dlaczego miałbym być wystraszony? — odpowiedział pytaniem chłopiec. — Przecież to tylko dziadek...

W tej samej chwili nietoperz rozpląnął się, tworząc ponownie pióropusz dymu. Szara smuga skłoniła się ze smutkiem panu Dee, skinęła ku jego żonie, po czym zniknęła.

— Do widzenia, dziadku! — zawołał Morton. Wstał zza biurka i zamknął drzwi pokoju.

— To dlatego — oznajmił pan Dee — że chłopak jest zbyt zarozumiały. Musimy wezwać Boarbasa.

— Nie! — wykrzyknęła jego żona.

— A co innego możemy zrobić?

— Sama już nie wiem... — powiedziała pani Dee ze łzami w oczach. — Ale wiesz przecież, co Boarbas robi z dziećmi. Nigdy nie są już sobą po spotkaniu z nim.

Jednak wyraz twarzy pana Dee świadczył o tym, że jest twardy jak skała.

— Wiem. Ale nic nie można na to poradzić.

— On jest jeszcze taki mały! — lamentowała pani Dee. — To... to będzie dla niego szokujące przeżycie!

— Jeśli tak, użyjemy wszystkich środków, jakie ma do dyspozycji współczesna psychologia, by go uleczyć — odparł uspokajająco pan Dee. — Będzie miał najlepszych psychoanalityków, jakich można wynająć za pieniądze; ale chłopak musi zostać czarownikiem!

— Więc bierz się do roboty — stwierdziła pani Dee, płacząc już zupełnie otwarcie. — Ale proszę, nie wymagaj ode mnie, żebym ci przy tym asystowała!

Typowa kobieta, pomyślał pan Dee. Zawsze zamienia się w galaretę akurat wtedy, kiedy konieczna jest stanowczość i zdecydowanie. Z ciężkim sercem zaczął czynić przygotowania, by wezwać Boarbasa, Demona Dzieci.

Zaczął od naszkicowania skomplikowanych figur na planie pięciokąta, potem wpisał w nie dwunastoramienną gwiazdę, w której wnętrzu znajdowała się nieskończona spirala.

Następnie przyszła kolej na zioła i wywary; były to drogie składniki, lecz absolutnie konieczne, aby zaklęcie się udało.

Dalej należało napisać inskrypcję z Czarą Ochronnego, by Boarbas nie uwolnił się i nie zgładził całej rodziny. Wreszcie przyszedł czas na trzy krople krwi hipogryfa...

— Gdzie jest moja krew hipogryfa? — dopytywał się pan Dee, przetrząsając sekretarzyk w living-roomie.

— W kuchni, w buteleczce po aspirynie — odparła pani Dee, ocierając łzy chusteczką.

Dee znalazł ją i wszystko było gotowe. Zapalił świece z czarnego wosku i zaintonował Czar Otwierający.

W pokoju zrobiło się nagle bardzo ciepło; pozostało jedynie Wypowiedzenie Imienia.

— Morton! — zawołał pan Dee. — Chodź tutaj!

Jego syn otworzył drzwi i wyszedł ze swojego pokoju, ściskając kurczowo jeden z podręczników księgowości; wyglądał jak bezbronny mały chłopczyk.

— Morton, zamierzam właśnie wezwać Demona Dzieci. Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił — ostrzegł po raz ostatni pan Dee.

Chłopiec zbladł, cofnął się i oparł plecami o drzwi. Jednak z uporem potrząsnął przecząco głową.

— Świetnie — skostatował pan Dee. — BOARBAS! — zawołał.

Rozległ się rozdzierający uszy trzask gromu, przez pokój przetoczyła się fala żaru, po czym, chichocząc diabelskim chichotem, zjawił się Boarbas, który sięgał aż do sufitu.

— Ach! — wykrzyknął głosem, od którego zatrzęsł się cały pokój. — Kogo my tu mamy?! Widzę małego chłopca!

Morton, z wybałuszonymi ze strachu oczami i z otwartą buzią, wpatrywał się w demona.

— Nieposłuszny mały chłopczyk! — stwierdził Boarbas i zaśmiał się. Ruszył naprzód, każdym swym potężnym krokiem wstrząsając całym domem aż po fundamenty.

— Odeślij go! — wrzasnęła pani Dee.

— Nie mogę — odpowiedział pan Dee łamiącym się głosem. — Nie mogę zrobić nic, dopóki on nie skończy.

Wielkie, rogowe łapy demona sięgnęły po Mortona; jednak chłopiec otworzył szybko swój podręcznik księgowości.

— Ratuj mnie! — krzyknął rozdzierająco.

W tej samej chwili pojawił się wysoki, straszliwie chudy człowieczek, obwieszony zużytymi stalówkami i kartami z kartoteki, o oczach w kształcie dwóch pustych w środku zer.

— *Zico Pico Reel!* — zaintonował Boarbas, ruszając w stronę przybysza z zamiarem stoczenia z

nim walki. Jednak chudy stary człowiek zaśmiał się tylko i powiedział:

— Kontrakt, zawarty z osobą prawną, a będący *ultra vires*, jest nie tylko możliwy do zakwestionowania, ale całkowicie nieważny.

Słowa te spowodowały, że Boarbas runął do tyłu, łamiąc krzesło w trakcie upadku. Wstał niepewnie; jego skóra poczerwieniała z furii. Zaintonował Mistrzowski Czar Demonów:

— *Vrat, Hat, Ho!*

Jednak chudy starzec zasłonił Mortona własnym ciałem i wykrzyknął śmiertelne słowa Rozpadu:

— Termin Końcowy, Wypadek Losowy, Unieważnienie, Odstąpienie, Porzucenie i Zgon!

Boarbas kwiczał w agonii. Pospiesznie wycofał się, gwałtownie gmerając w powietrzu w poszukiwaniu wyjścia. Gdy je znalazł, skoczył przez nie i zniknął.

Wysoki, chudy starzec odwrócił się w stronę państwa Dee, którzy przez cały czas kulili się w kącie living-roomu, i oznajmił:

— Wiedźcie, iż jestem Księgowym. Wiedźcie też ponadto, że dziecko to podpisało ze mną ugodę, by rozpocząć u mnie praktykę i zostać mym sługą. W zamian zaś za wyżej wymienione usługi, ja, Księgowy, zobowiązałem się do nauczenia go Potępienia Dusz przez usidlenie ich w przeklętej sieci Liczb, Formularzy, Szkód i Represaliów. A oto mój znak, który na nim uczyniłem!

To mówiąc, Księgowy podniósł prawą rękę Mortona i pokazał im kleks z atramentu na trzecim palcu.

Potem zwrócił się do chłopca i powiedział łagodniejszym tonem:

— Jutro, mój młodzieńcze, poświęćmy czas rozważaniu niektórych aspektów Uchylania się od Podatku Dochodowego jako Ścieżki ku Potępieniu.

— Tak, proszę pana! — odpowiedział Morton skwapliwie.

Rzuciwszy państwu Dee ostatnie groźne spojrzenie, Księgowy zniknął.

Przez dłuższy czas panowała cisza. Potem pan Dee zwrócił się do żony:

— Cóż — stwierdził. — Jeśli chłopak aż do tego stopnia chce zostać księgowym, jestem pewien, że nie będę rzucać mu kłód pod nogi.

Polowanie

Było to ostatnie spotkanie drużyn przed Wielkim Zlotem Skauterów i wszystkie patrole utrzymywały najwyższą gotowość.

Patrol numer dwadzieścia dwa — Patrol Podniebnych Sokołów, który rozbił się obozem w cienistej kotlinie, zajęty był współzawodnictwem w siłowaniu się na macki. Patrol Dziennych Bizonów, numer trzydzieści jeden, krążył wokół niewielkiego strumienia. Bizony doskonaliły swą umiejętność picia płynów, wybuchając co chwila chóralnie pełnym podniecenia śmiechem z powodu dziwnego uczucia, które wywoływała ta czynność.

Patrol Szarżujących Miraszów, numer dziewiętnaście, oczekiwał na skautera Droga, który jak zwykle się spóźniał.

Drog pędził właśnie ku nim z wysokości trzech tysięcy metrów; pozbierał się jakoś i pospiesznie wpelznął w utworzony przez skauterów krąg.

— Ojej... — powiedział. — Przepraszam! Nie wiedziałem, że jest tak późno...

Wśród obecnych rozległ się chichot. Drog oblał się ciemnopomarańczowym rumieńcem. Chciałby być teraz niewidzialny, ale chwila zupełnie temu nie sprzyjała.

— Nasze spotkanie zamierzam otworzyć wygłoszeniem Credo Skauterów — oznajmił przewodnik patrolu, po czym chrząknął. — My, młodzi skauterzy z planety Elbonai, ślubujemy kultywować obyczaje, umiejętności i cnoty naszych pionierskich przodków. W tym celu przyjmujemy postać właściwą naszym pradziadom, gdy podbijali oni dziewicze puszcze Elbonai. Niniejszym postanawiamy kierować się...

Skauter Drog podregulował receptory słuchowe, by docierał do niego cichy głos przewodnika. Credo zawsze napełniało go lękiem. Trudno mu było uwierzyć, że jego przodkowie musieli niegdyś chodzić po Ziemi. Dziś mieszkańcy Elbonai byli istotami powietrznymi, które zachowywały jedynie niezbędne minimum cielesności, żywiąc się promieniowaniem kosmicznym na wysokości siedmiu tysięcy metrów, odczuwając za pomocą percepcji bezpośredniej, lądując na powierzchni planety jedynie z powodu sentymentu lub w celach religijnych.

Od Epoki Pionierów przebyli daleką drogę. Dzisiejszy świat zaczął się od Epoki Kontroli Submolekularnej, po której przyszła współczesna epoka Kontroli Bezpośredniej.

— ...honorem i zasadami uczciwej gry — mówił przewodnik. — Postanawiamy również pić płyny, tak jak oni to czynili, a także jeść stałe pokarmy i doskonalić nasze umiejętności w stosowaniu ich narzędzi oraz sposobów działania.

Gdy inwokacja została wygłoszona, młodzieńcy rozproszyli się po równinie. Przewodnik patrolu podszedł do Droga.

— To nasze ostatnie spotkanie przed zlotem — stwierdził.

— Wiem — odpowiedział Drog.

— A ty jesteś zaledwie skauterem drugiej klasy w Patrolu Szarżujących Miraszów. Wszyscy pozostali są skauterami pierwszej klasy, a przynajmniej młodszymi pionierami. Jak sądzisz, co ludzie pomyślą o naszym patrolu?

Drog zwijał się ze wstydu.

— Nie ma w tym tylko mojej winy — powiedział. — Wiem, że oblałem testy z pływania i robienia bomb, ale to po prostu nie są moje specjalności. To nie całkiem uczciwe, żeby spodziewać się po mnie, że wszystko potrafię. Nawet wśród pionierów każdy miał swoją specjalność. Nikt od nich nie oczekiwał, że będą wszechwiedzący...

— Więc na czym właściwie polegają twoje umiejętności? — przerwał mu przewodnik.

— Znajomość lasu i gór — odpowiedział szybko Drog. — Tropienie i polowanie.

Przewodnik przyglądał mu się przez chwilę. Potem powiedział powoli:

— Drog, czy chciałbyś mieć jeszcze jedną, ostatnią szansę na zostanie skauterem pierwszej klasy, a także na zdobycie odznaki sprawności?

— Zrobię wszystko! — wykrzyknął Drog.

— Znakomicie — oznajmił przewodnik. — Jaka jest nazwa twojego patrolu?

— Patrol Szarżujących Miraszów.

— A co to jest mirasz?

— Duże, dzikie zwierzę — odpowiedział bezzwłocznie Drog. — Niegdyś zamieszkiwały one znaczne połacie Elbonai, a nasi przodkowie stoczyli z nimi wiele ząartych walk.

Obecnie zostały całkowicie wytępione.

— Nie całkiem — stwierdził przewodnik. — Jeden ze skauterów dokonywał zwiadu w lesie, w odległości dziewięciuset kilometrów stąd. W sektorze o koordynatach od S-233 do 482-W natknął się na stado trzech miraszów, z których każdy był bykiem, a zatem wszystkie nadawały się do odstrzału. Chcę, Drog, żebyś je wyszedził i podkrał się do nich, wykorzystując swoją znajomość lasu i gór. Potem zaś masz zdobyć i dostarczyć skórę jednego z miraszów, posługując się jedynie narzędziami i metodami, stosowanymi przez naszych przodków. Czy sądzisz, że jesteś w stanie to zrobić?

— Wiem, że tak, sir!

— Ruszaj więc natychmiast — rozkazał przewodnik. — Gdy wrócisz, przymocujemy skórę do drzewca naszej flagi. Niewątpliwie doczekamy się za to pochwały na zlocie.

— Tak, sir! — odrzekł Drog; pospiesznie zgromadził ekwipunek, napełnił menażkę płynem, zapakował sobie suchy prowiant, po czym wyruszył w drogę.

W niewiele minut później przylewitował do ramowego obszaru o koordynatach S-233 — 482-W. Była to dzika i romantyczna kraina wyszczerbionych skał i karłowatych drzew, gęstych zarośli pniących się w dolinach, pokrytych śniegiem górskich szczytów. Drog rozejrzał się dookoła, nieco zaniepokojony.

W pewnym stopniu bowiem okłamał przewodnika patrolu.

Rzeczy miały się tak, że nie był szczególnie biegły w znajomości lasu i gór, polowaniu czy tropieniu. Właściwie nie potrafił nic oprócz snucia marzeń przez długie godziny, wśród chmur, na wysokości tysiąca pięciuset metrów. A co będzie, jeśli nie uda mu się odnaleźć mirasza? Co będzie, jeśli mirasz wcześniej znajdzie jego?

Ale coś takiego nie ma prawa się zdarzyć, upewniał sam siebie Drog. W razie konieczności może się przecież zdestabilizować. Kto będzie wiedział, że użył tego niedozwolonego chwytu?

W następnej chwili natrafił na słaby ślad odoru mirasza.

Potem zaś dostrzegł niewielki ruch w odległości około dwudziestu metrów, w pobliżu dziwnej skalnej formacji w kształcie litery „T”.

Czy rzeczywiście to miało okazać się aż tak łatwe? Jak miło! Zachowując bezwzględną ciszę, Drog przybrał właściwy kamuflaż i zaczął się skradać.

Górski szlak zrobił się bardziej stromy, a słońce prażyło okrutnie. Paxton pocił się obficie pomimo swego klimatyzowanego kombinezonu. Miał powyżej uszu tej pomyślniej wyprawy.

— Kiedy wreszcie zabierzemy się stąd? — spytał.

Herrera poklepał go jowialnie po ramieniu.

— Nie chcesz być bogaty?

— Już jesteśmy bogaci — odpowiedział Paxton.

— Ale niewystarczająco — oznajmił Herrera, a na jego długiej, opalonej twarzy pojawił się

promienny uśmiech.

Podszedł do nich Stellman, który sapał, uginając się pod ciężarem swoich przyrządów badawczych. Ustawił je ostrożnie na ścieżce i usiadł.

— Panowie, macie ochotę na małego dymka? — zagadnął.

— Czemu nie? — odparł Herrera. — Na to zawsze jest czas.

Usiadł, opierając się plecami o formację skalną w kształcie litery „T”.

Stellman zapalił fajkę, a Herrera znalazł cygaro w zapinanej na suwak kieszeni swojego kombinezonu. Paxton obserwował ich przez chwilę. Potem powtórnie zapytał:

— Kiedy w końcu zabierzemy się z tej planety? A może zamieszkamy tu na stałe?

Herrera w odpowiedzi uśmiechnął się i potarł zapalnik, żeby przypalić sobie cygaro.

— No więc jak z tym będzie?! — krzyknął Paxton.

— Odpręż się, i tak jesteś przegłosowany — stwierdził Stellman. — Stworzyliśmy tę spółkę jako trzech równorzędni partnerzy.

— Ale za pomocą moich pieniędzy — przypomniał Paxton.

— Oczywiście. Dlatego właśnie przyjęliśmy cię do tego interesu. Herrera miał praktyczne doświadczenie w górnictwie. Ja wniosłem wiedzę teoretyczną i licencję pilota. Ty dałeś swoje pieniądze.

— Przecież mamy już na pokładzie mnóstwo tego towaru — zauważył Paxton. — Ładownie są nim całkowicie wypełnione.

Dlaczego nie możemy teraz przenieść się w jakieś cywilizowane miejsce i zacząć wydawać pieniądze?

— Herrera i ja nie mamy, tak jak ty, arystokratycznego podejścia do swojego zdrowia — odparł Stellman z anielską cierpliwością. — Obaj żywimy dziecięce pragnienie wypełnienia skarbami każdego zakątka i szpary w naszym statku. Złote samородki w zbiornikach paliwa, szmaragdy w puszkach na mąkę, diamenty rozrzucone po całym pokładzie do wysokości pół metra. A to jest idealne miejsce, żeby coś takiego zrobić. Wszelkiego rodzaju drogocenne drobiażdżki leżą tu sobie dookoła, dosłownie prosząc nas, żebyśmy je zbierali. Zamierzamy być ohydnie, bezgranicznie bogaci, Paxton.

Jednak Paxton nie słuchał. Intensywnie wpatrywał się w jakieś miejsce tuż przy granicy szlaku. Potem powiedział cicho:

— To drzewo właśnie się poruszyło.

Herrera wybuchnął śmiechem.

— Przypuszczam, że to potwory — zadrwił.

— Uspokój się — powiedział Stellman ponuro. — Mój chłopcze, jestem niemłodym już człowiekiem, mam nadwagę i nie należę do bohaterów. Czy sądzisz, że zostałem tutaj chociaż chwilę dłużej, gdyby groziło nam choćby najmniejsze niebezpieczeństwo?

— Tam! Znowu się poruszyło!

— Trzy miesiące temu przebadaliśmy dokładnie całą tę planetę — przypomniał Stellman. — Nie znaleźliśmy żadnych istot inteligentnych, żadnych niebezpiecznych zwierząt, żadnych trujących roślin, pamiętasz? Odkryliśmy jedynie lasy, góry, rzeki, jeziora, szmaragdy, złoto i diamenty. Gdyby mieszkały tu jakieś niebezpieczne istoty, nie sądzisz, że zaatakowałyby nas już dawno temu?

— Mówię wam, widziałem, jak się poruszyło — nalegał Paxton.

Herrera wstał.

— To drzewo? — zapytał Paxtona.

— Tak. Spójrzcie, ono nawet nie wygląda tak jak pozostałe. Ma inny kształt...

Jednym doskonale zsynchronizowanym ruchem Herrera wyszarpnął z kabury pod pachą blaster typu Mark II i wystrzelił trzy ładunki. Drzewo i całe poszycie w promieniu dziesięciu metrów wybuchły jasnym płomieniem, skręcając się od potwornego żaru.

— No i po wszystkim — stwierdził Herrera.

Paxton potarł szczękę.

— Usłyszałem jak krzyknęło, kiedy do niego strzeliłeś.

— Jasne. Ale jest już martwe — odrzekł Herrera uspokajająco. — Jeśli jeszcze coś się poruszy, powiedz mi tylko, a ja to zastrzelę. A teraz znowu znajdziemy sobie trochę malutkich szmaragdzików, nieprawdaż?

Paxton i Stellman unieśli swoje pakunki i ruszyli za Herrera w górę szlaku. Stellman powiedział cicho pełnym rozbawienia tonem:

— Bezpośredni facet, no nie?

Drog powoli odzyskiwał przytomność. Płomienista broń mirasza zaskoczyła go, gdy był jedynie w kamuflażu, niemal całkowicie pozbawiony tarczy ochronnej. Wciąż nie rozumiał, jak to się mogło stać. Nie było ostrzegawczego odoru wystraszonego mirasza, parskania ani warkotu, żadnego w

ogóle ostrzeżenia. Mirasz zaatakował ze ślełą furją, nie zadając sobie nawet trudu, by sprawdzić, czy nieznana istota jest przyjacielem czy wrogiem.

Drog zrozumiał w końcu prawdziwą naturę bestii, z którą przyszło mu się zmierzyć.

Odczekał aż do chwili gdy odgłos racic trzech byków z gatunku miraszów ucichł w oddali. Potem, z pełnym bólu wysiłkiem, spróbował wystawić receptor wizualny. Bez skutku. Na moment ogarnęła go panika. Jeśli zniszczeniu uległ centralny system nerwowy, oznaczało to bezwzględny koniec.

Spróbował jeszcze raz. Tym razem zsunął się z niego spory odłamek skały i Drog był już w stanie się zrekonstruować.

Dokonał szybko autoskanowania i odetchnął z ulgą. Dosłownie otarł się o śmierć. Musiał najwyraźniej instynktownie skwantyfikować się w chwili błysku i to uratowało mu życie.

Próbował wymyślić jakiś inny sposób działania, ale szok, spowodowany nagłym pełnym furii, bezmyślnym atakiem, wybił mu z głowy całą wiedzę o lesie i górach, tropieniu i polowaniu. Stwierdził, że zdecydowanie nie ma ochoty, by natknąć się ponownie na dzikiego mirasza.

A może by tak wrócić bez tej głupiej skóry? Mógłby powiedzieć przewodnikowi patrolu, że wszystkie napotkane mirasze były samicami, a zatem nie nadawały się do odstrzału. Słowo młodego skautera było zawsze szanowane, zatem nikt nie zadawałby mu dalszych pytań, a nawet nie sprawdziłby jego informacji.

Jednak Drog wiedział, że nigdy tego nie zrobi. Jak w ogóle mógł brać coś takiego pod uwagę?

Cóż, pomyślał ponuro, mogę przecież zrezygnować z uczestnictwa w ruchu skauterów, skończyć z tymi śmiesznymi ogniskami, wspólnym śpiewaniem, gramami zespołowymi, przyjaźnią...

Nie, nie zrobię tego nigdy — zdecydował w końcu, biorąc się mocno w garść. Do tej pory działał tak, jakby mirasze były jego przeciwnikami, zdolnymi do planowych działań, skierowanych przeciwko niemu. Ale tak naprawdę nie były to nawet istoty inteligentne. Żadne stworzenie bez macek nie jest w stanie rozwinąć w procesie ewolucyjnym prawdziwej inteligencji. Tak brzmiało Prawo Etliba, nigdy nie podawane w wątpliwość.

W walce pomiędzy inteligencją a instynktowną przebiegłością zwycięża zawsze inteligencja. Musi tak być. Drog powinien jedynie wymyślić, w jaki sposób do tego zwycięstwa doprowadzić.

Ponownie zaczął tropić mirasze, kierując się ich odorem. Jakiej broni przodków mógłby użyć w tej sytuacji? Może niewielkiej bomby atomowej? Było jednak więcej niż pewne, że to spowoduje zniszczenie skóry.

Nagle zatrzymał się i wybuchnął śmiechem. W gruncie rzeczy było to przecież bardzo proste, jeśli się tylko trochę nad tym zastanowić. Dlaczego miałyby wchodzić w bezpośredni kontakt z nader niebezpiecznym miraszem? Przyszedł czas, by użyć swego umysłu, znajomości zwierzęcej psychologii, a także wiedzy na temat sideł, potrzasków i przynęt.

Zamiast tropić mirasze, może przecież udać się do ich legowiska i tam zastawić na nie pułapkę.

Ich prowizoryczny obóz znajdował się w jaskini; dotarli do niego o zachodzie słońca. Skalne turnie i szczyty gór rzucały teraz precyzyjne cienie o ostrych konturach. Statek cumował osiem kilometrów od nich, na dnie doliny, a jego metaliczna srebrzysta powierzchnia połyskiwała czerwono. W ich plecakach znajdowały się całe tuziny szmaragdów, niewielkich, lecz o wspaniałej barwie.

W porze takiej jak ta Paxton myślał zwykle o niewielkim miasteczku w Ohio, barze z wodą sodową i jasnowłosej dziewczynie. Herrera uśmiechał się sam do siebie, zastanawiając się nad pewnymi dość wystawnymi sposobami wydania miliona dolarów przed osiedleniem się na ranczo, gdzie miał zamiar prowadzić poważne interesy. Stellman zaś już układał sobie w myśli niektóre fragmenty swojej pracy doktorskiej na temat pozaziemskich zasobów drogocennych minerałów.

Jednym słowem, wszyscy byli zrelaksowani i w miłym nastroju. Paxton całkiem już wrócił do siebie po wcześniejszym ataku nerwowym. Teraz życzyłby sobie nawet, by potwór z obcej planety ukazał im się — najlepiej zielony, jeśli już można wybierać — ścigając piękną, skąpo ubraną dziewczynę.

— Jesteśmy w domu — oznajmił Stellman, gdy zbliżyli się do wejścia. — Czy chcecie dziś wieczorem gulasz z wołowiny?

Tej nocy przypadała jego kolejka gotowania.

— Z cebulką — odparł Paxton, wkraczając do jaskini.

Wtem gwałtownie odskoczył.

— A to co?! — wrzasnął.

Nie opodal przedsionka jaskini widniał niewielki kawałek pieczonej, apetycznie parującej wołowiny; obok leżały cztery diamenty i butelka whisky.

— To dziwne — stwierdził Stellman. — I odrobinę denerwujące.

Paxton nachylił się, by dotknąć diamentu, jednak Herrera odciągnął go.

— To może być pułapka — ostrzegł.

— Ale tu nie ma żadnych przewodów — powiedział Paxton.

Herrera wpatrywał się w pieczoną wołowinę, diamenty i butelkę. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

— Nie ufam temu — stwierdził.

— A może tu są tubylcy — zasugerował Stellman — tylko bardzo bojaźliwi? Może to gest dobrej woli z ich strony?

— Jasne — odrzekł Herrera. — Specjalnie dla nas posłali na Terrę po butelkę „Starego Kosmicznego Wędrowniczka”.

— Co z tym zrobimy? — spytał Paxton.

— Odsuńcie się — ostrzegł Herrera. — Cofnijcie się tam, gdzie staliście przed chwilą!

To mówiąc, odłamał z najbliższego drzewa dużą gałąź i ostrożnie poszturchał nią diamenty.

— Nic się nie dzieje — skomentował Paxton.

W tej samej chwili kępa wysokiej trawy, na której stał Herrera, owinęła się ciasno wokół jego kostek. Grunt pod nim zafalował, wyłonił się z niego zgrabny dysk o średnicy około pięciu metrów, który zaczął unosić się w powietrze, wlokąc za sobą korzenie traw. Herrera spróbował z niego zeskoczyć, jednak trawy trzymały go mocno, niczym tysiące zielonym macek.

— Trzymaj się! — wrzasnął bezsensownie Paxton, po czym rzucił się do przodu i schwycił brzeg unoszącego się trawiastego kręgu. Dysk przechylił się gwałtownie, na chwilę zatrzymał, po czym znów ruszył w górę. W tym momencie Herrera zdołał już wydobyć nóż i z furją ciął trawę wokół kostek. Stellman ocknął się w chwili gdy zobaczył jak Paxton, uczepony korzeni, unosi się ponad jego głowę.

Schwycił kolegę za kostki, jeszcze raz powstrzymując wznoszenie się kręgu. Herrera zdołał wyrwać jedną stopę i rzucił się ku krawędzi. Druga kostka pozostawała przez chwilę uwięziona, zanim nieustępliwa trawa urwała się wreszcie pod ciężarem Herrery. Upadł głową w dół, zdoławszy jeszcze w ostatniej chwili schować ją pomiędzy ramiona, którymi uderzył o ziemię. Paxton puścił korzenie i runął, lądując na brzuchu Stellmana.

Trawiasty krąg, na którym przez cały czas znajdowały się pieczona wołowina, whisky i diamenty, wznosił się wciąż, aż do chwili gdy zniknął z pola widzenia.

Słońce zaszło. Trzej mężczyźni bez słowa wkroczyli do swojej jaskini z blasterami w pogotowiu. Przy wejściu rozpalili buzujące płomieniami ognisko, po czym wycofali się w głąb komory.

— Dziś w nocy będziemy trzymali wartę na zmianę — zarządził Herrera.

Paxton i Stellman skinęli głowami.

— Myślę, że miałeś rację, Paxton — skostatował Herrera. — Byliśmy tu już wystarczająco długo.

— Zbyt długo — dodał Paxton.

Herrera wzruszył ramionami.

— Jak tylko się rozwidni, wrócimy do statku i odlecimy stąd.

— Jeśli uda nam się dotrzeć do statku — stwierdził ponuro Stellman.

Drog był nieco zniechęcony. Z zamierającym sercem obserwował przedwczesny start swojej pułapki, zmagania, a potem ucieczkę mirasza. A był to wspaniały okaz, największy ze wszystkich trzech!

Teraz już wiedział, na czym polegał jego błąd. W swej nadmiernej gorliwości przesadził z ilością zastosowanych przynęt. Wystarczyłyby same diamenty, ponieważ, jak powszechnie wiadomo, mirasze są minerałolubne. Ale nie, on musiał wzbogacić stosowane przez pionierów metody, musiał zastosować także bodźce smakowe. Nic dziwnego, że zwierzęta zareagowały podejrzliwie, mając w dodatku przeciążone systemy nerwowe.

Teraz były rozwścieczone, pobudzone i zdecydowanie niebezpieczne. Mirasz w furii stanowił zaś jeden z najbardziej przerażających widoków w całej Galaktyce.

Drog czuł się bardzo osamotniony, gdy dwa księżyce Elbonai uniosły się na zachodnim nieboskłonie. Widział ognisko miraszów, płonące przy wejściu do ich jaskini. Używając percepcji bezpośredniej był w stanie dojrzeć skulone mirasze, których wszystkie zmysły napięte były do granic możliwości; broń miały przez cały czas gotową do strzału.

Czy skóra mirasza rzeczywiście była warta aż tyle zachodu?

Drog stwierdził, że wolałby raczej unosić się na wysokości tysiąca pięciuset metrów, nadając chmurom różne kształty i oddając się marzeniom. Chciałby łagodnie wsysać promieniowanie kosmiczne zamiast jeść paskudne, niestrawne jedzenie, którym żywili się przodkowie. Jakie w ogóle znaczenie mogło mieć to całe polowanie i zastawianie pułapek? Były to bezużyteczne umiejętności, które wśród jego pobratymców dawno nie miały żadnego zastosowania.

Niemal już przekonał sam siebie, że ma rację. Zaraz jednak w przebłysku nagłego zrozumienia pojął, o co w tym wszystkim chodzi.

Tak, to prawda, że Elbonaianie mieli już za sobą walkę o byt; rozwinęli się do tego stopnia, że odsunęło to od nich wszystkie niebezpieczeństwa, płynące ze współzawodnictwa gatunków. Jednak Wszechświat pozostawał wciąż dziki i mógł im sprawić mnóstwo przykrych niespodzianek. Któż mógł przewidzieć przyszłe wydarzenia, nowe niebezpieczeństwa, którym będzie musiało stawić czoło jego pokolenie? Jak Elbonaianie będą mogli im sprostać, jeśli zatracą całkowicie swój instynkt polowania?

Nie, dawne obyczaje i sposoby życia powinny być kultywowane, by pozostawać wzorami; by służyć jako memento, iż pokojowo usposobione, inteligentne życie jest czymś nietrwałym w nieprzyjaznym i wrogim Kosmosie.

Zrozumiał, że zdobędzie tę skórę mirasza albo umrze, próbując tego dokonać!

Teraz najważniejszą rzeczą było wywabienie ich z jaskini. Natychmiast przypomniał sobie całą wiedzę na temat polowań, którą mu kiedyś wpojono.

Szybko i umiejętnie ukształtował róg do wabienia miraszów.

— Słyszałeś to? — spytał Paxton.

— Rzeczywiście, mam wrażenie, że coś usłyszałem — odpowiedział Stellman; wszyscy zaczęli uważnie nasłuchiwać.

Dźwięk rozległ się znowu. Był to płaczliwy głos krzyczący:

— Och, pomocy, ratunku!

— To dziewczyna! — Paxton skoczył na równe nogi.

— To dźwięk podobny do głosu dziewczyny — sprostował Stellman.

— Proszę, niech ktoś mnie uratuje! — lamentowała nieznajoma. — Nie mogę już dłużej wytrzymać! Czy ktoś mógłby mi pomóc?!

Paxton poczerwieniał z emocji. W nagłym błysku wyobraźni zobaczył ją, drobną i śliczną, jak stoi przy swoim rozbitym sportowym stateczku kosmicznym (ależ nieroztropną podróż podjęła!), zaś ze wszystkich stron zbliżają się do niej zielone śluzowate potwory. A potem zjawił się on — odrażająca, obca bestia.

Paxton schwycił leżący w pobliżu zapasowy blaster.

— Idę tam — oznajmił.

— Siedź na tyłku, ty kretynie! — rozkazał Herrera.

— Przecież słyszałeś ją, prawda?

— To nie może być żadna dziewczyna — zawyrokował Herrera. — Co dziewczyna robiłaby na tej planecie?

— Zamierzam się tego dowiedzieć — stwierdził Paxton, wywijając dwoma blasterami. — Może rozbił się pasażerski statek kosmiczny albo była na wycieczce i...

— Siadaj! — wrzasnął Herrera.

— On ma rację — Stellman usiłował wyperswadować Paxtonowi. — Nawet jeśli dziewczyna tam jest, w co wątpię, nie możemy nic dla niej zrobić.

— Och, pomocy, ratunku, on się do mnie zbliża! — wrzeszczało domniemane dziewczę.

— Zejdźcie mi z drogi! — warknął Paxton wibrującym, złowróżbnym głosem.

— Naprawdę tam idziesz? — spytał Herrera z niedowierzaniem.

— Tak! Zamierzasz mnie powstrzymać?

— Ruszaj! — Herrera wskazał gestem wyjście z jaskini.

— Nie wolno nam go puścić! — wysapał Stellman.

— Czemu nie? To jego zmartwienie — powiedział leniwie Herrera.

— Nie martwcie się o mnie — zapewnił Paxton. — Wrócę tu za piętnaście minut — z nią!

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia. Herrera pochylił się w przód i z dużą precyzją zdzielił Paxtona w głowę tuż za uchem drągiem z ogniska. Stellman schwycił go, gdy ten upadał.

Ułożyli Paxtona z tyłu, w głębi jaskini, po czym wrócili do swego czuwania. Będąca w niedoli panna jęczała i błagała jeszcze przez następne pięć godzin. W końcu także i Paxton musiał przyznać, że było to stanowczo zbyt długo, nawet jak na serial telewizyjny.

Pluszczący deszczem świt zastał Droga wciąż obozującego w odległości około stu metrów od jaskini. Zobaczył mirasze, wyłaniające się z jej wnętrza w zwartej grupie, z bronią gotową do strzału, obserwujące ostrożnie otoczenie w poszukiwaniu najmniejszego ruchu.

Dlaczego róg do wabienia miraszów zawiódł? Podręcznik Skautera stwierdzał, iż jest to niezawodny sposób na przywabienie samca mirasza. Może jednak nie był to ich okres godowy.

Mirasze przemieszczały się w stronę metalicznego jajowatego przedmiotu, w którym Drog rozpoznał prymitywny środek transportu kosmicznego. Wydawał się dość pospolity, ale mirasze, znalazłszy się w nim, byłyby już bezpieczne przed zakusami Droga.

Mógłby ich po prostu strewestować i cała sprawa na tym by się zakończyła. Jednak nie byłoby to szczególnie humanitarne. Pradawni Elbonaianie byli nade wszystko szlachetni i litościwi, a każdy młody skauter starał się być taki jak oni. Poza tym trewestacja nie była prawdziwie pionierską metodą.

Pozostawała zatem meltratacja. Był to najstarszy trik zawarty w książce i Drog musiałby podejść blisko do miraszów, żeby zrobić coś takiego. Nie miał jednak nic do stracenia.

Na szczęście warunki klimatyczne były wprost idealne.

Zaczęło się od niskiej, przygruntowej mgiełki. Gdy wyblakłe słońce wzniosło się wysoko na

poszarzały nieboskłon, utworzyła się już prawdziwa mgła.

Herrera zaklął ze złością, gdy stała się jeszcze gęstsza.

— Trzymajmy się teraz blisko siebie i niech nam szczęście sprzyja!

Wkrótce wędrowali, położywszy sobie nawzajem ręce na ramionach, z blasterami gotowymi do strzału, badając wzrokiem nieprzeniknioną mgłę.

— Herrera?

— Tak?

— Czy jesteś pewien, że idziemy we właściwym kierunku?

— Jasne. Sprawdziłem kurs na kompasie, zanim mgła się podniosła.

— A może twój kompas jest zepsuty?

— Nawet o tym nie myśl.

Szli dalej, ostrożnie wybierając szlak na pokrytym skalistymi odłamkami gruncie.

— Wydaje mi się, że widzę statek — stwierdził Paxton.

— Nie, to jeszcze niemożliwe — odparł Herrera.

Stellman potknął się o skałę, upuścił swój blaster, podniósł go i zaczął gmerać dookoła w poszukiwaniu ramienia Herrery.

Znalazł je i ruszył naprzód.

— Myślę, że jesteśmy prawie na miejscu — powiedział Herrera.

— Możesz mi wierzyć, że niczego innego nie pragnę — dywagował Paxton. — Mam już kompletnie dość.

— Czy myślisz, że ta twoja dziewczyna czeka na ciebie przy statku?

— Nie dokuczaj mi.

— Okay — zgodził się Herrera. — Hej, Stellman, lepiej złap mnie znowu za ramię! Nie ma sensu rozdzielać się teraz.

— Przecież trzymam cię za ramię — powiedział Stellman.

— Nie, nie trzymasz.

— Mówię ci, że tak!

— Posłuchaj, do cholery, czuję, czy ktoś trzyma mnie za ramię czy nie!

— A może to ciebie trzymam za ramię, Paxton?

— Nie — odpowiedział Paxton.

— To źle — powiedział bardzo powoli Stelman. — To naprawdę niedobrze.

— Dlaczego?

— Ponieważ stanowczo trzymam kogoś za ramię.

— Padnij, natychmiast padnij, zrób mi miejsce do strzału! — wrzasnął Herrera. Było już jednak za późno. W powietrzu dało się wyczuć słodkokwaśny odór. Stelman i Paxton wciągnęli go w płuca i zemdleli. Herrera pobiegł na oślep do przodu, próbując wstrzymać oddech. Potknął się o skałę i przewrócił. Próbował podnieść się na nogi...

Wtedy wszystko pochłonęła ciemność.

Mgła nagle się uniosła, ukazując samotną postać Droga, który uśmiechał się triumfalnie. Wyciągnął nóż z drugim ostrzem do oprawiania skór i pochylił się nad najbliższym miraszem.

Statek pędził w stronę Terry z prędkością, która groziła spalaniem silników, pracujących teraz na najwyższych możliwych obrotach. Herrera, zgarbiony nad tablicą kontrolną, w końcu odzyskał panowanie nad sobą i zredukował prędkość do normalnego poziomu. Jego twarz, zwykle opalona i tryskająca zdrowiem, była wciąż szara, a jego dłonie na instrumentach kontrolnych drżały.

Stelman wszedł do sterowni od strony kabiny sypialnej i ze znużeniem klapnął na fotel drugiego pilota.

— Jak tam Paxton? — spytał Herrera.

— Zaaplikowałem mu dawkę drony-3 — odpowiedział Stelman. — Wyjdzie z tego.

— To dobry chłopak.

— Doznał przede wszystkim szoku — stwierdził Stelman. — Kiedy odzyska świadomość, zamierzam zlecić mu robotę przy liczeniu diamentów. O ile się nie mylę, liczenie diamentów to najlepsza terapia.

Herrera uśmiechnął się, a jego twarz zaczęła odzyskiwać normalny kolor.

— Teraz, kiedy wreszcie wszystko dobrze się skończyło, czuję się tak, jakbym już liczył diamenty

— powiedział, po czym jego wydłużone oblicze przybrało poważny wyraz. — Ale pytam cię, Stelman, kto, do diabła, mógłby sobie wyobrazić, że skończy się właśnie tak? Wciąż tego nie rozumiem!

Zlot skauterów okazał się wspaniałym spektaklem. Patrol Podniebnych Sokołów, numer dwadzieścia dwa, wykonał krótką pantomimę przedstawiającą oczyszczanie ziem planety Elbonai. Patrol Dzielnych Bizonów, numer trzydzieści jeden, był ubrany w stroje używane niegdyś przez przodków.

A na czele Patrolu Szarżujących Miraszów, numer dziewiętnaście, kroczył Drog, już jako skauter pierwszej klasy, ozdobiony błyszczącą odznaką sprawności. Pełnił honorową funkcję — niósł flagę patrolu, a wszyscy wydawali okrzyki radości na jej widok.

Bowiem z drzewca flagi zwisała, powiewając dumnie na wietrze, dorodna, charakterystyczna skóra dorosłego mirasza, a jej zamki błyskawiczne, przewody, wskaźniki, przyciski i zewnętrzne kieszenie połyskiwały radośnie w blasku słońca.

A Thief in Time.

Złodziej w czasie

Thomas Eldridge przebywał zupełnie sam w swoim pokoju, gdy usłyszał słaby odgłos skrobania za plecami. Jego świadomość ledwie to zarejestrowała. Studiował właśnie równania Holsteada, które narobiły parę lat temu sporo zamieszania z powodu zawartych w nich aluzji do nierelatywistycznego Wszechświata. Był to dość niepokojący zestaw symboli, chociaż dowiedziono, że wynikające zeń konkluzje są nieco zwodnicze.

Mimo to, jeśli przyjrzeć się im bez uprzedzeń, wyglądało na to, iż czegoś dowodzą. Było to przede wszystkim zaskakujące powiązanie ich elementów temporalnych, z którego wynikały interesujące konsekwencje. Było to... ponownie usłyszał ten sam dźwięk i odwrócił się.

Okazało się, że za jego plecami stoi potężny facet ubrany w szerokie, jakby nadmuchiwane purpurowe spodnie, niewielką zieloną kamizelkę oraz ażurową koszulę srebrnego koloru. Miał przy sobie czarne urządzenie w kształcie sześcianu, na którym widać było kilka tarcz kontrolnych, i wyglądał zdecydowanie nieprzyjaźnie.

Teraz bezmyślnie gapili się na siebie. Eldridge pomyślał przez chwilę, że to jakiś studencki kawał. Był najmłodszym profesorem nadzwyczajnym w Instytucie Technologicznym Carvell i w czasie Diabelskiego Tygodnia zawsze jakiś student wręczał mu jajo ugotowane na twardo lub żywą ropuchę.

Jednak ten mężczyzna nie był rozchichotanym studentem. Miał przynajmniej pięćdziesiąt lat i bez wątpienia był wrogo nastawiony.

— Jak pan się tu dostał i czego pan chce? — zapytał stanowczo Eldridge.

Mężczyzna uniósł brwi.

— Chcesz nadrabiać miną, he? — spytał.

— Co miałbym nadrabiać miną? — odpowiedział pytaniem zaskoczony Eldridge.

— Człowieku, rozmawiasz z Viglinem — usłyszał. — Z Viglinem. Pamiętasz?

Eldridge usiłował przypomnieć sobie, czy w pobliżu Carvell znajduje się jakiś szpital dla obłąkanych. Ten Viglin wyglądał na zbiegłego lunatyka.

— Zwraca się pan do niewłaściwego człowieka — oznajmił Eldridge, zastanawiając się, czy powinien wezwać pomoc.

Viglin potrząsnął głową przecząco.

— Nazywa się pan Thomas Monroe Eldgridge — stwierdził — i urodził się pan 16 marca 1926

roku w Darien, Connecticut. Uczęszczał pan do Uniwersyteckiego Heights College'u, który ukończył pan z wyróżnieniem. Na początku ubiegłego roku uzyskał pan stanowisko wykładowcy w Carvell. Czy, jak do tej pory, wszystko się zgadza?

— Owszem. Dokonał więc pan z jakiegoś powodu niewielkiego przeglądu mojego życiorysu. Lepiej, żeby to był uzasadniony powód, bo w przeciwnym wypadku wezwę gliny.

— Zawsze byłeś gościem z nerwami jak postronki. Jednak w tym wypadku blefowanie nic nie da. To ja wezwę policję.

To mówiąc, przycisnął guzik urządzenia, które trzymał w dłoniach. W pokoju pojawiło się nagle dwóch ludzi. Mieli na sobie frywolne, pomarańczowo-zielone uniformy z połyskującymi metalicznie insygniami na rękawach. Obaj dźwigali też czarne urządzenie, takie samo, jakie miał Viglin, z tym, że jego górna część polakierowana była na białło.

— Przepęstwo nie popłaca — powiedział Viglin. — Aresztujcie tego złodzieja!

Przez chwilę Eldridge'owi wydawało się, że jego miły pokój w college'u, wraz ze znajdującymi się w nim rycinami Gauguina, nieporządnymi stosami książek i jeszcze bardziej niechlujnym zestawem hi-fi oraz kosmatym czerwonym dywanem, krąży wokół, przyprawiając go o zawrót głowy. Kilkakrotnie mrugnął powiekami, mając nadzieję, że całe to zamieszanie zostało spowodowane zmęczeniem wzroku lub, co jeszcze bardziej prawdopodobne, może po prostu śnił.

Jednak Viglin wciąż tam był, przerażająco materialny.

Dwaj policjanci wyjęli skądś parę kajdanek i ruszyli w stronę Eldridge'a.

— Poczekajcie! — krzyknął, zapierając się o biurko. — O co tu chodzi?!

— Jeśli chcesz, aby przedstawiono ci formalne zarzuty — stwierdził Viglin — będziesz je miał.

Odchrząknął, po czym kontynuował:

— Tomaszu Eldridge, w marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku wynalazłeś Przenośnik Eldridge'a. Potem...

— Chwileczkę! — zaprotestował Eldridge. — To jeszcze nie jest ten rok; mówię to na wypadek, gdybyś nie wiedział.

Viglin wyglądał na zirytowanego.

— Nie wykręcaj się — powiedział. — Wynajdziesz przenośnik w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim, jeśli wolisz taki sposób wyrażania się. Wszystko zależy od temporalnego punktu widzenia.

Przetrawienie tego zabrało Eldridge'owi chwilę czasu.

— Czy masz na myśli to, że... jesteście z przyszłości? — wyjąkał.

Jeden z policjantów trącił drugiego łokciem.

— Co za aktor! — powiedział z podziwem.

— Lepszy niż w niejednej kretyńskiej komedii — zgodził się drugi, pobrząkując kajdankami.

— Oczywiście, że jesteśmy z przyszłości — odpowiedział Viglin. — A niby skąd mielibyśmy być? W roku, o którym mowa, wynalazłeś — lub wynajdziesz — Przenośnik Eldridge'a, tym samym umożliwiając podróże w czasie. Z jego pomocą wyruszyłeś do pierwszego sektora przyszłości, gdzie przyjmowano cię z najwyższymi honorami. Następnie podróżowałeś z serią wykładów po trzech sektorach Cywilizowanego Czasu. Byłeś bohaterem, Eldridge, ideałem do naśladowania. Małe dzieci chciały być takie jak ty, kiedy dorosną.

Viglin kontynuował ochrypłym głosem:

— Zostaliśmy jednak oszukani. Nieoczekiwanie i z rozmysłem ukradłeś pewną ilość wartościowych przedmiotów. Było to dla nas szokujące! Nigdy nie podejrzewaliśmy cię o skłonności kryminalne. Gdy podjęliśmy próbę aresztowania cię, zniknąłeś.

Viglin przerwał i potarł czoło w geście zmęczenia.

— Byłem twoim przyjacielem, Tom — mówił — pierwszym człowiekiem, którego spotkałeś w sektorze numer jeden. Wypiliśmy razem niejedną puchar floxu. Zorganizowałem dla ciebie ten objazd z wykładami... a ty mnie obrabowałeś.

Rsy jego twarzy stwardniały.

— Panowie policjanci, proszę go aresztować — polecił.

Gdy funkcjonariusze ruszyli, aby wykonać rozkaz, Eldridge przyjrzał się dokładnie czarnemu urządzeniu, które trzymali. Podobnie jak przyrząd Viglina, miał on kilka tarcz kontrolnych i rząd przycisków. Poprzez pokrywę przebiegał wytłoczony na biało napis: TRANSPORTER ELDRIDGE'A — WŁASNOŚĆ KOMENDY POLICJI W EASKILL.

Policjanci zatrzymali się i zwrócili do Viglina:

— Czy ma pan dokumenty ekstradycyjne?

Viglin przeszukał kieszenie.

— Wygląda na to, że nie mam ich przy sobie. Ale wiecie przecież, że on jest złodziejem.

— Każdy to wie — odpowiedział policjant. — Nasza jurysdykcja nie obejmuje jednak sektorów czasu, z którymi nie nawiązano jeszcze kontaktu, jeśli nie posiadamy dokumentów ekstradycyjnych.

— Poczekajcie tutaj — odrzekł Viglin. — Zdobę ją.

Przyjrzał się dokładnie swojemu zegarkowi, wymamrotał coś o półgodzinnej przerwie, po czym nacisnął guzik przenośnika i natychmiast zniknął.

Policjanci usiedli na kanapie i zaczęli zerkać w stronę sztychów Gauguina.

Eldridge próbował myśleć, planować swoje działania, antycypować przyszłość. Nic z tego jednak nie wychodziło. Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, jego umysł wzdragał się przed tym. Nikt nie jest w stanie go przekonać, że...

— I pomyśleć, że znany facet, taki jak ten, okazał się kanciarzem — odezwał się jeden z policjantów.

— Wszyscy geniusze są kopnięci — skonstatował drugi z filozoficzną zadumą. — Pamiętasz tego rąbniętego tancerza, który zabił dziewczynę? Niektórzy też twierdzili, że był geniuszem.

— Taaa... — pierwszy policjant przypalił sobie cygaro i cisnął zapałkę na kosmaty czerwony dywanik Eldridge'a.

W porządku, zdecydował Thomas, załóżmy, że to, co się dzieje, jest prawdą. Biorąc pod uwagę okoliczności, musi w to uwierzyć. Nie było to aż tak bardzo absurdalne: zawsze przecież podejrzewał, że jest genialny.

Jednak co, tak naprawdę, się wydarzyło?

W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim wynajdzie maszynę czasu.

Logiczne, biorąc pod uwagę jego talent.

Wyruszy w podróż poprzez trzy sektory Cywilizowanego Czasu.

Cóż, z pewnością, skoro już będzie miał maszynę czasu. Jeśli istnieją trzy sektory, to oczywiste, że będzie chciał je zbadać.

Mógłby spenetrować nawet sektory niecywilizowane.

A potem, zaskakując wszystkich, okaże się złodziejem.

Nie! Mógł zaakceptować wszystko inne, ale to zupełnie nie leżało w jego charakterze. Był niezwykle uczciwym młodym człowiekiem, nigdy nie popełnił najdrobniejszego nawet oszustwa, jakich dopuszczają się ludzie. Jeszcze jako student nigdy nie ściągał podczas egzaminów. Będąc dorosłym człowiekiem zawsze uczciwie płacił podatek dochodowy, co do ostatniego pensa.

Ba, jego wstręt do występku miał jeszcze głębszy charakter. Eldridge pozbawiony był całkowicie żądzy władzy i posiadania. Jego najgłębszym pragnieniem było zawsze osiedlenie się w jakimś sennym zakątku kraju, czerpanie zadowolenia z książek i muzyki, słońca, sympatycznych sąsiadów i

miłości jakiejś drobnej, uczciwej kobiety, która zechciałaby być jego towarzyszką życia.

A teraz oskarżono go o złodziejstwo. Nawet jeśli był winny, jaki wyobrażalny motyw mógł pokierować jego działaniami?

Co miało stać się z nim w przyszłości?

— Wybierasz się na wyścigi odpalaczy? — spytał jeden z gliniarzy drugiego.

— Czemu nie? Będą w Malinową Niedzielę, prawda?

Eldridge nic ich nie obchodził. Gdy ponownie zjawi się Viglin, zakują go w kajdanki i zaciągną do sektora pierwszego. Tam zostanie skazany i wtrącony do celi.

A wszystko to za przestępstwo, które dopiero kiedyś popełni.

Podjął szybką decyzję i natychmiast wprowadził ją w życie.

— Słabo się czuję — oznajmił, po czym zaczął się zsuwać z krzesła.

— Uważaj, on może mieć broń! — krzyknął jeden z policjantów.

Ruszyli w jego stronę, zostawiając transporter na kanapie.

Eldridge wymknął się im po drugiej stronie biurka, po czym skoczył na maszynę czasu. Nawet w tak szaleńczym pośpiechu zdał sobie sprawę, że sektor pierwszy nie będzie dla niego zbyt bezpiecznym miejscem. Gdy policjanci pędzili sprintem w jego stronę przez pokój, nacisnął guzik oznaczony napisem: SEKTOR DRUGI.

Natychmiast pochłonęła go ciemność.

Gdy Eldridge otworzył oczy, odkrył, że stoi zanurzony po kostki w kałuży brudnej wody. Znajdował się na polu, mniej więcej sześć metrów od drogi. Klimat tego miejsca okazał się ciepły i wilgotny. Eldridge skonstatował też, że pod pachą ścisła kurczowo przenośnik.

Był w sektorze drugim przyszłości i nie odczuwał z tego powodu ani odrobiny lęku.

Powędrował ku drodze. Po obu jej stronach widniały spiętrzone tarasami pola, a na nich — zielone źdźbła sadzonek ryżu.

Skąd tutaj ryż? To prawda, Eldridge przypomniał sobie, że w jego własnym sektorze czasu przewidywano zmianę klimatu.

Spodziewano się, że kiedyś strefa gorąca — może nawet tropikalna — ogarnie okolice Nowego Jorku. Wyglądało na to, że przyszłość potwierdziła tę teorię. Już w tej chwili Eldridge pocił się

obficie. Grunt był wilgotny, tak jakby niedawno padał deszcz, a bezchmurne niebo miało intensywną niebieską barwę.

Gdzie mogli być teraz farmerzy? Rzuciwszy okiem na słońce w zenicie, Eldridge bardzo szybko znalazł odpowiedź.

Naturalnie, urządzili sobie sjęstę.

Spojrząwszy wzdłuż drogi, w odległości około kilometra zobaczył jakieś budynki. Zdrapał błoto z butów i zaczął iść w tamtą stronę.

Cóż jednak robi, kiedy już tam dotrze? W jaki sposób odkryje, co stało się z nim w sektorze pierwszym? Nie może przecież podejść do kogoś i oznajmić:

— Przepraszam pana bardzo, jestem z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego, o którym być może pan słyszał. Wygląda na to, że w niezrozumiały dla mnie sposób...

Nie, to zabrzmia głupio.

Powinien wymyślić coś innego. Zastanawiając się nad tym, Eldridge wędrował dalej, a słońce w zenicie prażyło wściekle. Przełożył transporter do drugiej ręki, a potem przyjrzał mu się dokładnie. Pomimo że zamierzał go wynaleźć — a właściwie już go wynalazł — lepiej by było, gdyby dowiedział się czegoś więcej, jak właściwie działa ta maszyna.

Na jej obudowie znajdowały się guziki, oznaczające trzy pierwsze sektory Cywilizowanego Czasu. Był też specjalny, wydzielony wskaźnik kontrolny do podróżowania przez sektor trzeci do sektorów niecywilizowanych. W jednym z rogów widniała metalowa tabliczka, na której napisane było: OSTRZEŻENIE — Proszę zachować przynajmniej półgodzinny odstęp pomiędzy skokami w czasie, w celu uniknięcia anulowania.

Nie mówiło mu to wiele. Według słów Viglina, wynalezienie przenośnika zabrało mu osiem lat — od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego. Na zrozumienie, jak działa to urządzenie, będzie potrzebował chyba więcej niż kilka minut.

Eldridge dotarł do zabudowań i stwierdził, że znajduje się w mieście sporej wielkości. Po ulicach, w promieniach tropikalnego słońca, spacerowali nieliczni przechodnie, ubrani na białą. Ku zadowoleniu Eldridge'a okazało się, że moda w sektorze drugim jest na tyle konserwatywna, iż jego garnitur nie odbiega krojem od ich strojów.

Przeszedł obok dużego budynku z cegły. Napis na ścianie frontowej głosił: CZYTELNIJA PUBLICZNA.

Biblioteka! Eldridge zatrzymał się. Wewnątrz znajdowały się z pewnością informacje o historii ostatnich kilkuset lat. Powinna być tutaj także relacja na temat jego przestępstwa — jeśli w ogóle się go dopuścił — i okoliczności, w jakich je popełnił.

Jednak czy będzie tu bezpieczny? Czy wydano jakiś okólnik w sprawie jego aresztowania? Czy pomiędzy sektorami pierwszym a drugim funkcjonowała umowa o ekstradycji?

Nie było innego sposobu, jak zaryzykować. Eldridge wszedł do wnętrza budynku, minął chudego, bladego bibliotekarza i wkroczył pomiędzy półki z książkami.

Znaczna część zbiorów dotyczyła czasu. Najdokładniejszym opracowaniem tego zagadnienia okazała się książka „Geneza podróży w czasie” pióra Ricardo Alfredexa. Pierwsza część tego dzieła mówiła o tym, jak młodemu geniuszowi Eldridge’owi pewnego dnia przyszedł do głowy załączek głównej idei, gdy studiował kontrowersyjne równania Holsteada.

Sama formuła okazała się naprawdę wręcz absurdalnie prosta — Alfredex cytował jej główne reguły — jednak wcześniej nikt na nią nie wpadł. Geniusz Eldridge’a polegał przede wszystkim na dostrzeżeniu tego, co oczywiste.

Eldridge zmarszczył brwi, przeczytawszy to dyskredytujące go stwierdzenie. Czy naprawdę było to takie proste? Wciąż tego nie rozumiał. A przecież to on właśnie był wynalazcą!

Maszyna została zbudowana około tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. Już pierwsza próba dowiodła, że urządzenie działa, ponieważ wyekspediowało ono młodego wynalazcę w czasy, które obecnie znane są pod nazwą pierwszego sektora.

Eldridge podniósł wzrok znad tekstu i zauważył, że przygląda mu się dziewczynka w okularach, w wieku około dziewięciu lat, stojąca przy końcu rzędu książek. Gdy spojrzał na nią, szybko umknęła, znikając z pola widzenia. Wobec tego kontynuował lekturę.

Rozdział następny zatytułowany był: „Nieparadoksalność czasu”. Autor rozpoczął od przytoczenia klasycznego paradoksu Achillesa i żółwia, po czym obalał go, używając rachunku całkowego. Traktując ten zabieg jako logiczną podstawę dalszego rozumowania, przechodził do tak zwanych paradoksów czasowych — zabicia własnego praprapradziadka, spotkania samego siebie i temu podobnych. Okazały się one równie nietrwale, jak starożytny paradoks Zenona. Kontynuując Alfredex wyjaśniał, że wszystkie paradoksy czasowe były wynalazkami autorów z talentem do tworzenia intelektualnego bałaganu.

Eldridge nie rozumiał powikłanych symboli logicznych użytych w tej części, co wydawało się żenujące, ponieważ to on był tu cytowany jako główny autorytet w tej kwestii.

Kolejny rozdział miał tytuł: „Upadek potentata”. Mówiło się tu o tym, jak Eldridge spotkał Viglina, właściciela dużego sklepu sportowego w sektorze pierwszym. Szybko stali się przyjaciółmi. Przedsiębiorca wziął nieśmiałego młodego człowieka pod swoje skrzydła. Zorganizował dla niego kilka tras z cyklami wykładów. Potem...

— Przepraszam pana uprzejmie — powiedział ktoś. Eldridge podniósł wzrok znad książki. Okazało się, że stoi przed nim blady bibliotekarz, a obok niego dziewczynka w okularach z pełnym satysfakcji uśmiechem na twarzy.

— Tak? — spytał Eldridge.

— W czytelni nie zezwala się na noszenie przy sobie transporterów czasowych — powiedział surowo pracownik biblioteki.

To zrozumiałe — pomyślał Eldridge. Używając przenośnika można było przecież schwycić tyle wartościowych książek, ile zdoła się unieść, po czym bezpowrotnie zniknąć. Prawdopodobnie transporterów nie wolno było mieć przy sobie również w bankach.

Problem polegał na tym, że on nie zamierzał oderwać się od tej książki.

Uśmiechnął się, popukał w ucho, po czym pospiesznie wrócił do lektury.

Wyglądało na to, że młody i błyskotliwy Eldridge pozwolił, by Viglin zajął się wszystkimi jego kontraktami i dokumentami. Któregoś dnia odkrył ku swemu zdziwieniu, że w zamian za niewielką finansową rekompensatę przepisał wszystkie swoje prawa do transportera czasowego na Viglina.

Wtedy wniósł sprawę do sądu. Przegrał ją. Złożył apelację.

Pozbawiony środków do życia i zgorzkniały, Eldridge wkroczył na drogę przestępstwa, kradnąc Viglinowi...

— Proszę pana! — odezwał się stanowczo bibliotekarz. — Niezależnie od tego, czy jest pan głuchy, czy nie, musi pan natychmiast opuścić to miejsce. W przeciwnym wypadku wezwę strażnika.

Eldridge odłożył książkę, wymamrotał: „gadka–szmatka” pod adresem dziewczynki, po czym w pośpiechu opuścił czytelnię.

Teraz już wiedział, dlaczego Viglin tak skwapliwie dążył do aresztowania go. Ponieważ jego sprawa wciąż była w toku, Eldridge, wsadzony za kratki, znalazłby się w bardzo kiepskiej sytuacji.

Dlaczego jednak dopuścił się kradzieży?

Ewentualna chęć rewanżu wydawała się w tym wypadku zrozumiałym motywem, jednak Eldridge był pewien, że nie jest to motyw prawdziwy. Ukradzenie czegoś Viglinowi nie mogło sprawić, by poczuł się lepiej, a tym bardziej nie naprawiłoby zła. W takiej sytuacji prawdopodobnie podjąłby walkę lub się wycofał, by być jak najdalej od całego tego zamieszania. Zrobiłby wszystko oprócz kradzieży.

Cóż, musi wy badać, co się zdarzyło. Ukryje się w sektorze drugim, być może znajdzie tu pracę. Będzie mógł kawałek po kawałku...

Z obu stron wzięli go pod ramiona dwaj mężczyźni. Trzeci błyskawicznie odebrał mu transporter. Zostało to wykonane tak gładko, że Eldridge wciąż miał otwarte ze zdumienia usta, gdy jeden z nich pokazywał mu oznakę.

— Policja — oznajmił. — Będzie pan zmuszony pójść z nami, panie Eldridge.

— Pod jakim zarzutem? — spytał.

— Kradzież w sektorze pierwszym i drugim.

A więc kradł także tutaj!

Zabrano go na posterunek, gdzie został wprowadzony do małego, zagraconego biura zwierzchnika policji. Okazał się on smukłym, łysiejącym mężczyzną o pogodnej twarzy. Poleciał gestem swoim podwładnym, by wyszli z pokoju, wskazał Eldridge'owi fotel i poczęstował go papierosem.

— A więc to pan jest tym słynnym Eldridge'em — powiedział.

Eldridge markotnie kiwnął głową.

— Już w dzieciństwie rozczytywałem się w opowieściach o panu — stwierdził z nostalgią szef policji. — Był pan jednym z moich bohaterów.

Kapitan wydał się Eldridge'owi dobre kilkanaście lat starszy od niego, jednak postanowił nie pytać o to szefa policji.

W końcu to on powinien być ekspertem od paradoksów czasowych.

— Zawsze uważałem, że zrobił pan kiepski interes na tej kradzieży — oznajmił kapitan, bawiąc się dużym, zrobionym z brązu przyciskiem do papieru. — Nie rozumiałem też, w jaki sposób ktoś taki jak pan może kraść. Myśleliśmy przez jakiś czas, że to mógł być przejściowy atak obłądu.

— A może był? — zapytał Eldridge z nadzieją.

— Niestety, to zostało wykluczone. Sprawdziliśmy dokładnie pańskie dane. Nie ma pan żadnych skłonności do choroby umysłowej. W tym momencie wyjaśnienie całej sprawy staje się dla mnie dość trudne. Na przykład: dlaczego ukradł pan akurat te konkretne przedmioty?

— Jakie przedmioty?

— Nie pamięta pan?

— Hm... jakoś wyleciało mi z głowy — wyjaśnił szybko Eldridge. — Chwilowa amnezja.

— Rozumiem to doskonale — stwierdził kapitan ze współczuciem, po czym wręczył Eldridge'owi jakiś dokument. — Proszę, oto lista — powiedział.

PRZEDMIOTY UKRADZONE NA SZKODĘ

SKLEPU SPORTOWEGO VIGLINA, SEKTOR PIERWSZY:

Wartość w kredytach

4 wielkoładunkowe pistolety ręczne 10.000

3 nadmuchiwane kamizelki ratunkowe 100

5 puszek płynu Oilena przeciw rekinom 400

UKRADZONE ZE SPECJALISTYCZNEGO SKLEPU

AFGHANA, SEKTOR PIERWSZY.

2 mikroflexowe zestawy literatury światowej 1.000

5 kaset z muzyką symfoniczną Teeny — Toma 2.650

UKRADZONE ZE SKLEPU WARZYWNEGO

LORRIEGO, SEKTOR DRUGI:

4 tuziny paczek ziemniaków, gatunek: Biały Żółw 5

9 opakowań nasion marchwi (luksusowej) 6

UKRADZONE ZE SKLEPU GALANTERYJNEGO

MANORIEGO, SEKTOR DRUGI:

5 tuzinów luster posrebrzanych (ręcznych) 95

Całkowita wartość 14.256

— O co tu może chodzić? — spytał kapitan. — Jestem w stanie zrozumieć, że ktoś kradnie hurtem milion kredytek, ale po co komu te wszystkie śmiecie?

Eldridge potrząsnął głową przecząco; on także tego nie rozumiał. Nie mógł znaleźć na tej liście niczego sensownego, co dałoby mu klucz do sprawy. „Wielkoładunkowe pistolety ręczne”, owszem, mogły wydawać się dość użyteczne. Ale po co te lustra, kamizelki ratunkowe, ziemniaki i cała reszta przedmiotów, które szef policji całkiem słusznie nazwał „śmieciami”?

To było zupełnie do niego niepodobne. Eldridge przyłapał się na tym, że zaczyna myśleć o sobie jako o dwóch ludziach.

Ten pierwszy odkrył możliwość podróżowania w czasie, został oszukany, ukradł pewną ilość całkiem niewytłumaczalnych przedmiotów, po czym zniknął. Ten drugi zaś — to był on, człowiek, którego odnalazł Viglin. Nie miał wspomnień związanych z życiem pierwszego Eldridge’a. Musiał jednak odkryć motywy, które tamtym kierowały, oraz odpokutować za jego przestępstwa.

— Co się stało po tym, jak ukradłem te przedmioty? — spytał Eldridge.

— Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć — odparł kapitan. — Wiemy jedynie, że czmychnął pan ze swoim łupem do sektora trzeciego.

— A potem?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Kiedy wystąpiliśmy o ekstradycję, tamtejsze władze poinformowały nas, że nikt taki nie istnieje. Nie oddali nam też pana, oczywiście. Rozumie pan, to ludzie dumni i niezależni. W każdym razie zniknął pan bezpowrotnie.

— Zniknąłem? Ale dokąd mogłem się udać?

— Nie wiem. Mógł pan się przenieść do niecywilizowanych sektorów, znajdujących się za sektorem trzecim.

— Czym są te niecywilizowane sektory? — spytał Eldridge.

— Mieliśmy nadzieję, że pan nam to powie — odrzekł kapitan. — Jest pan jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek był poza sektorem trzecim.

Do cholery, pomyślał Eldridge, kapitan posądzał go o to, że jest autorytetem w sprawach, o których policja nie wie, a koniecznie chce się dowiedzieć!

— To oznacza dla mnie spory dylemat — zauważył kapitan, zezując na swój przycisk do papieru.

— Dlaczego?

— Cóż, jest pan złodziejem. Według prawa muszę pana aresztować. Mimo to mam świadomość, że

zrobił pan na tym bardzo nędzny interes. Przypadkiem wiem również, że kradł pan te towary jedynie Viglinowi i jego współpracownikom w obu sektorach. W jakimś sensie jest to sprawiedliwe, ale, niestety, prawo tego nie potwierdza.

Eldridge ze smutkiem pokiwał głową.

— Niewątpliwie moim obowiązkiem jest aresztować pana — oznajmił kapitan z głębokim westchnieniem. — Nie mogę nic na to poradzić, nawet gdybym chciał. Będzie pan musiał stanąć przed sądem i prawdopodobnie odsiedzieć wyrok około dwudziestu lat więzienia.

— Co?! Za kradzież tandety w rodzaju płynu przeciw rekinom i nasion marchwi?! Za przywłaszczenie sobie śmieci?!

— Jesteśmy dość surowi wobec złodziejstwa w czasie — wyjaśnił kapitan. — To w końcu przestępstwo temporalne.

— Rozumiem — skostatował Eldridge, opadając bezwładnie na fotel.

— Oczywiście — kontynuował kapitan z namysłem — gdyby nagle okazał się pan niebezpieczny, ogłuszył mnie uderzeniem w głowę, używając tego ciężkiego przycisku do papieru, porwał mój osobisty transporter czasowy, który przechowuję na drugiej od góry półce tej szafki, powrócił do swoich przyjaciół w sektorze trzecim, nie mógłbym zrobić naprawdę nic, aby temu zaradzić.

— Doprawdy?

Kapitan odwrócił się w stronę okna, pozostawiając swój przycisk do papieru w zasięgu ręki Eldridge'a.

— To naprawdę straszne — zauważył — jakie czyny może rozważać ktoś, kto chce pomóc bohaterowi swego dzieciństwa. Ale, oczywiście, jest pan człowiekiem przestrzegającym prawa. Nigdy nie zrobiłby pan czegoś takiego, a ja mam opinię psychologów, które dowodzą tego niezbitcie.

— Dzięki — odrzekł Eldridge. Podniósł przycisk do papieru i lekko stuknął nim kapitana w głowę. Zwierzchnik policji z uśmiechem zwałił się na biurko. Eldridge znalazł w szafce przenośnik i nastawił go na sektor trzeci. Westchnął głęboko i nacisnął guzik.

Ponownie pochłonęła go ciemność.

Gdy otworzył oczy, stał na równinie, na żółtawej i spękanej ziemi. Wokół niego rozciągało się pozbawione jakichkolwiek drzew pustkowie, a wicher ciskał mu w twarz tumany pyłu. W oddali dojrzał kilka budowli z cegły i rząd namiotów, wzniesionych najwyraźniej wzdłuż brzegu wyschłego potoku.

Ruszył w ich stronę.

Pomyślał, że w jeszcze dalszej przyszłości musiała zdarzyć się kolejna zmiana klimatu. Bezlitosne słońce wypaliło ziemię, całkowicie wysuszając strumienie i rzeki. Jeśli ta tendencja miała się utrzymać, Eldridge mógł zrozumieć, dlaczego przyszłość, która następowała po sektorze trzecim, była niecywilizowana. Prawdopodobnie była ona również nie zaludniona.

Czuł się bardzo zmęczony. Nie jadł nic przez cały dzień — lub od kilku tysięcy lat, zależnie od tego, jak liczyć. Uświadamiał sobie jednak, że był to fałszywy paradoks, jeden z tych, które Alfredex mógłby z pewnością obalić, używając logiki symbolicznej.

Do diabła z logiką! Do diabła z nauką, paradoksami, do diabła ze wszystkim! Tu, na tej pustynnej ziemi, musi być dla niego miejsce. Ludzie, którzy tu żyją — dumni i niezależni — nie oddadzą go nikomu. Wierzą bowiem w sprawiedliwość, a nie w martwą literę prawa. Tu będzie mógł zostać, pracować, zestarzeć się i zapomnieć tego pierwszego Eldridge'a oraz jego szalone projekty.

Dotarłszy do wioski ujrzał, że tutejsi ludzie już zgromadzili się, by go powitać. Byli ubrani w drugie fałdziste szaty, przypominające arabskie burnusy, które stanowiły jedyną logiczną i użyteczną wersję stroju w tym klimacie.

Brodaty patriarcha wystąpił spośród tłumu i poważnie skłonił się Eldridge'owi.

— Zaiste, prawdziwe są prastare powiedzenia — oznajmił. — Coś, co się zaczęło, zawsze ma swój koniec.

Eldridge uprzejmie skinął głową.

— Czy ktoś ma może łyk wody? — spytał.

— Prawdziwie też napisano — kontynuował patriarcha — iż złodziej, choćby mógł wędrować po całym wszechświecie, zawsze wróci w końcu do miejsca swej zbrodni.

— Zbrodni? — spytał Eldridge, czując nieprzyjemne mrowienie w żołądku.

— Zbrodni — powtórzył patriarcha.

Jeden z ludzi w tłumie krzyknął:

— Głupi jest ptak, który kala własne gniazdo!

Pozostali ryknęli śmiechem, ale Eldridge'owi nie spodobał się ton tego śmiechu. Był on bowiem pełen okrucieństwa.

— Niewdzięczność jest pożywką zdrady — oznajmił patriarcha. — Zło jest wszechobecne. Przybyłeś do nas ze swą dziwną maszyną, dźwigając zdobycz, a my wyczuliśmy hardość twego ducha. Dzięki niemu stałeś się jednym z nas. Chroniliśmy cię przed nieprzyjaciółmi z Mokrych Światów. Cóż obchodziło nas to, że wyrządziłeś im krzywdę? Czyż oni nie skrzywdzili ciebie? Oko za oko, ząb za ząb!

Zgromadzony tłum zaczął pomrukiwać z aprobatą.

— Co ja takiego zrobiłem? — Eldridge domagał się wyjaśnienia.

Tłum skupił się wokół niego, wymachując maczugami i nożami. Jednak szereg ludzi w ciemnoniebieskich płaszczach powstrzymał tłuszcę i Eldridge uświadomił sobie, że nawet tutaj funkcjonowała jakaś policja.

— Powiedzcie mi, co zrobiłem — nalegał, gdy policjanci odbierali mu przenośnik.

— Jesteś winien sabotażu i morderstwa — powiedział patriarcha.

Eldridge zaczął toczyć wokół dzikim wzrokiem. Umknął z sektora pierwszego przed oskarżeniem o drobną kradzież, po to tylko, by odkryć, że w sektorze drugim oskarżony jest o takie samo przestępstwo. Zbiegł do sektora trzeciego, gdzie jak się okazało, ścigano go za morderstwo i sabotaż.

Uśmiechnął się tak sympatycznie, jak tylko potrafił.

— Słuchajcie — rzekł. — Wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem — to osiedlić się w jakimś ciepłym i sennym zakątku kraju, czerpiąc radość z książek, sympatycznych sąsiadów i miłości jakiejś dobrej...

Gdy odzyskał przytomność, okazało się, że leży na ubitej ziemi w małej celi więziennej o ceglanych murach. Poprzez wąskie okienko docierała nikła strużka światła zachodzącego właśnie słońca. Za drzwiami z drewna ktoś zawodzącym głosem śpiewał jakąś pieśń.

Obok siebie znalazł miskę z pożywieniem i zaczął łapczywie jeść dziwną strawę, którą mu przygotowano. Wypiwszy nieco wody z drugiego naczynia, oparł się o ścianę.

Poprzez wąskie okienko dojrzał, że światło zachodzącego słońca blednie. Na podwórzu grupa ludzi stawiała szubienicę.

— Strażnik! — krzyknął Eldridge.

Po kilku chwilach usłyszał czyjeś ciężkie stąpnięcia.

— Potrzebny mi jest adwokat — oświadczył więzień.

— Nie mamy tu żadnych prawników — odparł z dumą strażnik. — U nas panuje sprawiedliwość.

Oddalił się z godnością.

Eldridge zaczął rewidować swoje sądy na temat sprawiedliwości, która nie potrzebuje prawa. Okazało się, że jest to bardzo dobra idea, wszakże wprowadzona w życie przekształca się w horror.

Położył się na klepisku i spróbował przemyśleć swoją sytuację. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Słyszał jak robotnicy śmieją się i żartują, stawiając szubienicę. Pracowali jeszcze długo po

zmroku.

Gdy nastał wieczór, Eldridge usłyszał chrzęst klucza w zamku swojej celi. Weszło do niej dwóch ludzi. Jeden z nich był w średnim wieku i miał niewielką, starannie przystrzyżoną brodkę. Drugi był mniej więcej w wieku Eldridge'a, miał potężne bary i twarz opaloną na ciemny brąz.

— Pamiętasz mnie? — spytał człowiek w średnim wieku.

— A powinienem?

— Powinieneś. Byłem jej ojcem.

— A ja byłem jej narzeczonym — dodał młodszy mężczyzna. Zrobił krok do przodu z groźnym wyrazem twarzy.

Człowiek z brodą powstrzymał go.

— Wiem, co teraz czujesz, Morgel — powiedział — ale on zapłaci za swoje zbrodnie na szubienicy.

— Powieszenie to zbyt łagodna kara dla niego, panie Becker — sprzeciwił się Morgel. — Powinno się go powlec za koniem, poćwiartować, spalić, a jego prochy rozrzucić na wietrze.

— Tak, ale my jesteśmy sprawiedliwi i miłosierni — oznajmił szlachetnie Becker.

— Czyim ojcem? Czyim narzeczonym? — dopytywał się Eldridge.

Mężczyźni spojrzeli jeden na drugiego.

— Co ja zrobiłem? — pytał uparcie Eldridge.

Becker odpowiedział na jego pytanie.

Zaczął od stwierdzenia, że Eldridge przybył do nich z sektora drugiego, obładowany łupem. Ludzie z sektora trzeciego zaakceptowali go. Byli oni prostym ludem, bezpośrednim i krewkim, spadkobiercami spustoszonej, rozdartej przez wojny Ziemi. W sektorze trzecim wszystkie zasoby mineralne zostały już wyeksploatowane, a ziemia straciła swą urodzajność. Jej potężne połacie były radioaktywne. Słońce wciąż prażyło, lodowce stopniały, poziom wód oceanów zaczął się niepokojąco podnosić.

Ludzie z sektora trzeciego walczyli z trudem o powrót do cywilizacji. Osiągnęli już początki systemu produkcji manufakturowej i mieli nieliczne siłownie. Eldridge powiększył zasięg tych stacji, stworzył system oświetleniowy. Nauczył też podstaw higieny w produkcji żywności. Kontynuował swoje badania, zapuszczając się w nieznane sektory, znajdujące się za sektorem trzecim. Stał się powszechnie uwielbianym bohaterem i ludzie z sektora trzeciego kochali go oraz chronili.

Eldridge odpłacił im za życzliwość, uprowadzając córkę Beckera.

Ta ponętna młoda dama była zaręczona z Morgelem. Poczyniono już przygotowania do jej ślubu. Eldridge całkowicie zignorował to wszystko i ukazał swą prawdziwą naturę, porywając ją pewnej ciemnej nocy i umieszczając w piekielnej maszynie, którą sam skonstruował. Gdy włączył swój wynalazek, dziewczyna zniknęła. Spowodowane tym przeciążenie linii energetycznych wysadziło wszystkie instalacje w promieniu kilku kilometrów.

A zatem — morderstwo i sabotaż!

Jednak wściekłemu tłumowi nie udało się dopaść Eldridge'a na czas. Upchnął część swego łupu w plecaku, chwycił przenośnik i również zniknął.

— I ja to wszystko zrobiłem? — dopytywał się Eldridge, z trudem łapiąc powietrze.

— W obecności świadków — potwierdził Becker. — Reszta twojego łupu jest wciąż jeszcze w magazynie. Jednak nie jesteśmy w stanie nic z niej wydedukować.

Obaj mężczyźni patrzyli mu prosto w oczy. Eldridge spuścił wzrok.

Teraz wiedział już, czego dopuścił się w sektorze trzecim.

Mimo to oskarżenie o morderstwo było prawdopodobnie fałszywe. Musiał najwyraźniej zbudować wysoko wydajny przenośnik i wysłać gdzieś dziewczynę, bez pośrednich zatrzymań, których stosowania wymagały przenośne modele.

Z pewnością nikt tutaj nie byłby w stanie mu uwierzyć. Ci ludzie nie słyszeli nigdy o tak cywilizowanym pomysłe jak akt habeas corpus.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Becker.

Eldridge wzruszył ramionami i potrząsnął bezradnie głową w poczuciu beznadziei.

— Czyż nie traktowałem cię jak własnego syna? Czy nie zawróciłem policji, która przybyła tu za tobą z sektora drugiego? Czy nie karmiłem cię, nie ubierałem? Dlaczego, na Boga, dlaczego tak mnie skrzywdziłeś?!

Wszystko, co Eldridge mógł teraz zrobić — to nadal bezradnie wzruszać ramionami i potrząsać głową.

— Dobrze — oznajmił Becker. — W takim razie jutro rano powierysz swoją tajemnicę katu.

Wziął Morgela pod ramię i obaj wyszli z celi.

Gdyby Eldridge miał broń, być może zastrzeliłby się na miejscu. Wszystko wskazywało na to, że

kryje się w nim potencjalne zło, o które nigdy by siebie nie podejrzewał.

Jego czas się kończył. Wiedział, że rano zadynda na szubienicy.

Równocześnie czuł, że to niesprawiedliwe. Był przecież tylko niewinnym obserwatorem, wciąż wikłającym się w konsekwencje wcześniejszych, a raczej późniejszych działań swego sobowtóra. Jednak tylko ten pierwszy Eldridge znał motywy tych uczynków oraz odpowiedzi na wszystkie pytania.

Nawet jeśli jego kradzieże były uzasadnione, dlaczego przywłaszczał sobie ziemniaki, kamizelki ratunkowe, lusterka i tym podobne przedmioty?

Co zrobił z dziewczyną?

Co próbował przez to osiągnąć?

Powieki zamknęły mu się same ze znużenia i Eldridge pogrążył się w pełnej majaków drzemce.

Usłyszał delikatne skrobanie i podniósł wzrok.

Stał przed nim Viglin z przenośnikiem w dłoniach.

Eldridge był zbyt zmęczony, by się zdziwić. Popatrzył chwilę na przybysza, po czym spytał:

— Przyszedłeś się nacieszyć?

— Nie chciałem, żeby to tak wyszło — zaprotestował Viglin, wycierając z twarzy kropelki potu.
— Musisz mi uwierzyć, Tom. Nigdy nie chciałem twojej śmierci.

Eldridge usiadł i popatrzył z bliska na Viglina.

— Ukradłeś mój wynalazek, prawda? — spytał.

— Tak — przyznał się Viglin. — Jednak miałem zamiar dzięki tobie zrobić coś dobrego. Podzieliłbym zyski między nas.

— Po co go ukradłeś?

Vi glin wyglądał na zażenowanego.

— Kompletnie nie interesowałeś się pieniędzmi.

— Więc ty oszustwem wymusiłeś na mnie zrzeczenie się moich praw?

— Gdybym ja tego nie zrobił, zrobiłby to ktoś inny, Tom. Ja tylko chroniłem cię przed twoim własnym bujaniem w obłokach. Przysięgam, że zamierzałem cię dopuścić do tego interesu! — Ponownie przetarł sobie czoło. — Nigdy jednak nie wyobrażałem sobie, że to się skończy w ten

sposób.

— A potem oskarżyłeś mnie o te kradzieże, chociaż byłem niewinny — stwierdził Eldridge.

— Co? — Wyglądało na to, że Viglin jest bardzo zdziwiony. — Nie, Tom. Ty naprawdę ukradłeś te rzeczy. Zresztą pasowało mi to doskonale, aż do tej chwili.

— Kłamiesz!

— Czy pojawiłbym się tutaj, żeby kłamać? Przyznałem przecież, że przywłaszczyłem sobie twój wynalazek. Dlaczego miałbym oszukiwać w innych sprawach?

— Więc po co ukradłem te rzeczy?

— Myślę, że uknułeś jakąś dziką intrygę w nie zamieszkanym sektorze, ale tak naprawdę nic o tym nie wiem.

Zresztą to nie ma znaczenia. Posłuchaj, nie mogę spowodować odwołania procesu — to teraz sprawa o przestępstwo temporalne — ale mogę cię stąd wydostać.

— Dokąd miałbym się udać? — spytał Eldridge z rozpaczą. — Gliny szukają mnie przecież po całym czasie.

— Schowam cię w mojej posiadłości. Mówię poważnie. Będziesz mógł siedzieć jak mysz pod miotłą, aż upłynie termin przedawnienia sprawy. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, żeby szukać cię u mnie.

— A prawa do mojego wynalazku?

— Zachowam je — oznajmił Viglin z odrobiną dawnej pewności siebie. — Nie mogę ci ich zwrócić, nie czyniąc się tym samym odpowiedzialnym za ingerencję w czasie. Ale naprawdę podzielę się nimi z tobą. A ty istotnie potrzebujesz partnera w interesach.

— W porządku, zabierajmy się stąd — zgodził się Eldridge.

Viglin miał ze sobą pewną ilość narzędzi, którymi posłużył się z podejrzaną biegłością. W ciągu kilku minut znaleźli się poza obrębem celi, kryjąc się w ciemnym podwórzu.

— Ten przenośnik jest już dość słaby — wyszeptał Viglin, sprawdzając stan baterii w swoim urządzeniu. — Czy to możliwe, żebyśmy wydostali jakoś twój?

— Powinien być w magazynie — odrzekł Eldridge.

Przy magazynie nie było strażnika i Eldridge szybko poradził sobie z zamkiem. Wewnątrz odnaleźli przenośnik obok niedorzecznego, zaskakującego łupu Eldridge'a.

— Ruszajmy — odezwał się Viglin.

Eldridge potrząsnął głową przecząco.

— Nie wybieram się z tobą — powiedział.

— Posłuchaj, Tom, wiem, że nie ma powodu, dla którego miałbyś mi ufać. Ale ja naprawdę dam ci ten azyl. Słowo daję.

— Wierzę ci — odparł Eldridge. — Ale to niczego nie zmienia — nie zamierzam wracać.

— Więc co masz zamiar zrobić?

Eldridge zastanawiał się nad tym intensywnie od chwili wydostania się z celi. Był teraz na rozstaju dróg. Mógł wrócić z Viglinem lub ruszyć dalej sam.

W gruncie rzeczy nie miał żadnego wyboru. Musiał przyjąć, że za pierwszym razem wiedział, co robi. Słusznie czy nie, musiał wierzyć w samego siebie i wyruszyć na wszystkie umówione wcześniej spotkania z przyszłością.

— Wybieram się do nie zamieszkanym sektorów — oznajmił. Znalazł w magazynie worek i zaczął wypełniać go ziemniakami oraz nasionami marchwi.

— Nie powinieneś tego robić! — sprzeciwił się Viglin. — Tym razem możesz nie mieć tyle szczęścia. Możesz zostać całkiem skasowany.

Eldridge wrzucił już do worka wszystkie ziemniaki i opakowania z nasionami marchwi. Następnie włożył tam zestawy literatury światowej, kamizelki ratunkowe, puszki z płynem przeciwko rekinom oraz lusterka. Na samym wierzchu znalazły się wielkoładunkowe pistolety ręczne.

— Czy masz jakiś pomysł, co będziesz robić z tym wszystkim?

— Kompletnie tego nie wiem — przyznał Eldridge, upychając pod koszulę kasety z muzyką symfoniczną. — Ale one muszą do czegoś pasować.

Viglin westchnął ciężko.

— Nie zapominaj, że musisz za każdym razem odczekać pół godziny między skokami w czasie, bo zostaniesz skasowany. Masz zegarek?

— Nie. Zostawiłem go w swoim pokoju na uczelni.

— Weź ten — to specjalny model sportowy — rzekł Viglin, zapinając zegarek na nadgarstku Eldridge'a. — No, powodzenia, Tom. Życzę ci tego zupełnie szczerze.

— Dzięki.

Eldridge ustawił przycisk na najdalszy możliwy skok w przyszłość, jaki urządzenie było w stanie zrobić. Uśmiechnął się do Viglina i nacisnął guzik.

Nastąpił zwykły moment ciemności, a potem Eldridge poczuł nagle lodowaty chłód. Gdy otworzył oczy, odkrył, że jest pod wodą.

Zaczął wypływać, walcząc ze ściągającym go w dół ciężarem worka. Gdy tylko jego głowa znalazła się nad powierzchnią, zaczął rozglądać się wokół w poszukiwaniu najbliższego lądu.

Nie było żadnego lądu. Długie fale o łagodnych grzbietach sunęły ku niemu od bezgranicznego horyzontu, unosiły go na moment, a potem płynęły dalej, w stronę brzegów, ukrytych gdzieś w oddali.

Eldridge zaczął gwałtownie szperać w worku; znalazł kamizelkę ratunkową i nadmuchał ją. Wkrótce już huśtał się na powierzchni oceanu, próbując wyobrazić sobie, co też mogło się wydarzyć w czasie, który właśnie przeskoczył.

Każdy skok w przyszłość prznosił go w coraz gorętszy klimat. Teraz, po upływie niezliczonych tysięcy lat, czapy lodowe musiały już się roztopić. Potężna część Ziemi była prawdopodobnie pod wodą.

Wzięcie kamizelek ratunkowych okazało się dobrym pomysłem. Dawało mu to ufność w pomyślny przebieg dalszej części podróży. Teraz po prostu pounosi się na wodzie przez pół godziny, by uniknąć skasowania. Położył się na powierzchni i zaczął podziwiać kształty chmur na firmamencie.

Coś otarło się o niego.

Spojrzał w dół i zobaczył długi ciemny kształt, prześlizgujący się pod stopami. Wkrótce dołączył do niego drugi i oba ruszyły żarłocznie w jego stronę.

Rekiny!

Zaczął gwałtownie gmerać w worku, w pośpiechu wysypując część lusterek; wreszcie znalazł puszkę płynu przeciw rekinom. Otworzył ją, rozlał płyn wokół siebie, i w ciemnoniebieskiej wodzie zaczęła rozprzestrzeniać się pomarańczowa plama.

Teraz w pobliżu były trzy rekiny. Pływały ostrożnie wokół powiększającego się wciąż kręgu z płynu. Dołączył do nich czwarty, wskoczył na moment w pomarańczowy, oleisty obszar i błyskawicznie wycofał się na czyste wody.

Eldridge poczuł zadowolenie, że w przyszłości udało się wyprodukować płyn przeciw rekinom, który naprawdę działał.

Po upływie pięciu minut część pomarańczowej substancji wyparowała. Eldridge otworzył następną puszkę. Rekiny nie porzuciły nadziei, ale nie były w stanie wpłynąć na skażony obszar. On zaś co pięć minut otwierał kolejną puszkę. Ta patowa sytuacja trwała przez cały czas półgodzinnego oczekiwania pomiędzy skokami.

W końcu Eldridge sprawdził, czy przenośnik jest dobrze nastawiony, i mocniej uchwycił worek. Nie wiedział, po co będą mu kiedykolwiek potrzebne lusterka lub ziemniaki, ani też dlaczego tak ważne były nasiona marchwi. Mógł jedynie podjąć ryzyko.

Nacisnął guzik i pogrążył się w dobrze znanej ciemności.

Po chwili stał, zanurzony po kostki w gęstym, paskudnie śmierdzącym bagnie. Było potwornie duszno, a chmara wielkich komarów krążyła wokół jego głowy.

Wydobył się z kleistego szlamu; towarzyszyły mu przy tym nieprzerwane syki i mlaskania niewidocznych form życia, zamieszkujących te bagna. Znalazł nieco pewniejsze oparcie dla stóp pod koroną niewielkiego drzewa. Wokół rozpościerała się dżungla, której rozpasana zieleń nakrapiana była w wielu miejscach złotem i purpurą.

Eldridge usadowił się przy drzewie, żeby przeczekać kolejne pół godziny. W tym fragmencie przyszłości wody oceanów najwyraźniej cofnęły się, i na ich miejscu powstała pierwotna dżungla. Czy żyli tu jacyś ludzie? Eldridge nie był tego całkiem pewien. Wyglądało bowiem na to, że świat zaczyna się od nowa.

Nagle usłyszał beczenie i zobaczył, jak na tle jasnozielonego listowia przesuwa się jakiś matowy, również zielony kształt. Coś się do niego zbliżało.

Eldridge patrzył na to badawczo. Miało wysokość około sześciu metrów, pomarszczoną jaszczurczą skórę oraz duże spłaszczone stopy. Do złudzenia przypominało niewielkiego dinozaura.

Uważnie obserwował gada. Przypomniawszy sobie, że większość dinozaurów, a zwłaszcza te, które żyły na bagnach, żywiła się roślinami. Ten prawdopodobnie chciał go tylko powąchać. Potem wycofa się pewnie w gęszcz traw.

Dinozaur ziewnął, odsłaniając wspaniałą garnitur ostrych zębów, po czym, wyglądając na zdeterminowanego, zaczął się zbliżać do Eldridge'a.

Ten ostatni widząc to zanurzył dłoń w worku, odepchnął na bok nieistotne teraz przedmioty, po czym schwycił wielkoładunkowy pistolet i wystrzelił.

Dinozaur zniknął w kłębie dymu. Miejsce, w którym był przed chwilą, znaczyły teraz jedynie nieliczne krwawe strzępy oraz zapach ozonu. Eldridge spojrzawszy z respektem na wielkoładunkowy pistolet ręczny. Teraz rozumiał, dlaczego był on tak drogi.

Przez następne pół godziny znaczna liczba mieszkańców dżungli objawiła żywe zainteresowanie jego osobą. Każdy z pistoletów starczał jedynie na kilka strzałów, co nie dziwiło, biorąc pod uwagę ich niszczycielską siłę. W końcu ostatni zaczął tracić energię; Eldridge musiał uderzyć pterodaktyla kolbą jak maczugą.

Gdy pół godziny minęło, ponownie ustawił wskaźniki; wiele dałoby za to, żeby wiedzieć, co go czeka. Zastanawiał się też, jak ma stawić czoło nowym niebezpieczeństwom, dysponując jedynie książkami, ziemniakami, nasionami marchwi i lusterkami.

Być może nie oczekiwały go już żadne zagrożenia.

Tak czy owak, był tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Nacisnął guzik.

Znajdował się na trawiastym zboczu. Gęsta dżungla najwyraźniej zniknęła. Teraz rozpościerał się wokół niego sosnowy las chwiejący się delikatnie w porywach wiatru. Pod stopami Eldridge miał twarde grunty, a nad jego głową świeciło łagodne słońce.

Gdy wynalazca przenośnika pomyślał, że ten właśnie czas mógł być jego celem, poczuł mocniejsze bicie serca. Miał w sobie zawsze atawistyczną żyłkę, pragnienie znalezienia miejsca nie tkniętego przez cywilizację. Zgorzkniały Eldridge, ten pierwszy, obrabowany i zdradzony, mógł jeszcze silniej czuć tę potrzebę.

Był jednak nieco rozczarowany. Mimo to stwierdził, że nie jest tak źle, wyjąwszy samotność, która mogła stać się jego udziałem. Gdyby tylko byli tu jacyś ludzie...

Z lasu wyłonił się człowiek. Był niskiej, lecz mocnej postury, miał mniej niż półtora metra wzrostu, mięśnie jak zapaśnik i ubrany był w krótką futrzaną spódniczkę. Jego skóra miała szarawy odcień. W rękach trzymał chropowaty konar drzewa, z którego niezdarnie uformowano maczugę.

Za nim wyszło z lasu około dwudziestu innych. Maszerowali prosto w stronę Eldridge'a.

— Witajcie, chłopcy! — powiedział uprzejmie.

Przywódca odrzekł coś w ich gardłowym języku i wykonał gest otwartą dłonią.

— Mam ze sobą coś, co pomnoży wasze zbiory — oznajmił Eldridge pospiesznie. — Mam dokładnie to, czego potrzebujecie.

Sięgnął do worka i wydobyl z niego nasiona marchwi.

— Nasiona! Dzięki nim przyspieszycie swój rozwój cywilizacyjny o tysiące lat...

Przywódca mruknął złowroźnie i jego ludzie zaczęli otaczać Eldridge'a. Wyciągali przed siebie obrócone dłońmi w górę ręce i pomrukiwali z podnieceniem.

Nie chcieli worka i odmówili wzięcia zużytego pistoletu ręcznego. Teraz otoczyli Eldridge'a niemal całkowicie. Podnosili już maczugi, a on wciąż nie miał pojęcia, czego chcą.

— Ziemiaki? — spytał zdesperowany.

Nie chcieli również ziemniaków.

Musiał poczekać jeszcze dwie minuty na następny skok maszyną czasu. Odwrócił się i zaczął uciekać.

Dzicy natychmiast znaleźli się tuż za nim. Eldridge wbiegł do lasu szybko niczym chart, klucząc

pomiędzy drzewami.

Kilka maczug przeleciało ze świstem obok niego.

Została jedna minuta.

Potknął się o korzeń, zerwał na nogi i biegł dalej. Dzicy byli już dosłownie za plecami.

Dziesięć sekund. Pięć sekund. Jedna z maczug odbiła się od jego ramienia.

Już! Sięgnął w stronę przycisku i w tej samej chwili maczuga rąbnęła go w głowę, przewracając na ziemię. Gdy ponownie przejrzał na oczy, zobaczył, że przywódca dzikusów stoi z uniesioną maczugą nad jego transporterem czasowym.

— Nie! — wrzasnął Eldridge w panice.

Jednak przywódca dziko wyszczerzył zęby i opuścił maczugę. W ciągu kilku sekund zmienił maszynę czasu w metalowy złom.

Dzicy zaciągnęli przeklinającego w poczuciu beziły Eldridge'a do jaskini. Dwaj spośród nich stanęli na straży przy wejściu. Mógł zobaczyć, jak na zewnątrz grupa mężczyzn zbiera drewno na opał. Kobiety i dzieci biegały tam i z powrotem, obarczone glinianymi pojemnikami. Sądząc po ich śmiechu, przygotowywali ucztę.

Z zamierającym ze strachu sercem Eldridge skostatował, że pewnie to on będzie głównym daniem.

Ale teraz już nie miało to znaczenia. Zniszczyli jego przenośnik. Tym razem nie uratuje go żaden Viglin. Był u kresu swej podróży.

Nie chciał umierać. Jednak jeszcze gorsza była myśl, że umrze nie wiedząc, co zaplanował jako pierwszy Eldridge.

Wydawało mu się to w jakiś sposób niesprawiedliwe.

Przez kilka minut siedział, bezsensownie użalając się nad samym sobą. Potem wczołgał się głębiej do wnętrza jaskini, mając nadzieję, że znajdzie w niej inne wyjście.

Jaskinia kończyła się szybko litą granitową ścianą. Jednak Eldridge znalazł tu coś ciekawego.

Był to stary but.

Podniósł go i przyjrzał mu się. Z jakiegoś powodu but nie dawał mu spokoju, chociaż był to najzwyczajniejszy w świecie brązowy skórzany trzewik, bardzo podobny do butów, które Eldridge miał na nogach.

Potem uderzył go ukryty w tym znalezisku anachronizm.

Co wyprodukowany w fabryce przedmiot, taki jak ten trzewik, mógł robić w epoce świtu cywilizacji?

Spojrzał na rozmiar buta i szybko go przymierzył. Pasował na niego doskonale, co dawało oczywistą odpowiedź na pytanie: Eldridge musiał już tu być podczas swej pierwszej podróży w przyszłość.

Dlaczego jednak zostawił but?

W jego wnętrzu znajdowało się coś, co było zbyt miękkie jak na kamyk, zbyt twarde jak na strzęp podszewki. Eldridge zdjął but i znalazł w nim kawałek papieru, wetknięty w nosek.

Odwinął go i przeczytał list, napisany swoim własnym charakterem pisma:

Co za kretyńska zagwozdzka — jaki tu dać nagłówek w liście do samego siebie? „Drogi Eldridge”? No dobra, darujmy sobie przywitania: przeczytasz ten list, ponieważ ja już to zrobiłem, no i, oczywiście, to ja go właśnie piszę; w przeciwnym wypadku ty nie mógłbyś go przeczytać, ani też ja nie byłbym w stanie tego zrobić.

Słuchaj, jesteś w tarapatach. Mimo to nie zwracaj sobie nimi głowy. Wyjdiesz z tego w jednym kawałku. Zostawiam ci przenośnik czasowy, by zabrał cię tam, gdzie powinieneś się teraz udać.

Pytanie polega na tym: gdzie znajdę się ja? Bo zamierzam wiośnie z premedytacją użyć przenośnika przed upływem wymaganej półgodzinnej przerwy, wiedząc o tym, że wywołam efekt kasujący. To oznacza, że przenośnik zostanie tutaj, żebyś ty mógł go użyć. Ale co stanie się ze mną?

Sądzę, że znam odpowiedź. Mimo to boję się — to pierwszy efekt kasujący, jakiego doświadczę. Jednak kłopotanie się o to jest bezprzedmiotowe; wiem, że wszystko musi skończyć się dobrze, ponieważ paradoksy czasowe nie istnieją.

No cóż, ruszam. Za chwilę naciśnę guzik, tym samym się anulując. Potem maszyna będzie twoja.

Życz mi szczęścia.

Życzyć mu szczęścia! Eldridge w odruchu dzikiej złości podarł liścik i wyrzucił go.

Z tego wynikało, że pierwszy Eldridge dokonał rozmyślnego samoskasowania i został ponownie wymieciony w przyszłość, a to oznaczało, że przenośnik nie wrócił tam razem z nim! Musi wciąż gdzieś tu być!

Eldridge rozpoczął szalone przeszukiwanie jaskini. Gdyby zdołał go znaleźć i nacisnąć guzik, mógłby ruszyć naprzód. On musiał gdzieś tu być!

Parę godzin później, gdy strażnicy siłą wyciągali go z jaskini, Eldridge wciąż jeszcze nie znalazł urządzenia.

Zebrała się już cała wieś; wszyscy byli w biesiadnym nastroju. Gliniane naczynia przekazywano sobie z rąk do rąk i dwóch lub trzech ludzi już straciło przytomność. Jednak strażnicy, którzy prowadzili Eldridge'a, byli wystarczająco trzeźwi, by spełniać swą powinność.

Doprowadzili go na brzeg obszernego, płytkiego dołu.

W jego centrum znajdowało się coś, co żywo przypominało ołtarz ofiarny. Był on ozdobiony dzikimi barwami, zaś wokół niego usypano gigantyczny stos dobrze wysuszonych gałęzi.

Strażnicy wepchnęli Eldridge'a do dołu i zaczęto obrzędowy taniec.

Eldridge wiele razy próbował wdrapać się na krawędź dołu, ale za każdym razem szturchnięciami spychano go z powrotem. Uroczystość trwała przez wiele godzin, dopóki ostatni tancerz nie zemdlał z wyczerpania.

Wtedy do brzegu zagłębienia zbliżył się stary człowiek z płonącą pochodnią w dłoni. Wykonał nią rytualny gest, a potem wrzucił pochodnię do dołu.

Eldridge zdeptał ją. Jednak do wnętrza zaczęło wpadać coraz więcej pochodni, które zapaliły ułożone na zewnątrz gałęzie. Rozbłysły one jasnym płomieniem i Eldridge zmuszony był wycofać się do wnętrza, w kierunku ołtarza.

Płonący krąg stopniowo się zawężał, zmuszając go do cofania się w stronę środka dołu. Wreszcie, dysząc z powodu żaru, z piekącymi oczami, potknął się o własne nogi i upadł w poprzek ołtarza; zaczęły go lizać płomienie.

Zamknął oczy i uchwycił mocno pokrętła, wystające z ołtarza...

Pokrętła?

Ukryty pod jaskrawą dekoracją, ołtarz okazał się przerośnięciem w czasie; nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że tym samym przerośnięciem, który przytransportował tutaj pierwszy Eldridge i zostawił dla niego. Gdy przybysz zniknął, dzicy musieli najwyraźniej zacząć czcić przerośnięcie jako przedmiot kultu.

W dodatku rzeczywiście posiadał on magiczne właściwości.

Płomień przypalał stopy, gdy Eldridge ustawił pokrętła we właściwym położeniu. Już miał nacisnąć guzik, ale zawahał się.

Jakie nowe doświadczenia mogły kryć się w przyszłości?

Jedyny ekwipunek, jaki mu pozostał, to trochę nasion marchwi, ziemniaki, kasety z muzyką symfoniczną, mikrofilmy ze światową literaturą i niewielkie lusterka.

Jednak dotarł aż tutaj. Powinien zobaczyć koniec tej podróży.

Nacisnął guzik.

Gdy otworzył oczy, okazało się, że stoi na plaży. Woda omywała mu stopy i słyszał szum przybrzeżnych fal.

Plaża była długa, rozległa i oślepiająco biała. Przed nim rozciągał się w nieskończoność błękitny ocean. Za nim, tam gdzie kończyła się plaża, rósł rząd tropikalnych palm. Wśród nich można było dostrzec bujną roślinność.

Usłyszał czyjś krzyk.

Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś do obrony.

Jednak nie znalazł nic, kompletnie nic. Był całkowicie bezbronny.

Od strony dżungli zbliżali się ku niemu biegnący ludzie.

Krzyczeli coś, co wydawało się Eldridge'owi dziwne. Zaczął uważnie słuchać.

— Witaj! Witaj w domu!

Potężny, opalony na brązowo człowiek schwycił go w swój niedźwiedzi uścisk.

— Wróciłeś! — krzyknął radośnie.

— No... tak — zgodził się Eldridge.

Widział, że coraz więcej ludzi zbiega na plażę. Należeli do jakiejś urodziwej rasy. Wszyscy mężczyźni byli wysocy i opaleni, kobiety zaś szczupłe i ładne. Wyglądali na ludzi, których chciałoby się mieć za sąsiadów.

— Przywiozłeś? — spytał jakiś starszy człowiek, dysząc po biegu.

— Co?

— Nasiona marchwi. Obiecałeś, że je przywieziesz. I ziemniaki.

Eldridge sięgnął do kieszeni.

— Są tutaj — oznajmił.

— Dzięki. Czy naprawdę sądzisz, że będą rosły w tym klimacie? Może powinniśmy skonstruować...

— Później, później — przerwał mu potężny mężczyzna. — Musisz być zmęczony — powiedział do Eldridge'a.

Thomas powrócił myślą do wszystkiego, co zdarzyło się od czasu, gdy obudził się ze snu, jeszcze w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Z subiektywnego punktu widzenia minął mniej więcej jeden dzień, ale zawierał on w sobie tysiące lat podróży przez czas tam i z powrotem, i pełen był aresztowań, ucieczek, niebezpieczeństw oraz zadziwiających zagadek.

— Tak, jestem zmęczony — przyznał. — Bardzo.

— Pewnie chciałbyś teraz wrócić do swojego domu?

— Mojego własnego domu?

— Oczywiście. Do tego, który sam zbudowałeś, z widokiem na lagunę. Nie pamiętasz?

Eldridge uśmiechnął się słabo i przecząco pokręcił głową.

— On nie pamięta! — wykrzyknął mężczyzna.

— Nie pamiętasz naszych gier w szachy? — spytał inny człowiek.

— Naszych wypraw rybackich? — wtrącił jakiś chłopiec.

— Pikników i świąt?

— Tańców?

— Żeglowania?

W odpowiedzi na każde z tych pełnych niepokoju pytań Eldridge mógł tylko kręcić przecząco głową.

— Wszystko to zdarzyło się, zanim powróciłeś do swego rodzinnego czasu — powiedział potężny mężczyzna.

— Wróciłem? — spytał Eldridge. To było wszystko, czego zawsze pragnął. Spokój, zadowolenie, ciepły klimat, poczciwi sąsiedzi. Pod koszulą czuł ciężar worka, który tutaj przywiózł.

Dobry Boże, nikt przy zdrowych zmysłach nie opuściłby nigdy miejsca takiego, jak to! Przy tej okazji nasuwało się więc istotne pytanie: „Dlaczego stąd wyruszyłem?”

— Musisz to pamiętać! — wykrzyknął potężny mężczyzna.

— Obawiam się, że nie.

Z tłumu wyłoniła się smukła jasnowłosa dziewczyna.

— Naprawdę nie pamiętasz, jak wróciłeś po mnie?

Eldridge przyjrzał się jej.

— Ty musisz być córką Beckera — powiedział. — Dziewczyną, która była zaręczona z Morgelem. Tą, którą porwałem.

— Morgel jedynie sądził, że jest ze mną zaręczony — oznajmiła. — A ty mnie nie porwałeś. Przybyłam tu z własnej woli.

— Ach tak, rozumiem — odpowiedział Eldridge, czując się jak idiota. — To znaczy sądzę, że rozumiem. Ten, tego... miło, że cię widzę — dokończył głupawo.

— Nie musisz być aż tak oficjalny — stwierdziła dziewczyna. — Poza wszystkim innym, jesteśmy w końcu małżeństwem. A ty na pewno przywiozłeś mi lusterko, prawda?

Teraz wszystkie elementy układanki zostały już skompletowane. Eldridge uśmiechnął się, wyjął lusterko, podał je dziewczynie, po czym wręczył worek potężnemu mężczyźnie.

Młoda dama, wyraźnie wniebowzięta, zaczęła robić ze swoimi brwiami rzeczy, które zwykle czynią kobiety, gdy widzą swoje odbicie w lustrze.

— Chodźmy do domu, kochanie — powiedziała do Eldridge'a.

Nie znał jej imienia, ale bardzo mu się spodobała. Było to zresztą zupełnie naturalne.

— Obawiam się, że akurat teraz nie mogę — odpowiedział, patrząc na zegarek. Pół godziny od chwili jego pojawienia się tutaj niemal już minęło.

— Wcześniej muszę jeszcze coś załatwić. Ale wrócę dosłownie za chwilę.

Uśmiechnęła się promiennie.

— Nie będę się denerwować — stwierdziła. — Wcześniej powiedziałeś, że wrócisz, i wróciłeś. I przywiozłeś lusterka, nasiona i ziemniaki, tak jak obiecałeś.

Pocałowała go. Eldridge uściśnął dłonie wszystkim stojącym wokół niego. Symbolizowało to w jakimś sensie pełny cykl rozumowania, jakie zastosował Alfredex, by obalić głupi pomysł, zakładający istnienie paradoksów czasowych.

Dobrze znana Eldridge'owi ciemność pochłonęła go, gdy ponownie nacisnął włącznik przenośnika.

W tym samym momencie przestał być drugim Eldridge'em.

Od tej chwili stał się po prostu Eldridge'em i wiedział już dokładnie, co powinien czynić oraz czego potrzebował, by osiągnąć swój cel. Celem tym była ta właśnie dziewczyna, którą tu spotkał, nie ulegało bowiem wątpliwości, że przybył po to, by spędzić z nią całe życie w spokoju i

zadowoleniu, wśród poczciwych sąsiadów, książek i muzyki.

Wspaniale było pomyśleć, że wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak to sobie wymarzył.

Czuł teraz przywiązanie i wdzięczność nawet dla Viglina i Alfredexa.

The Luckiest Man in the World

Najszczęśliwszy człowiek na świecie

Mam tu naprawdę wspaniałe warunki. Musicie jednak pamiętać, iż jestem szczęściarzem. Tylko bowiem szczęśliwy przypadek sprawił, że zostałem wysłany na Patagonię. Rozumiecie, nie chodziło tu o jakieś szczególne zabiegi z mojej strony ani też o zdolności. Jestem całkiem niezłym meteorologiem, ale mogli wysłać jeszcze lepszego. Miałem po prostu niezwykle farta, polegający na tym, że znalazłem się o właściwych porach we właściwych miejscach.

Dodatkowym aspektem tej sprawy jest niewiarygodny zbieg okoliczności, dzięki któremu armia wyposażyla moją stację we wszystkie, najmniejsze nawet przyrządy znane ludzkości. Oczywiście nie były one przeznaczone wyłącznie dla mnie. Wojsko planowało założenie tutaj swojej bazy. Zgromadzili cały ekwipunek, a potem musieli zarzucić realizację tego projektu.

Mimo to wysyłałem im swoje prognozy tak długo, jak sobie tego życzyli.

Ale te urzędnika! Nauka zawsze mnie zadziwiała. Ja także mam w sobie coś z naukowca, ale nie jestem naukowcem kreatywnym, a to całkiem coś innego. Mówisz, dajmy na to, do kreatywnego naukowca, żeby zrobił coś, co jest niemożliwe do zrobienia, a on pracuje i za każdym razem osiąga to, na czym mu zależy. To budzi wręcz zabobonny lęk.

Wydaje mi się, że pewnego dnia jakiś generał musiał powiedzieć do naukowców:

— Chłopaki, doskwiera nam dotkliwy brak specjalistów, a nie mamy ich kim zastąpić. Ich obowiązki trzeba będzie powierzyć ludziom, którzy w wielu wypadkach mogą nie mieć najmniejszego doświadczenia. Czy nie moglibyście czegoś wymyślić, aby temu zaradzić?

Naukowcy zaczęli na serio pracować nad tym problemem i stworzyli wszystkie te niewiarygodne książki i urządzenia.

Na przykład w zeszłym tygodniu rozboleł mnie ząb. Początkowo sądziłem, że to tylko przeziębienie, ponieważ jest tutaj dość zimno, nawet pomimo działania czynnych wulkanów.

Jednak okazało się, że to normalny ból zęba. Wyjąłem więc ze składu aparat dentystyczny, zmontowałem go, po czym przeczytałem to, co należało przeczytać w sprawie jego użycia.

Zbadałem się i sklasyfikowałem ząb, rodzaj bólu i ubytek.

Potem zrobiłem sobie zastrzyk znieczulający, oczyściłem ząb i wypełniłem dziurę. Dentyści spędzili całe lata, ucząc się tego, co ja wykonałem pod presją okoliczności w ciągu pięciu godzin.

Weźmy teraz jedzenie. Stałem się obrzydliwie tłusty, ponieważ nie miałem nic innego do roboty, jak tylko wysyłać prognozy pogody. Kiedy zaś przestałem to czynić, zacząłem przygotowywać sobie posiłki, których mogliby mi pozazdrościć najlepsi szefowie kuchni całego świata. Gotowanie jest

podobno sztuką, ale gdy tylko zajęli się nim naukowcy, zrobili z niego prawdziwą dyscyplinę wiedzy.

Przez wiele jeszcze stron mógłbym kontynuować to wyliczanie dobrodziejstw nauki. Nie znajdę już zastosowania dla większości rzeczy, które tu są, ponieważ zostałem teraz sam. Jednak, dla przykładu, każdy człowiek mógłby stać się kompetentnym prawnikiem prowadzącym własną praktykę, korzystając z podręczników, jakie tu się znajdują. Są tak ułożone, że każdy, kto ma choćby przeciętną inteligencję, jest w stanie znaleźć fragmenty, które należy opanować, by skutecznie bronić klienta w jakiejś sprawie. Mógłby też nauczyć się ich bez specjalnego zachodu.

Nikt, jak dotąd, nie próbował zaskarżyć mnie przed sądem, ponieważ zawsze byłem szczęściarzem. Mimo to chciałbym, żeby ktoś to zrobił. Mam ochotę wypróbować wszystkie te prawnicze kruczki.

Budownictwo — to inna sprawa. Zaraz po przybyciu tutaj musiałem zamieszkać w starym baraku. Jednak rozpakowałem nieco tych wspaniałych maszyn budowlanych i znalazłem materiały, z użyciem których mógłby poradzić sobie praktycznie każdy. Zbudowałem odporny na bomby, pięciopokojowy dom z wykładaną kafelkami łazienką. Nie są to, oczywiście, zwykłe kafelki, jednak wyglądają na prawdziwe, a ich położenie na ścianie jest zadziwiająco proste. Obijanie całych ścian wykładziną także łatwo idzie, gdy się poczyta o tym w podręcznikach.

Nadzwyczaj zadziwiło mnie przy tej robocie zakładanie instalacji w moim domu. Wydawało mi się to zawsze najbardziej skomplikowaną czynnością pod słońcem, trudniejszą nawet od medycyny czy stomatologii. Udało mi się jednak zrobić to bez żadnego kłopotu. Być może, zgodnie z profesjonalnymi standardami, robota nie została wykonana idealnie, ale mnie to w zupełności wystarczyło. Dzięki zaś ciągowi filtrów, sterylizatorów, osadników, wzmacniaczy mam teraz wodę wolną od najmniejszych nawet zarazków. Ja sam zainstalowałem te wszystkie urządzenia!

Czasami czuję się tutaj samotny i jeśli o to chodzi, naukowcy niewiele mogą poradzić. Nie wymyślili żadnych substytutów towarzystwa dla samotnej osoby. Jednak, być może, gdyby kreatywni naukowcy naprawdę solidnie się do tego przyłożyli, wymyśliliby coś choćby odrobinę lepszego od kompletnej samotności dla odizolowanych od świata facetów, takich jak ja.

Nie ma tu w okolicy nawet żadnych Patagończyków, z którymi mógłbym pogadać. Ci nieliczni, którzy przetrwali, udali się na pomoc po tym, jak pojawiły się fale pływowe. Muzyka niewiele mi pomaga. Nie to, żebym należał do osób, które mają coś przeciwko samotności. Być może właśnie dlatego wysłano mnie tutaj.

Bądź co bądź, chciałbym, żeby rosło tu trochę drzew.

Malarstwo! Wśród swoich zajęć zapomniałem wymienić malarstwo! Każdy wie, jaka to skomplikowana dziedzina sztuki. Trzeba znać zasady perspektywy i odpowiedniej kreski, kolorów i kompozycji, i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Praktycznie rzecz biorąc, trzeba być geniuszem, żeby cokolwiek osiągnąć.

A ja po prostu wybieram sobie odpowiednie pędzle, rozpinam płótno na sztalugach i zabieram się do malowania czegoś, co akurat mi się spodoba. Wszystko, co należy zrobić, jest w tej książce. Wspaniałe są zwłaszcza olejne obrazy przedstawiające tutejsze zachody słońca, które namalowałem.

Można by je z powodzeniem wystawić w jakiejś galerii. Zaręczam wam, że nigdy nie widzieliście takich zachodów słońca! Te ogniste barwy, nieprawdopodobne wręcz kształty! To wszystko z powodu pyłu, który unosi się w powietrzu.

Także moje uszy miewają się już lepiej. Czyż nie wspominałem, że jestem szczęściarzem? Już na skutek pierwszej fali uderzeniowej popękały mi w nich bębniaki. Jednak aparat słuchowy, który noszę, jest tak mały, że ledwie go widać, a ja słyszę z jego pomocą lepiej niż kiedykolwiek.

W ten sposób doszliśmy do tematu medycyny; trzeba stwierdzić, że w żadnej innej dziedzinie nauka nie wykonała swej roboty lepiej, niż w tej właśnie. Książka z tej dziedziny instruuje, jak postąpić w każdym praktycznie przypadku. Ja na przykład dokonałem usunięcia wyrostka samemu sobie, co jeszcze kilka lat temu wydawałoby się niemożliwe. Wystarczyło, że zaobserwowałem symptomy, a potem postąpiłem zgodnie z zaleceniami i wszystko zostało zrobione. Wyleczyłem się z wszelkich możliwych schorzeń, ale, oczywiście, nie mogę zaradzić chorobie popromiennej. Jednak nie jest to wina książek. Chodzi po prostu o to, że nikt nie jest w stanie nic poradzić na chorobę popromienną. Nawet gdyby znajdowali się tu najwybitniejsi światowi specjaliści, i tak by się z tym nie uporali.

Naturalnie, gdyby na świecie pozostali jacyś specjaliści. Nie ma żadnej wątpliwości, że nie przetrwali.

W gruncie rzeczy nie jest tak źle. Wiem, jak postępować w przypadku tej choroby, więc nie odczuwam szczególnie bólu. Nie oznacza to także, że moje życiowe szczęście się skończyło. Jest po prostu tak, że skończyła się dobra passa wszystkich ludzi na Ziemi.

Cóż, kiedy przeglądam te kartki, nie wydaje mi się, by było to jakieś *credo*, czyli coś, co zamierzałem po sobie pozostawić. Przypuszczam, że lepiej będzie, jeśli postudiuję trochę jeden z tych podręczników pisania. Wtedy będę wiedział, jak w odpowiedni sposób powinienem napisać wszystko, co mam do przekazania. Ściśle rzecz biorąc, mam na myśli to, co sądzę o nauce i jak bardzo jestem jej wdzięczny. Mam teraz trzydzieści dziewięć lat. Żyję więc dłużej niż niemal wszyscy wokół, nawet jeżeli jutro umrę. Stało się tak dlatego, że miałem szczęście i przebywałem we właściwym czasie w odpowiednich miejscach.

Sądzę, że nie będę zadawał sobie trudu z tym podręcznikiem pisania, ponieważ i tak w okolicy nie ma nikogo, kto mógłby przeczytać manuskrypt. A jaki jest pożytek z pisarza bez czytelników?

Już fotografia wydaje się bardziej interesująca.

Poza tym muszę rozpakować nieco narzędzi do kopania grobów, zbudować mauzoleum i wyrzeźbić dla siebie kamień nagrobny.

Hands Off

Łapy z daleka!

Detektor masy zainstalowany na statku rozbłysnął najpierw różowym, a potem czerwonym blaskiem. Agee drzemał właśnie przy urządzeniach kontrolnych, czekając, aż Victor skończy robić kolację. Teraz szybko podniósł wzrok.

— Zbliżamy się do planety! — zawołał, przekrzykując syk uciekającego powietrza.

Kapitan Barnett skinął głową. Skończył właśnie formować gorącą łąkę i cisnął ją na mocno zużytą powierzchnię kadłuba „Siłacza”. Świst uciekającego powietrza zamienił się w niski jęk, jednak nie ucichł zupełnie. Praktycznie nigdy nie ucichał.

Gdy przyszedł Barnett, planeta była już niemal całkowicie widoczna pod krawędzią tarczy niewielkiego, czerwonego słońca. Połyskiwała zielonkawo na tle doskonałej czerni przestrzeni kosmicznej i wywołała u obydwu obserwujących ją ludzi identyczną myśl.

Barnett pierwszy ubrał tę myśl w słowa.

— Zastanawiam się, czy jest na niej coś, co warto by zabrać — powiedział.

Agee z nadzieją uniósł posiwiałe brwi. Śledzili wzrokiem planetę od momentu, gdy automatyczne czujniki zaczęły rejestrować jej obraz.

Nigdy nie zaobserwowaliby tej planety, gdyby poprowadzili „Siłacza” wzdłuż linii południowogalaktycznych pasatów. Jednak policja Konfederacji stawała się coraz liczniejsza na tym szlaku, a Barnett wołał omijać ją szerokim łukiem.

„Siłacz” zarejestrowany był jako statek kupiecki, jednak jedyny ładunek, który miał na pokładzie, składał się z kilku butelek niezwykle silnego kwasu, używanego zwykle do otwierania sejfów, a także trzech bomb atomowych średniej mocy. Władze zwykle patrzyły z niechęcią na dobra, znajdujące się w ładowni statku, i próbowały zawsze przymknąć załogę pod jakimś starym zarzutem — morderstwo na Lunie, drobne złodziejstwo na Omedze, kradzież z włamaniem na Samii II. Były to dawne, niemal zapomniane dziś przestępstwa, które policja z ponurym uporem odgrzebywała spod zwałów niepamięci.

Na domiar złego „Siłacza” podziurawiły jak rzeszoto najnowsze policyjne niszczyciele. Wyruszyli zatem zewnątrzgalaktyczną trasą do Nowych Aten, gdzie odkryto niedawno złoża uranu.

— Nie wygląda na to, żeby coś takiego tam było — skomentował Agee, obserwując krytycznie urządzenia.

— Równie dobrze możemy ją ominąć — stwierdził Barnett.

Odczyty okazały się mało interesujące. Wynikał z nich obraz mniejszej od Ziemi planety, nie zarejestrowanej w wykazach, nie posiadającej żadnej wartości użytkowej z wyjątkiem zawierającej tlen atmosfery.

Gdy przelatywali obok, nagle ożyły detektory metali ciężkich.

— Tam na dole jest jakiś towar! — stwierdził Agee, interpretując naprędce złożone odczyty detektorów. — Jest czysty. Bardzo czysty... i znajduje się na powierzchni!

Spojrzał na Barnetta, ten skinął głową. Statek skręcił w stronę planety.

Od strony rufy nadszedł Victor, który wetknął na czubek swojej ogolonej głowy małą wełnianą czapkę. Patrzył ponad ramieniem Barnetta, jak Agee sprowadza statek w dół po ciasnej spirali. Gdy znaleźli się w odległości około kilometra od powierzchni, zobaczyli złożę ciężkiego metalu.

Był to statek kosmiczny, który spoczywał stojąc na rufie w naturalnym zagłębieniu terenu.

— To rzeczywiście zaczyna być interesujące — powiedział Barnett. Gestem polecił Agee'emu, by zbliżył się bardziej do zagadkowego znaleziska.

Agee zgrabnie wylądował. Przekroczył już dość dawno wyznaczony dla pilotów przymusowy wiek emerytalny, co jednak nie wpłynęło na jego spostrzegawczość i koordynację ruchów. Barnett zainteresował się nim, gdy Agee był w tarapatkach i bez grosza, po czym natychmiast przyjął podstarzałego pilota do pracy. Kapitan cieszył się zawsze, gdy mógł komuś pomóc, a przy tym było to dla niego wygodne i zapowiadało spory profit. Obaj mieli podobny stosunek do własności prywatnej, czasem jednak nie zgadzali się co do metod jej zdobywania. Agee preferował pewne skoki, Barnett zaś przejawiał więcej odwagi, niż należałoby oczekiwać po przedstawicielu relatywnie kruchego gatunku, jakim jest Homo sapiens.

Już w pobliżu powierzchni planety dostrzegli, że dziwny statek jest większy od „Siłacza” i błyszczący wręcz nowością.

Kształt jego kadłuba nie był jednak znajomy, podobnie jak znaki identyfikacyjne.

Agee poszukał jakichś wskazówek w swojej obszernej pamięci.

— Wygląda trochę na robotę tych z Cefeusza — oznajmił. — Tylko oni budują takie przysadziste jednostki. Wiecie, jesteśmy teraz dosyć daleko od uczęszczanych szlaków. Ten statek może nawet w ogóle nie należeć do Konfederacji.

Victor gapił się na pojazd, rozchylając ze zdziwienia swoje wydatne wargi. Westchnął donośnie.

— To pewne jak jasna cholera, że moglibyśmy skorzystać z takiego statku, prawda, kapitanie? — spytał.

Uśmiech, który zagościł na twarzy Barnetta, przypominał szczelinę, pojawiającą się nagle w granitowej skale.

— Victor — odrzekł — dzięki swojej naiwności trafiłeś w samo sedno. Oczywiście, że moglibyśmy. Siadajmy więc na powierzchni i utnijmy sobie pogawędkę z kapitanem.

Przed zapięciem pasów Victor upewnił się, czy wszystkie pokładowe blastery zamrażające są całkowicie naładowane.

Znajdując się już na powierzchni, wystrzelili w atmosferę pomarańczowo–zieloną flarę pertraktacyjną, ale nie doczekali się odpowiedzi ze strony obcego statku. Atmosfera planety okazała się po zbadaniu możliwa do oddychania, a jej temperatura wynosiła czterdzieści stopni Celsjusza. Po odczekaniu kilku minut wyszli na zewnątrz, schowawszy pod górną częścią kombinezonów gotowe do strzału blastery.

Przechodząc przez pięćdziesięciometrowy odcinek pomiędzy statkami, wszyscy mieli na twarzach wystudiowane, miłe uśmiechy.

Gdy znaleźli się przy samym pojeździe, stwierdzili, że jest on wspaniały. Jego lśniąca, srebrnoszara powierzchnia nie wydawała się w najmniejszym stopniu naruszona uderzeniami meteorów. Śluza powietrzna była otwarta i niski pomruk z wnętrza świadczył o tym, że generatory statku doładowywały się właśnie.

— Czy jest ktoś w domu? — krzyknął Victor do wnętrza śluzy. Jego głos odbił się wielokrotnym echem od ścian pustych pomieszczeń statku. Nie było odpowiedzi, rozlegał się jedynie cichy pomruk generatorów i szelest trawy na rozciągającej się wokół równinie.

— Jak sądzicie, gdzie oni mogli pójść? — spytał Agee.

— Może chcieli odetchnąć trochę świeżym powietrzem — zasugerował Barnett. — Nie przypuszczam, żeby spodziewali się gości.

Victor usiadł spokojnie na ziemi. Barnett i Agee zaczęli myszkować wokół podstawy statku, podziwiając wielkie otwory wylotowe jego silników.

— Sądzisz, że będziesz w stanie go pilotować? — spytał Barnett.

— Dlaczegoż by nie? — odpowiedział pytaniem Agee. — Po pierwsze, ma on najwyraźniej konwencjonalny silnik.

A systemy sterowania praktycznie się nie liczą — wszystkie istoty oddychające tlenem używają podobnych tablic kontrolnych. Rozszyfrowanie tego będzie dla mnie tylko kwestią czasu.

— Ktoś nadchodzi! — krzyknął Victor.

Popędzili z powrotem do śluzy. Mniej więcej trzysta metrów od statku widoczny był dziewiczy las. Spomiędzy drzew wyłoniła się właśnie jakaś postać, która zmierzała w kierunku ludzi.

Agee i Victor równocześnie wyciągnęli blastery.

Dzięki swej lornetce Barnett dostrzegł prostokątny kształt tej niewielkiej postaci; miała ona wysokość około sześćdziesięciu centymetrów i szerokość mniej więcej trzydziestu. Grubość obcego wynosiła nie więcej niż pięć centymetrów. Nie miał on głowy.

Barnett zmarszczył brwi. Nigdy jeszcze nie widział prostokąta unoszącego się swobodnie ponad kępami wysokiej trawy.

Wyregulowawszy ostrość w swojej lornetce dostrzegł także, iż obcy był w niewielkim stopniu humanoidem. Miał mianowicie cztery kończyny. Dwie z nich, niemal ukryte w trawie, służyły mu do chodzenia, zaś pozostałe dwie sterczały sztywno w powietrzu. Pośrodku tułowia Barnett rozpoznał z trudem dwoje maleńkich oczu oraz usta. Stwór nie miał na sobie żadnego kombinezonu ani hełmu.

— Cudacznie wygląda — wymamrotał Agee, regulując szczerbinkę blastera. — Przypuszczam, że jest sam? — zapytał po chwili.

— Mam nadzieję — odrzekł Barnett, wyciągając swój blaster.

— Odległość około dwustu metrów — poinformował Agee unosząc broń. Potem skierował wzrok na Barnetta.

— Czy chce pan z nim wcześniej porozmawiać, kapitanie? — zapytał.

— A o czym tu mówić? — odparł tamten, uśmiechając się leniwie. — Jednak podpuśćmy go trochę bliżej. Nie wolno nam chybić.

Agee skinął głową i zaczął śledzić postać obcego na swym celowniku.

Kalen zatrzymał się na tej opustoszałej, niewielkiej planecie w nadziei na wydobywanie — poprzez wysadzenie w powietrze — kilku ton erolu, minerału bardzo cenionego przez Mabogian. Nie miał jednak szczęścia. Bomba tetnitowa, dla której nie znalazł żadnego zastosowania, spoczywała wciąż w torbie ciała Kalena, obok znajdującego się tam zupełnie przypadkowo jądra orzecha. Wyglądało na to, że będzie musiał powrócić na Mabog z balastem zamiast ładunku cennego erolu.

Doznał niemal szoku, gdy ujrzał w pobliżu swego statku inny, dziwacznie zwężający się ku końcowi gwiazdolit. Nigdy nie przypuściłby, że na tym małym, prawie martwym świecie spotka jakieś inne istoty.

A pasażerowie dziwnego pojazdu czekali przy śluzie jego własnego statku! Kalen dostrzegł od razu, że w bardzo niewielkim stopniu przypominają oni Mabogian. Co prawda do Związku Mabogijskiego należała bardzo przypominająca ich rasa, ale budowali oni zupełnie inne statki kosmiczne. Intuicja podpowiadała mu, że ci obcy mogą być reprezentantami wielkiej cywilizacji, która, wedle nie sprawdzonych do tej pory pogłosek, mieszkała gdzieś na peryferiach Galaktyki.

Skwapliwie pospieszył w ich kierunku.

Dziwne, ale obcy nie zbliżali się do niego. Dlaczego nie wyruszyli mu na spotkanie? Wiedział, że go dostrzegli, ponieważ ich górne kończyny skierowane były w jego stronę.

Zaczął przemieszczać się jeszcze szybciej, uświadamiając sobie, że nie wie nic o ich obyczajach. Miał tylko nadzieję, że nie praktykowali długotrwałych, oficjalnych ceremonii. Godzina zaledwie, którą spędził na powierzchni tej nieprzyjaznej planety, wyczerpała jego siły. Był głodny i czuł przemożną potrzebę wejścia pod prysznic...

Coś niezwykle zimnego wstrząsnęło nim, odrzucając do tyłu. Rozejrzał się wokół z lękiem. Czy była to jakaś nie rozpoznana przezeń do tej pory właściwość tej planety?

Ponownie ruszył do przodu. Przeszył go kolejny lodowaty piorun, zamrażając zewnętrzną warstwę jego skóry.

Sprawa robiła się poważna. Mabogianie należeli do najbardziej odpornych ras w Galaktyce, ale i oni mieli swoje granice wytrzymałości. Kalen ponownie rozejrzał się wokół, poszukując źródła kłopotów.

Stwierdził, że obcy do niego strzelają!

Przez chwilę jego centra myślowe odmawiały zaakceptowania oczywistego świadectwa zmysłów. Kalen wiedział, czym jest morderstwo. Z przerażeniem i oszołomieniem obserwował niegdyś tę perwersję, praktykowaną przez niektóre cofnięte w rozwoju gatunki zwierzęce. Poza tym istniały również książki z dziedziny psychopatologii, w których opisane były wszystkie przypadki morderstw z premedytacją, do jakich doszło w dziejach Mabogu.

Jednak w najgorszych koszmarach nie przewidział, że coś takiego może kiedykolwiek zdarzyć się jemu! Dosłownie nie mógł w to uwierzyć.

Trafiła go następna lodowata strzała. Kalen stał nieruchomo, próbując przekonać samego siebie, że dzieje się to naprawdę. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób stworzenia, posiadające wystarczające zdolności, by kierować statkiem kosmicznym, mogły być równocześnie zdolne do morderstwa.

A poza tym oni przecież nawet go nie znali!

Gdy było już niemal za późno na reakcję, Kalen odwrócił się gwałtownie i popędził w stronę lasu. Teraz już wszyscy trzej obcy strzelali do niego i trawa wokół pokrywała się trzeszczącym pod odnóżami szronem. Zewnętrzna skóra Kalena była już także całkowicie zamrożona. Chłód należał do zjawisk, do których ciało Mabogian nie było przystosowane i lodowaty dreszcz wkradł się już do jego wewnętrznych organów.

Wciąż jednak Kalen nie mógł uwierzyć w to, co się działo.

Dotarł do krawędzi lasu, a dwa lodowe pioruny trafiły go w chwili, gdy chował się za drzewo. Czuł, jak wewnętrzne systemy regulacyjne próbują mozolnie przywrócić minimalną temperaturę

ciała; odczuwając głęboki żal z powodu tego, co się stało, pogrążył się w ciemności.

— To jakiś głupi gatunek obcych — zauważył Agee, chowając blaster do kabury.

— Głupi, ale odporny — stwierdził Barnett. — Jednak żadna oddychająca tlenem istota nie może wytrzymać długo pod ogniem blastera.

Uśmiechnął się z dumą i poklepał srebrnoszary kadłub statku.

— Nazwiemy go „Siłacz II” — oznajmił.

— Trzykrotne „hura!” na cześć kapitana! — wykrzyknął z entuzjazmem Victor.

— Darujcie sobie te wrzaski — skomentował Barnett. — Musicie oszczędzać siły, bo mamy jeszcze sporo roboty.

Spojrzał na niebo.

— Zostało nam około czterech godzin do zmierzchu. Victor, przetransportuj pożywienie, tlen i narzędzia z „Siłacza I” i zabezpiecz jego reaktory. Któregoś dnia wrócimy i zabierzemy naszego staruszka. Chcę jednak, żebyśmy wystartowali stąd o zachodzie słońca.

Victor popędził do ich dawnego statku. Barnett i Agee weszli na pokład „Siłacza II”.

Tylna część statku załadowana była generatorami, silnikami, transformatorami, siłownikami, zbiornikami paliwa i powietrza. Obok znajdowała się olbrzymia ładownia, która zajmowała prawie całą drugą połowę statku. Wypełniały ją orzechy wszelkich możliwych kształtów, rozmiarów oraz barw, których wielkość wahała się od pięciu centymetrów średnicy do mniej więcej podwojonego rozmiaru ludzkiej głowy. Taki rozkład pomieszczeń powodował, że do wykorzystania pozostawały zaledwie dwie kabiny na dziobie statku.

Pierwsza z nich musiała być najwyraźniej kajutą dla załogi, ponieważ tu właśnie napotkali jedyną na statku przestrzeń mieszkalną. W kompletnie pustym pomieszczeniu nie dostrzegli jednak ani koi, ani też żadnych stołów czy foteli; była tu tylko gładko wypolerowana metalowa podłoga. W ścianach i suficie widniało kilka niewielkich otworów, których przeznaczenia nie dawało się jednak łatwo odgadnąć.

W pobliżu, połączona z tym pomieszczeniem, znajdowała się kabina pilota. Była bardzo mała; ledwie wystarczała, by pomieścić jednego człowieka. Tablicę kontrolną pod ekranem obserwacyjnym całkowicie wypełniały różne instrumenty.

— To wszystko twoje — oznajmił Barnett. — Przekonajmy się, co uda ci się z tym zrobić.

Agee skinął głową, rozejrzał się w poszukiwaniu fotela, po czym przykucnął przed tablicą kontrolną. Zaczął studiować sposób rozmieszczenia na niej instrumentów.

W ciągu paru godzin Victor zdołał przetransportować wszystkie ich zapasy na pokład „Siłacza II”. Agee wciąż jeszcze nie dotknął żadnego z instrumentów. Usiłował skojarzyć sobie, które podzespoły statku kontrolowane są przez poszczególne urządzenia na tablicy, wnioskując na podstawie ich rozmieszczenia. Nie było to łatwe, nawet gdyby przyjąć założenie, że systemy nerwowe i schematy myślenia obcych są identyczne jak u ludzi. Czy suwak systemu wspomagania silników zwiększał porcję energii, gdy przesuwano się go od lewej do prawej? Jeżeli nie, oznaczało to, że Agee będzie musiał oduczyć się swoich dotychczasowych nawyków manualnych podczas pilotażu. Czy dla konstruktorów statku kolor czerwony oznaczał niebezpieczeństwo? Jeżeli rzeczywiście tak było, to ten duży przełącznik powinien służyć do pozbywania się paliwa w sytuacji awaryjnej. Ale czerwień może oznaczać także wysoką temperaturę, a w takim wypadku przełącznik kontrolowałby turbulentny przepływ energii.

Zgodnie z wiedzą, którą posiadał, celem tego urządzenia było wytworzenie w reaktorach atomowych dodatkowej energii na wypadek ataku wroga.

Agee miał to wszystko na uwadze, studiując rozkład urządzeń kontrolnych. Nie kłopotał się zbytnio całą sytuacją, po pierwsze dlatego, że statki kosmiczne były na ogół twardymi sztukami, praktycznie niemożliwymi do zniszczenia od wewnątrz. Po drugie zaś Agee uważał, że udało mu się zroszyfrować główny schemat tablicy.

Do pomieszczenia pilota wsadził głowę Barnett, a zaintrygowany Victor dosłownie wchodził mu na plecy.

— Jesteś gotów? — spytał ten pierwszy.

Agee spojrzał na nich znad tablicy.

— Sądzę, że tak — odparł. Dotknął lekko jednego ze wskaźników. — To musi kontrolować śluzy powietrzne — oznajmił.

Odwrócił włącznik. Victor i Barnett, spoceni mimo chłodu panującego w pomieszczeniu, czekali na to, co się stanie.

Usłyszeli delikatny dźwięk przemieszczania się dobrze naoliwionego metalu. Śluzy zostały zamknięte.

Agee uśmiechnął się i dmuchnął na szczęście w opuszki swoich palców.

— Oto system kontroli atmosfery — powiedział, po czym przekręcił do oporu jeden z przełączników.

Z sufitu zaczął się sączyć żółty dym.

— Zanieczyszczenia w systemie — wymamrotał Agee, próbując wyregulować przełącznik. Victor zakasłał.

— Wyłącz to! — powiedział Barnett.

Dym wlewał się teraz do kabiny gęstymi strumieniami, niemal natychmiast wypełniając dwa niewielkie pomieszczenia.

— Wyłącz to! — wrzasnął kapitan.

— Nie widzę go! — odkrzyknął Agee. Rzucił się w stronę przełącznika, jednak chybił i uderzył dłonią guzik, który znajdował się pod nim. Generatory statku zaczęły natychmiast wściekle jęczeć. Po całej tablicy roztańczyły się błękitne iskierki, przeskakując nawet na ściany kabiny.

Agee chwiejnym krokiem cofnął się od tablicy, po czym zemdlał. Victor był już przy drzwiach ładowni i próbował rozbić je, waląc w nie pięściami. Barnett zakrył dłonią usta i popędził w stronę tablicy. Zaczął gmerać w poszukiwaniu przełącznika, czując jak cały statek obraca się wokół niego, przyprawiając go o mdłości i zawroty głowy.

Victor upadł na pokład, ostatkiem sił uderzając wciąż w drzwi ładowni.

Barnett na ślepo walił w tablicę rozdzielczą.

Nagle generatory wyłączyły się. Po chwili Barnett poczuł na twarzy chłodny powiew. Przetarł zażawione oczy i podniósł wzrok, by zobaczyć, co się stało.

Jakimś szczęśliwym trafem jedno z jego uderzeń w tablicę spowodowało zamknięcie otworów w suficie, odcinając dopływ żółtego gazu do kabiny. Również przypadkowo Barnett otworzył śluzy i wypełniający statek gaz zastąpiło chłodne, nocne powietrze planety. Wkrótce atmosfera statku nadawała się do oddychania.

Roztrzęsiony Victor z trudem podniósł się na nogi, jednak

Agee nie poruszał się. Barnett zrobił wiekowemu pilotowi sztuczne oddychanie, klnąc po cichu w trakcie tej czynności.

W końcu źrenice Agee'ego poruszyły się, a jego klatka piersiowa zaczęła unosić się i opadać. Parę minut później zdołał już usiąść i, oszołomiony, potrząsnął głową.

— Co to mogło być? — zapytał Victor.

— Obawiam się — odrzekł Barnett — że nasz przyjaciel uważał to właśnie za nadającą się do oddychania atmosferę.

Agee potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— To niemożliwe, kapitanie — powiedział. — Przecież tutaj, na planecie, która ma tlen w atmosferze, spacerował bez żadnego hełmu...

— Potrzeby żywych organizmów w dziedzinie oddychania są niezwykle zróżnicowane — zauważył Barnett. — Powiedzmy sobie wprost: fizyczna struktura naszego przyjaciela różni się znacznie od naszej.

— To raczej niedobrze — stwierdził Agee.

Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie nawzajem. W ciszy, która nastąpiła, usłyszeli odległy, złowróbnny dźwięk.

— Co to było?! — wrzasnął Victor, wyszarpując blaster z kabury.

— Zamknij się! — krzyknął Barnett.

Wyteżali słuch. Próbując zidentyfikować ten dźwięk, Barnett czuł, jak włosy na skórze tylnej części jego szyi stają mu dęba.

Dźwięk dobiegał z pewnej odległości. Był to jakby odgłos metalu uderzającego w jakiś niemetalowy przedmiot.

Wyjrżeli przez śluzę. W słabym już poblasku zachodzącego słońca dostrzegli, że główny właz „Siłacza I” jest otwarty.

Dźwięk docierał ze środka statku.

— To niemożliwe — odezwał się Agee. — Blastery zamrażające...

— ...nie zabiły go — dokończył za niego Barnett.

— To źle — mruknął Agee. — To bardzo źle.

Victor wciąż miał w ręku swój blaster.

— Kapitanie, mógłbym wrócić tą samą drogą i...

Barnett potrząsnął głową przecząco.

— Nie dopuściłby cię do śluzы nawet na odległość trzech metrów. Nie, pozwólcie mi pomyśleć... Czy na pokładzie zostało coś, czego on mógłby użyć do zniszczenia statku? Na przykład reaktory?

— Zabrałem stamtąd pręty paliwowe, kapitanie — stwierdził Victor.

— To dobrze. A więc nie zostało nic...

— Kwas — przerwał Agee. — To silny środek. Ale nie sądzę, żeby za jego pomocą mógł narobić dużo bigosu.

— Nic nie zdziała — orzekł Barnett. — Jesteśmy w tym statku i pozostaniemy tutaj. Ale musimy zaraz wystartować.

Agee spojrział z obawą na tablicę kontrolną. Jeszcze pół godziny temu wydawało mu się, że prawie rozumie, jak ona funkcjonuje. Teraz zaś jawiła mu się przebiegle skonstruowaną, śmiertelną pułapką,

której niewidoczne przewody mają na celu sianie wokół zniszczenia.

Była to pułapka zastawiona nieświadomie. Jednak statek kosmiczny, oprócz tego, że przenosi swoich pasażerów w przestrzeni, musi zapewniać im warunki do życia. Urządzenia kontrolne były zatem przystosowane do odtwarzania warunków życiowych obcego i zaspokajania jego potrzeb.

To zaś mogło mieć dla nich fatalne skutki.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, z jakiego rodzaju planety on przybył — westchnął żałośnie Agee. Gdyby znali naturalne otoczenie obcego, mogliby przewidzieć, co zrobi statek.

Tymczasem wszystko, co wiedzieli — to tylko fakt, iż oddychał trującym żółtym gazem.

— Poradzimy sobie — stwierdził Barnett, jednak bez większego przekonania. — Po prostu daj kopa silnikom i zostawmy wszystko swojemu biegowi.

Agee odwrócił się ku instrumentom kontrolnym.

Barnett dałby wiele za to, żeby wiedzieć, co zamierza zrobić teraz obcy. Patrzył na ledwo widoczny w półmroku kadłub swego statku i słuchał zagadkowego odgłosu metalu uderzającego o jakiś inny przedmiot.

Kalen był zaskoczony tym, że wciąż jeszcze żył. Wśród jego ludu krążyło jednak powiedzenie: „Albo Mabogianin zostaje zabity od razu, albo wcale”. A on, jak dotąd, nie został zabity.

Usiadł z trudem i oparł się o drzewo. Pojedyncze czerwone słońce tego układu wisiało już nisko nad horyzontem, zaś Kalena otaczały skłębione wyziewy trującego tlenu. Natychmiast sprawdził swój system oddechowy i odkrył z ulgą, że jego płuca są starannie uszczelnione. Życiodajne żółte powietrze, jakkolwiek zanieczyszczone od długiego użytkowania, wciąż podtrzymywało go przy życiu.

Nie był jednak zbyt dobrze zorientowany, co dzieje się wokół. W odległości kilkuset metrów od niego spoczywał spokojnie jego pojazd. Słabnący czerwony poblask słońca igrał na jego kadłubie i przez chwilę Kalenowi wydawało się, że w okolicy nie ma już obcych. To, co się wydarzyło, było tylko złudzeniem i teraz będzie mógł po prostu powrócić do swego statku...

W tej chwili zobaczył jak jeden z obcych, obładowany różnorakimi dobrami, wkracza do jego kosmolotu. Po krótkiej chwili zamknęły się śluzy powietrzne.

Niestety, to wszystko było prawdą. Musiał gwałtownie wrócić do ponurej rzeczywistości.

Bardzo potrzebował pożywienia i powietrza. Jego powłoka zewnętrzna była sucha i popękana; wymagała natychmiastowego odżywczego czyszczenia. Jednak pożywienie, powietrze i oczyszczacze znajdowały się na utraconym statku. Wszystko co miał — był to jeden jedyny orzech oraz bomba tetnitowa, spoczywająca w torbie jego ciała.

Gdyby udało mu się otworzyć i zjeść orzech, mógłby odzyskać nieco siły. Jednak w jaki sposób zgnieść skorupę?

Wydało mu się szokujące, w jak olbrzymim stopniu zależał od różnego rodzaju urządzeń! Będzie musiał znaleźć sposób na wykonanie najzwyklejszych codziennych czynności, które jego statek spełniał automatycznie, nawet bez kierującego urządzeniami operatora.

Kalen zwrócił uwagę na fakt, że obcy najwyraźniej opuścili swój własny statek. Dlaczego...? W sumie nie miało to znaczenia.

Tu, na otwartej równinie, Kalen nie doczekałby świtu. Jedyna szansa, by przetrwać, znajdowała się na pokładzie ich statku.

Zaczął powoli pełznąć wśród traw, zatrzymując się jedynie wtedy, gdy ogarniała go fala zawrotów głowy. Starał się bez przerwy mieć na oku swój statek. Gdyby obcy odnaleźli go teraz, byłby zgubiony. Po nieskończonym, jak mu się wydawało, okresie czołgania się, dotarł do ich statku i wśliznął się do środka.

Świtało. Jednak nawet w zamglonym świetle brzasku Kalen zdołał dojrzeć, że statek jest stary. Ściany, zbyt cienkie, najwyraźniej wielokrotnie łatano. Wszystko wokół świadczyło o długotrwałej, nadmiernej eksploatacji.

Teraz był w stanie zrozumieć, dlaczego chcieli przejąć jego pojazd.

Ogarnęła go kolejna fala mdłości. To jego ciało domagało się natychmiastowej opieki.

Pierwszym problemem wydawało się pożywienie. Wysunął orzech sednowy z kieszeni swego ciała. Był okrągły, miał średnicę prawie dziesięciu centymetrów, a jego twarda skorupa miała grubość niemal dwucentymetrową. Orzechy tego gatunku stanowiły główny składnik diety mabogijskich astronautów. Zawierały mnóstwo wartości odżywczych i z powodu swej szczelności mogły być przechowywane przez nieskończenie długi czas.

Oparł orzech o ścianę, znalazł stalowy pręt i trzasnął nim w skorupę. Pręt wydał głuchy dźwięk, przypominający uderzenie w bęben. Orzech pozostał nienaruszony.

Kalen zastanawiał się, czy obcy mogą usłyszeć ten odgłos.

Wiedział jednak, że będzie musiał zaryzykować. Usadowiwszy się na podłodze, zaczął walić prętem jak cepem. Po piętnastu minutach był kompletnie wyczerpany, a pręt zgął się niemal o dziewięćdziesiąt stopni.

Orzech był nie uszkodzony.

Okazało się, że Kalen nie może otworzyć orzecha bez rozłupywacza, który należał do standardowego wyposażenia każdego mabogijskiego statku. Nikt nigdy nie pomyślał nawet, że orzechy można otwierać w jakiś inny sposób.

Był to przerażający dowód jego bezradności.

Chciał unieść pręt, by uderzyć nim jeszcze raz, jednak stwierdził, że sztywnieją mu kończyny. Odrzucił więc narzędzie i zbadał stan swego ciała.

Sztywniejąca zewnętrzna skóra krępowała ruchy. Twardniała stopniowo, przemieniając się powoli w nieprzenikliwą, zrogowaciałą warstwę. Kalen wiedział, że gdy proces twardnienia się skończy, zostanie całkowicie unieruchomiony. Zamrożony w pozycji siedzącej lub stojącej pozostanie tak, aż do chwili śmierci przez uduszenie.

Zwalczył ogarniające go przerażenie i spróbował myśleć.

Niezwłocznie musiał poddać swoją skórę niezbędnym zabiegom. Było to znacznie ważniejsze niż pożywienie. Na pokładzie swego statku mógłby wykopać się, zmiękczyć skórę i w razie potrzeby poddać ją leczeniu. Miał jednak wątpliwości, czy obcy mieli w swoim kosmolocie niezbędne do tego oczyszczacze.

W tej sytuacji jedynym rozwiązaniem pozostawało oderwanie tej zewnętrznej skorupy. Następna warstwa skóry pozostałaby przez kilka dni niezmiernie krucha i wrażliwa, ale w końcu Kalen mógłby poruszać się bez przeszkód.

Sztywniejącymi kończynami podjął poszukiwanie zmieniacza. Okazało się jednak, że obcy nie posiadali na swoim statku nawet tego podstawowego urządzenia. Kalen mógł wciąż liczyć tylko na samego siebie.

Podniósł stalowy pręt, wygiął go, robiąc z niego hak i podłożył jego ostrze pod fałdę swej zewnętrznej powłoki.

Używając całej siły, szarpnął pręt do góry.

Skóra nie poddała się jednak.

Kalen, nie rezygnując, zaklinował się pomiędzy generatorem a ścianą i podłożył drążek w inny sposób. Jednak jego ramiona okazały się zbyt krótkie, by mógł osiągnąć efekt dźwigni, zaś twarda skóra uparcie nie dawała się poruszyć.

Bez żadnego skutku wypróbował chyba z tuzin innych pozycji. Musiał przyznać, że bez pomocy odpowiedniego mechanizmu nie będzie w stanie zaprzeć się wystarczająco mocno.

Wyczerpany, odrzucił metalowy pręt. Nie mógł zrobić nic, kompletnie nic. Potem przypomniał sobie o bombie tetnitowej w kieszeni swego ciała.

Prymitywna część jego umysłu, z której istnienia dotychczas nie zdawał sobie sprawy, podpowiedziała mu, że jest proste wyjście z tej matni. Korzystając z nieuwagi obcych mógłby podłożyć bombę pod kadłub swego statku. Słaby ładunek wyrzuciłby statek w powietrze na wysokość zaledwie pięciu — dziesięciu metrów, nie niszcząc kosmolotu.

Niewątpliwie jednak wszyscy obcy zostaliby wówczas zabici.

Kalen był przerażony. Jak w ogóle mógł pomyśleć o czymś takim?! Mabogijska etyka, zakorzeniona w każdym, najmniejszym nawet włóknie jego ciała, stanowczo zakazywała odbierania życia jakiegokolwiek istotie inteligentnej, bez względu na motywację tego czynu. Dosłownie nic nie mogło tego usprawiedliwić.

— Jednak czy nie byłoby to w jakiś sposób uzasadnione? — szeptał ten prostak w jego wnętrzu. — Ci obcy są chorzy, zarażeni bakcylem mordy. Pozbycie się ich byłoby przysługą dla Wszechświata, zaś jemu, Kalenowi, pomogłoby jedynie przy okazji. Nie należy myśleć o tym jako o morderstwie.

Należałoby to nazwać raczej uzasadnioną eksterminacją.

Wyjął bombę tetnitową z kieszeni swego ciała, a potem gwałtownym ruchem schował ją. — Nie! — powiedział sam do siebie, jednak z mniejszym już przekonaniem.

Powoli tracił zdolność logicznego myślenia. Na chwiejących się, bezwładnych niemal kończynach zaczął przeszukiwać statek obcych w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby uratować mu życie.

Agee siedział skulony w kabinie pilota, ze zmęczeniem oznaczając poszczególne przełączniki na tablicy kontrolnej przy pomocy niezmywalnego ołówka. Płuca wciąż go bolały; pracował przez całą noc. Na zewnątrz był teraz ponury, szary świt, a wokół kadłuba „Siłacza II” szalał świszcząc chłodny wiatr. Statek kosmiczny był oświetlony, ale nie ogrzewany, ponieważ Agee bał się dotykać przełączników zmiany temperatury.

Do pomieszczenia załogi wkroczył Victor, uginając się pod ciężarem pojemnika do przenoszenia ładunków.

— Barnett? — zawołał Agee.

— Już idzie — odpowiedział Victor.

Kapitan życzył sobie, żeby cały ekwipunek znajdował się w pobliżu nich, na wypadek gdyby musieli szybko coś z niego wydostać. Pomieszczenie dla załogi okazało się jednak zbyt małe i wykorzystali już prawie całą jego przestrzeń.

Rozglądając się wokół w poszukiwaniu choćby skrawka miejsca, by położyć pojemnik, Victor dostrzegł drzwiczki w jednej ze ścian. Nacisnął znajdujący się przy nich guzik i drzwiczki wsunęły się gładko w sufit, odsłaniając wnękę wielkości mniej więcej szafy na ubrania. Victor zdecydował, że będzie to idealne miejsce na przechowanie bagażu.

Ignorując pokruszone czerwone łupiny na podłodze, włożył pojemnik do środka.

Sufit malutkiego pokoiku zaczął się natychmiast opuszczać.

Victor wydał z siebie wrzask słyszalny na całym statku.

Podskoczył w górę... i rąbnął głową w strop pomieszczenia.

Ogłuszony, upadł twarzą na podłogę „szafy”.

Agee wybiegł z kabiny pilota; w tym samym momencie do kajuty dla załogi wpadł sprintem Barnett. Schwycił Victora za nogi i spróbował wyciągnąć go z wnęki, ale jego podwładny okazał się zbyt ciężki, kapitan zaś nie mógł zaprzeć się odpowiednio na gładkiej metalowej podłodze.

Przejawiając rzadką przytomność umysłu, Agee błyskawicznie postawił na sztorc pojemnik we wnętrzu pokoiku. Sufit zatrzymał się na chwilę.

Barnett i Agee zaczęli wspólnie ciągnąć Victora; zdołali go wydostać w ostatnim momencie. Ciężki pojemnik pękł i dosłownie w tej samej chwili został zmiażdżony niczym kawałek drzewa balsa.

Sufit niewielkiego pomieszczenia, opuszczając się po dobrze naoliwionej prowadnicy, zgniótł pojemnik do grubości dziesięciu centymetrów. Potem jego przekładnie trzasnęły cicho i bez najmniejszego dźwięku powrócił na poprzednie miejsce.

Victor usiadł i zaczął trzeć guza na głowie.

— Kapitanie — zapytał płaczliwie — czy nie moglibyśmy wrócić do naszego własnego statku?

Agee również sceptycznie oceniał szansę ich przedsięwzięcia. Spojrzał na śmiertelnie niebezpieczny mały pokoik, znów przypominający szafkę, na podłodze której znajdowały się pokruszone czerwone skorupy.

— Wygląda na to, że statek rzeczywiście przynosi nieszczęście — powiedział ze zmartwieniem. — Może Victor ma rację...

— Chcecie go porzucić? — spytał Barnett.

Agee, zwijając się ze wstydu, skinął głową.

— Problem polega na tym — powiedział, nie patrząc na Barnetta — że nie mamy pojęcia, co nas tu za chwilę spotka.

To po prostu zbyt ryzykowne, kapitanie.

— Czy zdajecie sobie sprawę, z czego chcecie zrezygnować? — sprzeciwił się Barnett. — Sam kadłub tego statku wart jest fortunę. A czy przyjrzelście się jego silnikom? Nic, co znamy na Ziemi, nie byłoby w stanie powstrzymać tego kosmolotu. Mógłby po prostu przebić się przez planetę i wydostać po jej drugiej stronie bez najmniejszego zadrapania na farbie kadłuba. A wy chcecie z niego zrezygnować!

— Nie będzie wiele wart, jeżeli nas zabije — zaproponował Agee.

Victor skinieniem głowy wyraził poparcie. Barnett przyglądał im się przez chwilę.

— Teraz posłuchajcie mnie uważnie — oznajmił. — Nie porzucimy tego statku. On nie przynosi pecha. Jest po prostu obcy i pełen nieznanymi urządzeniami. Wszystko, co musimy zrobić, to po prostu w miarę możliwości trzymać łapy z dala od nich, dopóki nie dotrzemy do kosmoportu. Zrozumiano?!

Agee chciał powiedzieć coś o szafkach, które zmieniają się w prasy hydrauliczne; nie stanowiło to zbyt dobrej prognozy na przyszłość. Jednak spojrzawszy na twarz Barnetta, zrezygnował.

— Czy oznaczyłeś już przełączniki na tablicy kontrolnej?

— Zostało mi jeszcze tylko kilka — odpowiedział Agee.

— Dobrze. Skończ i umówimy się, że będziemy dotykać tylko tych właśnie przełączników. Jeśli zostawimy resztę statku w spokoju, to i on zostawi nas w spokoju. Nic nam się nie stanie, jeśli tylko będziemy trzymać łapy z daleka od wszystkiego, czego nie znamy.

Barnett otarł pot z twarzy, oparł się o ścianę i rozpiął swoją kurtkę.

Ze ściany po obu jego bokach wyłoniły się natychmiast dwie metalowe obejmy, które uwięziły go na wysokości brzucha i talii.

Barnett patrzył na nie przez chwilę z zaskoczeniem, po czym, używając całej siły, rzucił się w przód. Jednak obejmy nie ustępowały. W ścianie rozległo się specyficzne trzeszczenie i wyłoniło się z niej cienkie drucziane włókienko. Dotknęło szacująco kurtki Barnetta, po czym wycofało się do wnętrza.

Agee i Victor patrzyli bezradnie.

— Wyłączcie to — powiedział Barnett z napięciem.

Agee popędził do kabiny pilota. Victor wciąż gapił się na Barnetta. W tym momencie ze ściany wysunęło się metalowe ramię, zakończone błyszczącym, prawie dziesięciocentymetrowym ostrzem.

— Zatrzymajcie to! — wrzasnął Barnett.

Victor ocknął się. Podbiegł i spróbował wyrwać wysięgnik.

Ramię obróciło się o trzysta sześćdziesiąt stopni i Victor, zataczając się, wpadł na przeciwległą ścianę.

Nóż z chirurgiczną precyzją przeciął kurtkę Barnetta od pasa w górę, nie dotykając nawet koszuli, która była pod spodem. Potem wysięgnik zniknął z pola widzenia.

Agee tłukł teraz w przełączniki na tablicy kontrolnej; generatory statku jęczały, śluzy otwierały się

i zamykały, stabilizatory wykrzywiały się we wszelkich możliwych położeniach, światła migotały. Jednak nie miało to najmniejszego wpływu na mechanizm, który więził Barnetta.

Cienki drucik ponownie wkroczył do akcji. Dotknął koszuli Barnetta i zatrzymał się na chwilę. Mechanizm w ścianie zaczął alarmująco świergotać. Drucik ponownie dotknął koszuli kapitana, tak jakby nie był pewien, co w tej sytuacji ma zrobić.

— Nie mogę tego wyłączyć! To musi być w pełni automatyczne! — wrzasnął Agee ze sterowni.

Drucik powrócił do ściany. W momencie gdy zniknął, ponownie wyłoniło się z niej ostrze.

Mniej więcej w tej chwili Victor zdołał zlokalizować ciężki klucz maszynowy. Przemierzył pędem pomieszczenie, rozbijał klucz i uderzył, o mały włos nie trafiając Barnetta w głowę.

Na wysięgniku nie pojawiło się nawet najmniejsze wklęsnięcie. Ostrze spokojnie przecięło wzdłuż koszulę Barnetta, obnażając go do pasa.

Barnettowi nic się nie stało, ale w chwili gdy drucik po raz trzeci wyłonił się ze ściany, oczy wyszły mu niemal z orbit.

Victor zaczął nerwowo gryźć własną pięść i wycofał się o kilka kroków do tyłu. Agee zamknął oczy.

Drucik dotknął żywej, ciepłej skóry kapitana, zatrzeszczał aprobująco i wsunął się z powrotem w ścianę. Obejmy otworzyły się, Barnett opadł na kolana.

Przez chwilę panowała kompletna cisza. Nie było nic do powiedzenia w tej sytuacji. Barnett patrzył ponuro w przestrzeń. Victor zaczął nerwowo trzaskać stawami swoich dłoni, dopóki Agee nie dał mu kuksańca.

Wiekowy pilot usiłował rozgryźć problem, dlaczego urządzenie przecięło ubranie Barnetta, a potem zatrzymało się, gdy dotarło do żywego ciała. Czy był to sposób, w jaki obcy się rozbierał? Nie miało to żadnego sensu.

Ale szafka miazdząca swą zawartość również nie miała sensu.

W pewnym stopniu Agee był zadowolony z tego, co się zdarzyło. Musiało to dać Barnettowi nauczkę. Teraz będą mogli wreszcie opuścić ten pechowy statek i pomyśleć nad sposobem odzyskania własnego kosmolotu.

— Dajcie mi koszulę — powiedział Barnett. Victor znalazł mu jakąś w pośpiechu. Barnett wciągnął ją na siebie uważając, by stać w odpowiedniej odległości od ścian.

— Ile czasu zabierze ci uruchomienie tego statku? — spytał Agee'ego odrobinę niezdecydowanym tonem.

— Co?!

— Słyszales pytanie.

— Na listość boską, czy nie masz już dosyć? — wykrztusił Agee.

— Nie. Za ile czasu będziemy mogli stąd wystartować?

— Mniej więcej za godzinę — wymamrotał Agee. Cóż innego mógł powiedzieć? Kapitan stanowczo przesadzał. Zmęczonym krokiem Agee powrócił do sterowni.

Barnett wciągnął sweter na koszulę, a potem ubrał się w kurtkę. W pomieszczeniu było chłodno i kapitan zaczął gwałtownie drzeć.

Kalen leżał bez ruchu na pokładzie statku obcych. Zrobił głupio, tracąc większość siły, jaka mu pozostała, na próby oderwania sztywniejącej zewnętrznej warstwy swej skóry. Stawała się ona stopniowo coraz twardsza, w miarę jak Kalen był coraz słabszy. Teraz wyglądało na to, że nie opłaca mu się nawet najmniejsze poruszenie. Lepiej było odpoczywać i czuć, jak płomień życia, buzujący we wnętrzu jego ciała, pali się coraz słabiej.

Wkrótce już śnił o poszarpanych turniach gór Mabogu i wielkim kosmoporcie Canthanope, gdzie międzygwiazdne statki kupieckie opadały powoli w dół ze swoimi dziwnymi ładunkami. Był tam o zmierzchu, obserwując jak ponad płaskimi dachami zachodzą dwa duże słońca jego ojczystej planety. Dlaczego jednak zachodziły na południu, oba razem, jedno niebieskie, a drugie żółte? W jaki sposób obydwie mogły zachodzić na południu? Było to przecież fizycznym niepodobieństwem... Być może jego ojciec mógłby mu to wytłumaczyć... Stawało się coraz ciemniej i musiał wracać do domu...

Otrząsnął się z podsuniętej przez wyobraźnię wizji i spojrzał w smętne światło rodzącego się poranka. Nie, tak nie umierają mabogijscy astronauty. Musi spróbować jeszcze raz.

Po pół godzinie powolnych, bolesnych poszukiwań, na rufie statku odnalazł zapieczętowane metalowe pudełko. Obcy najwyraźniej je przeoczyli. Odgiął pokrywę. W środku znajdowało się kilka butelek, starannie zakorkowanych i owiniętych miękkim materiałem, zabezpieczającym je przed wstrząsami. Kalen uniósł jedną z nich i przyjrzał się jej.

Widniał na niej duży, biały symbol. Nie było przyczyny, dla której Kalen miałby znać ten symbol, jednak dość słabo mu się on z czymś kojarzył. Poszukał w pamięci, usiłując to sobie uprzytomnić.

Po chwili, choć mgliście, coś mu zaświtało. Było to schematyczne przedstawienie czaszki humanoida. Do Unii Mabogijskiej należała jedna rasa humanoidalna i Kalen widział kiedyś w muzeum modele czaszek jej przedstawicieli.

Dlaczego jednak ktoś miałby umieszczać coś takiego na butelce?

Symbol czaszki oznaczał dla Kalena uczucie czci i szacunku. Twórcy tych butelek to właśnie musieli mieć na myśli.

Otworzył jedną i powąchał jej zawartość.

Zapach był interesujący. Przypominał mu nieco...

Roztwór do oczyszczania skóry!

Nie tracąc ani chwili, wylał na siebie całą zawartość.

Potem czekał, ledwo odważywszy się mieć nadzieję. Gdyby udało mu się przywrócić skórę do stanu używalności...

Tak, płyn znajdujący się w oznaczonej symbolem czaszki butelce był łagodnym oczyszczaczem! Miał również miły zapach.

Wylał kolejną butelkę na swą pancerną, zewnętrzną warstwę skóry i poczuł, jak ożywczy roztwór wsiąka w nią. Jego ciało, spragnione odżywienia, dopominało się chciwie o więcej. Kalen opróżnił jeszcze jedną.

Przez dłuższy czas po prostu leżał na plecach i pozwalał, by orzeźwiający fluid wsiąkał w jego ciało. Poczul w sobie przypływ nowej energii i pojawiającą się wraz z nim wolę życia.

Wiedział już, że będzie żył!

Po kąpeli Kalen przyjrzał się urządzeniom kontrolnym statku w nadziei, że uda mu się doprowadzić tę starą kosmiczną łajbę do Mabogu. Natychmiast jednak pojawiły się trudności. Z jakiegoś powodu urządzenia kontrolne pilota nie były odseparowane w osobnym pomieszczeniu. Kalen zastanawiał się, dlaczego. Te dziwne istoty nie były w stanie przemienić całego swojego statku w komorę deceleracyjną.

Nie potrafiły tego zrobić! Nigdzie nie było zbiornika o odpowiedniej objętości, by mógł utrzymać stosowną ilość płynu.

Niemal wszystko, czego dowiedział się tu o obcych, było zdumiewające. Tę trudność Kalen mógł przezwyciężyć. Jednak gdy przyjrzał się silnikom, stwierdził, że kluczowe dla funkcjonowania atomowych stosów pręty paliwowe zostały z nich usunięte. Silniki nie nadawały się do użytku.

Pozostawała mu tylko jedna możliwość. Będzie musiał odzyskać swój statek.

Ale w jaki sposób?

Zaczął niespokojnie przemierzać pokład. Etyka mabogijska zabraniała zabijania istot inteligentnych, nie dopuszczając w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Pod żadnym pozorem — nawet po to, by uratować swoje własne życie — nie było wolno zabić. Była to mądra zasada i dobrze przysłużyła się Mabogianom na przestrzeni dziejów ich planety. Postępując w zgodzie z nią, przez trzy tysiące lat uniknęli wojny i doprowadzili swój lud do wysokiego stopnia rozwoju cywilizacyjnego. Byłoby niemożliwe, aby pozwolili, by w tę regułę wdarli się jakieś wyjątki. Jakikolwiek wątpliwości w tej kwestii nadszarpnęłyby najświętszą z mabogijskich zasad.

On, Kalen, nie może być sprzeniewiercą.

Czy miał jednak po prostu biernie umrzeć?

Spojrząwszy w dół, skonstatował ze zdziwieniem, że kałuża roztworu oczyszczającego wyżarła dziurę w pokładzie. Jak marnie były zatem wykonane ich statki, skoro nawet łagodny roztwór oczyszczający mógł je zniszczyć! Oznaczało to, że również sami obcy muszą być bardzo słabi.

Jedna bomba tetnitowa byłaby w stanie ich wyeliminować.

Podszedł do iluminatora. Nie wyglądało na to, by pozostawili kogokolwiek na straży. Kalen przypuszczał, że obcy byli zbyt zajęci przygotowaniami do startu. Łatwo byłoby zatem przeczołgać się wśród trawy, dotrzeć do statku...

I nikt na Mabogu nie miałby nawet zielonego pojęcia, że coś takiego się stało.

Ku swemu zdziwieniu Kalen stwierdził, że bezwiednie pokonał już niemal połowę odległości pomiędzy statkami.

Dziwne było to, że jego ciało wykonywało jakieś czynności, umysł zaś nawet sobie tego nie uświadamiał.

Wyjął bombę i przeczołgał się kolejnych kilka metrów.

Zrobi to, bo jakież w końcu znaczenie dla historii Mabogu może mieć jedno jedyne zabójstwo?

— Czy przypadkiem nie jesteś już gotów? — spytał w południe Barnett poirytowanym tonem.

— Sądzę, że tak — odpowiedział Agee, patrząc na popstrzoną znaczkami tablicę kontrolną. — Tak jak można być gotowym w takiej sytuacji.

Barnett skinął głową.

— Victor i ja przywiązany się w pomieszczeniu załogi, a ty wystartuj z minimalnym możliwym przyspieszeniem.

Barnett wycofał się do kabiny. Agee zawiązał prowizoryczne pasy, które przygotował sobie wcześniej, i zaczął nerwowo zacierać ręce. O ile się orientował, główne przełączniki kontrolne zostały oznaczone. Wszystko powinno pójść dobrze; przynajmniej taką miał nadzieję.

Pamiętał jednak o szafce i nożu do rozbierania, i wiedział, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, co zrobi za chwilę ten szalony statek.

— Jesteśmy gotowi! — zawołał Barnett z kabiny załogi.

— W porządku. Start za mniej więcej dziesięć sekund — odpowiedział, zamykając i uszczelniając śluzy powietrzne.

Czując lekki przyływ klaustrofobii, uruchomił reaktory. Jak dotąd wszystko było w porządku.

Na podłodze pojawiła się cieniutka warstewka jakiegoś oleju. Agee zdecydował, że musi ona zapewne pochodzić z nieszczelnego spojenia i zignorował ją. Tarcze kontrolne pracowały idealnie. Agee zakodował kurs w urządzeniach pamięci statku i uruchomił instrumenty kontroli lotu.

Potem poczuł, że coś chlupocze wokół jego butów. Spojrzawszy w dół, skonstatował ku swemu zdziwieniu, że gęsty, paskudnie śmierdzący olej tworzy już prawie dziesięciocentymetrową warstwę na pokładzie. Był to całkiem spory wyciek.

Agee nie rozumiał, w jaki sposób ten solidnie zbudowany statek może być aż tak nieszczelny. Odwiązawszy pasy, zaczął szukać po omacku źródła przecieku.

Znalazł je. W podłodze kabiny znajdowały się trzy niewielkie otwory, a z każdego z nich sączył się równomierny, silny strumień oleju.

Agee nacisnął guzik otwierający drzwi i stwierdził, że mimo to pozostały zamknięte i uszczelnione. Starając się nie wpaść w panikę, przyjrzał się starannie drzwiom.

Powinny się otworzyć.

A jednak się nie otwierały.

Olej sięgał mu już niemal do kolan.

Uśmiechnął się głupkowato: jakim był idiotą! Kabina pilota była uszczelniana przez urządzenia kontrolne na tablicy. Nacisnął przycisk zwalniający blokadę i wrócił do drzwi.

Wciąż się nie otwierały.

Agee szarpnął je z całej siły, ale nie drgnęły. Wycofał się do tablicy kontrolnej. Usiłował spokojnie pomyśleć: gdy odkryli ten statek, na jego pokładzie nie było oleju. Oznaczało to, że gdzieś musi być usuwający go dren.

Zanim Agee go znalazł, olej sięgał mu już do pasa. Pilot otworzył dren i olej szybko zniknął. Drzwi otworzyły się bez problemu.

— O co chodzi? — spytał Barnett.

Agee opowiedział mu.

— Ach, więc on to tak robi — powiedział cicho Barnett. — Cieszę się, że to odkryłem.

— Co robi? — spytał Agee, czując, że Barnett traktuje całą rzecz zbyt lekko.

— Znosi przeciążenie związane ze startem. Nurtowało mnie to. Przecież nie miał na pokładzie nic, co choć przypominałoby łóżko lub koję deceleracyjną. Żadnych foteli, nic, do czego mógłby się przywiązać. A on po prostu unosi się w kąpeli olejowej, która włącza się automatycznie w chwili, gdy statek jest gotowy do lotu.

— Ale dlaczego te drzwi się nie otworzyły? — dopytywał się Agee.

— Czy to nie oczywiste? — odparł pytaniem Barnett, uśmiechając się cierpliwie. — Przecież nie chciałby, żeby olej rozprzestrzenił się po całym statku. I nie życzyłby sobie również jakiegoś przypadkowego wycieku.

— A zatem nie możemy wystartować — upierał się Agee.

— Dlaczego?

— Dlatego, że dość trudno mi będzie oddychać, gdy zaleje mnie olej. Zawory włączają się automatycznie, gdy tylko aktywizuje się reaktory, i nie ma sposobu ich wyłączenia.

— Mógłbyś choć raz skorzystać ze swojego mózgu — pouczył go Barnett. — Musisz po prostu przywiązać przełącznik drenu. Olej będzie wyciekał tak szybko, jak będzie się wlewał.

— No tak, nie pomyślałem o tym — przyznał Agee z ciężkim westchnieniem.

— A więc zabieraj się do roboty.

— Chciałbym wcześniej zmienić ubranie.

— Nie. Masz wystartować tym cholernym statkiem!

— Ale, kapitanie...

— Masz go uruchomić! — rozkazał Barnett. — Z tego, co wiemy, ten obcy coś knuje.

Agee wzruszył ramionami, powrócił do kabiny pilota i przywiązał się pasami.

— Gotowi? — spytał.

— Tak, uruchamiaj go.

Agee przywiązał wylot drenu i olej spokojnie wpływał do pomieszczenia, a potem wypływał z niego, nie podnosząc się wyżej niż do czubków jego butów. Bez żadnych dalszych zakłóceń uruchomił urządzenia kontrolne.

— Ruszamy — oznajmił i strzelił palcami na szczęście.

Potem nacisnął guzik startu.

Kalen obserwował start z głębokim żalem. W dłoni wciąż ścisnął bombę tetnitową.

Wcześniej dotarł do swego statku, a nawet przez kilka sekund stał pod jego kadłubem. Potem doczołgał się z powrotem do kosmolotu obcych. Nie był w stanie podłożyć bomby. W ciągu kilku godzin nie mógł pokonać zasad moralnych, wpajanych osobnikom jego rasy od wielu stuleci.

Było to uwarunkowanie... ale nie tylko.

Bardzo niewiele istot z jakichkolwiek ras zabija dla przyjemności. Mimo to istnieją świetnie wytłumaczalne przyczyny, by to zrobić, przyczyny, których logika może usatysfakcjonować każdego filozofa.

Jednak raz zaakceptowane zabójstwo stwarza coraz to nowe bodźce; jest ich wciąż więcej, więcej i więcej. Morderstwo przyjęte jako sposób postępowania wiedzie w nieunikniony sposób ku wojnie, a co za tym idzie, ku totalnemu unicestwieniu.

Kalen poczuł w pewnym momencie, że gdyby dokonał tego czynu, w jakiś sposób zdołałoby to wpleść się w przeznaczenie jego rasy. Zatem od jego wstrzemięźliwości w tym względzie zależało niemalże przetrwanie Mabogijczyków.

Ta świadomość nie powodowała jednak, że teraz czuł się choćby odrobinę lepiej.

Patrzył, jak jego kosmolot kurczy się do rozmiarów kropki na niebie. Obcy opuszczali planetę ze śmiesznie małą prędkością. Nie miał pojęcia, dlaczego to robili... chyba żeby czynili tak ze względu na niego.

Niewątpliwie było w nich wystarczająco dużo sadyzmu, by tak postępować.

Kalen wrócił do statku. Jego wola przetrwania była tak silna jak zawsze. Nie zamierzał się poddawać. Będzie kurczowo trzymał się życia, tak długo, jak tylko zdoła, mając nadzieję na jedną szansę na milion, że jakiś inny pojazd kosmiczny dotrze na tę planetę.

Rozejrzawszy się wokół pomyślał, że z oznaczonego białym znakiem czaszki oczyszczacza mógłby jakoś zmiksować namiastkę powietrza. Podtrzymałoby go ono przy życiu przez dzień lub dwa. Potem, gdyby dał radę rozłupać orzech sednowy...

W pewnej chwili wydało mu się, że usłyszał jakiś hałas i wybiegł na zewnątrz. Jednak firmament był pusty. Jego kosmolot zniknął, a on pozostał sam.

Powrócił więc do statku obcych i zajął się poważnymi sprawami, związanymi z podtrzymaniem swych procesów życiowych.

Gdy Agee odzyskał przytomność, stwierdził, że zanim zemdłał, zdołał zmniejszyć przyspieszenie o

połowę. Tylko dzięki temu przeżył.

Przyspieszenie zaś, które wedle wskaźnika na tablicy ledwie przekraczało poziom zerowy, było wciąż nie do wytrzymania! Agee otworzył hermetyczne drzwi i wyczołgał się na zewnątrz.

Pasy Barnetta i Victora uległy rozerwaniu w czasie startu.

Victor właśnie odzyskiwał przytomność. Barnett wydostał się spod stosu roztrzaskanych pojemników.

— Myślisz, że występujemy na pokazach dla publiczności? — poskarżył się. — Powiedziałem, że masz wystartować z minimalnym przyspieszeniem.

— Wystartowałem z przyspieszeniem mniejszym niż minimalne — odpowiedział Agee. — Możesz sam sprawdzić wskazania przyrządów.

Barnett pomaszerował do kabiny pilota, jednak bardzo szybko stamtąd wrócił.

— Niedobrze — oznajmił. — Nasz przyjaciel — kosmita kieruje swoim statkiem przy przyspieszeniu trzykrotnie przekraczającym dopuszczalne.

— Na to wygląda.

— Nie przewidziałem tego — stwierdził Barnett z namysłem. — Musiał przybyć z dużej planety, z której trzeba wystartować z wielkim przyspieszeniem, jeżeli w ogóle chce się stamtąd wydostać.

— Coś mnie uderzyło... — jęknął Victor, pocierając obolałe miejsce na głowie.

W ścianach rozlegały się teraz dziwne trzaski. Statek obudził się z uśpiania i wszystkie jego automatyczne mechanizmy działały pełną parą.

— Robi się ciepło, no nie? — spytał retorycznie Victor.

— Tak, i coraz trudniej oddychać — zgodził się Agee. — Widocznie wzrasta ciśnienie.

Wrócił do kabiny kontrolnej. Barnett i Victor stanęli w jej przedsionku, czekając niecierpliwie.

— Nie mogę tego wyłączyć — stwierdził Agee, ocierając krople potu z twarzy. — Temperatura i ciśnienie regulowane są automatycznie. Z pewnością powracają do stanu „normalnego” na skali, gdy tylko statek wystartuje.

— Lepiej by było, do cholery, gdybyś je wyłączył — powiedział złowróźnie Barnett. — Usmażymy się tutaj, jeżeli tego nie zrobisz.

— Nie ma na to sposobu.

— Ale musi być coś w rodzaju regulatora ciepła.

— Jasne, to tam! — stwierdził Agee, wskazując właściwy przyrząd. — Jest w tej chwili ustawiony na najniższym możliwym poziomie.

— Jak sądzisz, jaka może być „normalna” temperatura na jego planecie? — rzucił pytanie Barnett.

— Nie sądzę, żebym chciał się tego dowiedzieć — odparł Agee. — Ten statek jest zbudowany ze stopów o niezwykle wysokiej temperaturze topnienia. Skonstruowano go tak, by mógł wytrzymać ciśnienie dziesięciokrotnie większe niż jakikolwiek ziemski kosmolot. Biorąc to wszystko pod uwagę...

— Musi być jakaś możliwość wyłączenia tego! — oznajmił Barnett. Zrzucił z siebie kurtkę i sweter. Temperatura gwałtownie wzrastała i pokład stawał się zbyt gorący, by można było na nim ustać.

— Wyłącz to! — zawył Victor.

— Chwileczkę — bronił się Agee. — Przecież wiecie, do cholery, że to nie ja zbudowałem ten statek. Skąd mam wiedzieć...

— Wyłącz! — wrzeszczał Victor, potrząsając nim jak szmacianą lalką. — Wyłącz!

— Puść mnie! — krzyknął pilot, wyciągając swój blaster.

Potem, działając pod wpływem nagłego natchnienia, wyłączył silniki statku.

Trzeszczenie w ścianach ucichło i zrobiło się chłodniej.

— Co się stało? — spytał Victor.

— Temperatura i ciśnienie spadają, gdy — nie ma dopływu energii do silników — odrzekł Agee. — Jesteśmy bezpieczni, dopóki znowu ich nie włączymy.

— Ile czasu w tej sytuacji zabierze nam dostanie się do kosmoportu? — zapytał Barnett.

Agee dokonał szybkich obliczeń.

— Około trzech lat. Jesteśmy dość daleko.

— Czy nie ma jakiegoś sposobu na wyrwanie tych automatów z mechanizmu statku? Nie można ich odłączyć?

— Są dokładnie wbudowane we wnętrze — stwierdził

Agee. — Potrzebowalibyśmy do tego całego sklepu z narzędziami i w dodatku fachowej pomocy. Ale nawet gdybyśmy mieli to wszystko, nie byłoby to proste.

Przez dłuższy czas Barnett milczał.

— W porządku — powiedział w końcu.

— Co „w porządku”?

— Jesteśmy załatwieni. Musimy wrócić na planetę i odebrać nasz statek.

Agee odetchnął z ulgą i zaprogramował kosmolot na nowy kurs.

— Myślisz, że ten obcy nam go odda? — spytał Victor.

— Jasne, że tak — odpowiedział Barnett. — Jeśli w ogóle jeszcze żyje. Na pewno będzie zadowolony z możliwości odzyskania swojego pojazdu. A żeby wsiąść do niego, będzie musiał opuścić nasz.

— Na pewno. Ale kiedy już dostanie się do tego statku...

— Narobimy bigosu w tablicy kontrolnej — stwierdził Barnett. — To spowolni jego działanie.

— Ale tylko na chwilę — zauważył Agee. — Prędzej czy później wystartuje, pałając żądzą krwi. Nie zdołamy go prześcignąć.

— Nie będziemy musieli. Wszystko, co powinniśmy zrobić — to wystartować jako pierwsi. Kadłub jego statku jest mocny, ale nie sądzę, by mógł wytrzymać wybuch trzech bomb atomowych.

— Nie pomyślałem o tym — oznajmił Agee z nikłym uśmiechem na twarzy.

— To jedyne logiczne rozwiązanie w tej sytuacji — stwierdził Barnett z zadowoloną miną. — Stopy kadłuba wciąż jeszcze będą coś warte. A teraz odwieź nas z powrotem, w miarę możliwości nie usmażywszy na skwarki.

Agee włączył silniki. Wykonał ciasny skręt, wykorzystując całe przyspieszenie, jakie mogli wytrzymać. Znowu zaczęły się trzaski, a temperatura podniosła się gwałtownie. Gdy tylko skończyli skręcać, Agee ustabilizował kurs na właściwym kierunku — czyli w stronę planety — po czym wyłączył silniki.

Większą część drogi pokonali bezwładnym lotem. Gdy jednak dotarli do planety, Agee musiał ponownie wyłączyć silniki, by mogli opaść na jej powierzchnię po właściwej spirali deceleracyjnej, a potem wylądować.

Ledwie zdołali wydostać się ze statku. Ich skóra pokryła się bąblami poparzeń, a podeszwy butów zostały przepalone na wylot. Nie mieli czasu na to, by pozmienić połączenia w tablicy kontrolnej.

Wycofali się do lasu i postanowili czekać.

— Może on nie żyje — wyraził nadzieję Agee.

Po chwili jednak dojrzeli, jak niewielka postać wylania się z wjazdu „Siłacza I”. Obcy poruszał się

wolno, ale niewątpliwie żył.

Obserwowali go.

— Przypuszczam — powiedział cicho Victor — że on zrobił sobie jakąś broń. Obawiam się, że będzie chciał nas dorwać.

— Obawiam się, że będziesz musiał zaniknąć dziób — uciał Barnett.

Obcy szedł prosto w stronę swojego statku. Zniknął w jego wnętrzu i zamknął śluzy.

— W porządku — stwierdził Barnett wstając. — Lepiej by było, gdybyśmy teraz jak najszybciej dali stąd nogę. Agee, ty zajmiesz się tablicą kontrolną. Ja podłączę reaktor. Victor, ty zabezpieczysz śluzy. Ruszamy!

Przebiegli sprintem przez równinę i w ciągu kilku sekund dotarli do otwartego wjazdu „Siłacza I”.

Nawet gdyby Kalen chciał się pospieszyć, nie miał wystarczająco dużo siły, by pilotować swój statek. Wiedział jednak, że gdy już się do niego dostał, jest bezpieczny. Żaden obcy nie przejdzie przez uszczelnione śluzy.

Na rufie otworzył rezerwowy zbiornik powietrza i otworzył go. Statek wypełnił się gęstą, życiodajną, żółtą mieszanką.

Przez kilka długich minut Kalen po prostu nią oddychał.

Potem przytaszczył trzy największe orzechy sednowe, jakie odnalazł w kambuzie, i podłożył je pod rozłupywacz.

Po jedzeniu poczuł się znacznie lepiej. Zmieniacz zdarł zewnętrzną warstwę jego skóry. Także i druga warstwa okazała się martwa i zmieniacz rozciął ją, po czym ściągnął. Zatrzymał się na trzeciej, która pozostała żywa.

Wślizgując się do kabiny pilota, Kalen czuł się niemal jak nowo narodzony.

Wydawało mu się oczywiste, że obcy doznali przejściowego pomieszania zmysłów. Nie było innego sposobu, by wyjaśnić fakt, że powrócili i oddali mu jego statek.

Będzie musiał odnaleźć władze ich cywilizacji, którym podlegali, i przekazać dane dotyczące lokalizacji planety. Władze powinny tych obcych odszukać i raz na zawsze ich wyleczyć.

Kalen czuł się bardzo szczęśliwy. Nie zszedł z drogi etyki mabogijskiej i była to bardzo istotna sprawa. Tak łatwo byłoby zostawić w ich statku bombę tetritową, nastawioną na wybuch w określonym czasie. Mógł też zniszczyć ich silniki.

Sklamałby, gdyby teraz nie przyznał, że czuł taką pokusę.

Nie zrobił jednak tego. Nie zrobił nic, co mogłoby zagrażać życiu obcych.

Ograniczył się jedynie do skonstruowania kilku przyrządów, niezbędnych do podtrzymywania procesów życiowych.

Uruchomił tablicę kontrolną swojego statku i stwierdził, że jest ona w znakomitym stanie, gotowa do rozpoczęcia pracy.

Płyn antyakceleracyjny zaczął wypełniać kabinę natychmiast, gdy tylko Kalen uruchomił reaktory.

Victor pierwszy dotarł do śluzy powietrznej i wpadł do środka. Nagle coś wyrzuciło go na zewnątrz.

— Co się stało?! — wykrzyknął Barnett.

— Coś mnie uderzyło.

Ostrożnie zajrzeli do wnętrza.

Była to bardzo starannie skonstruowana, śmiertelna pułapka. Obcy połączył przewody od akumulatorów i porozwieszał je w poprzek wejścia. Gdyby Victor dotknął ściany statku, natychmiast poraziłby go prąd.

Spięli na krótko system przewodów i wkroczyli do wnętrza.

Panował tu nieopisany bałagan. Wszystkie ruchome przedmioty zostały zabrane ze swoich miejsc i porzucane po całym pokładzie. W kącie leżał wygięty stalowy pręt. Obcy porozlewał ich superżrący kwas, który w kilku miejscach przepalił pokład statku. Stara, zużyta skorupa „Siłacza I” została podziurawiona jak rzeszoto.

— Nigdy nie przypuszczałem, że to on narobi bigosu w naszym statku! — skomentował Agee.

Podjęli dalsze badania pokładu. Przemieszczając się w stronę rufy, odkryli kolejną pułapkę. Drzwi ładowni zostały sprytnie powiązane z niewielkim silniczkiem do rozruchu przyrządów. Gdyby ktokolwiek ich dotknął, natychmiast rąbnęłyby o ścianę. Człowiek, który znalazłby się pomiędzy ścianą a skrzydłem drzwi, zostałby zmiażdżony.

Znajdowały się tu także inne, prowizoryczne konstrukcje, których przeznaczenia nie można było w żaden sposób odgadnąć.

— Czy możemy to wszystko naprawić? — spytał Barnett.

Agee wzruszył ramionami.

— Większość naszych narzędzi znajduje się na pokładzie „Siłacza II”. Przypuszczam, że zdołalibyśmy załatać nasz statek w ciągu roku. Ale nie wiem, czy nawet połatany kadłub wytrzymałby jakikolwiek lot.

Wyszli na zewnątrz. W tym samym momencie kosmolot obcego wystartował z równiny.

— Co za potwór! — skomentował Barnett, patrząc na przeżarty kwasem kadłub swego statku.

— Nigdy nie można przewidzieć, co zrobi kosmita — odparł Agee.

— Dobry kosmita to martwy kosmita — oznajmił Victor.

„Siłacz I” był teraz dla nich tak samo niezrozumiały i niebezpieczny, jak „Siłacz II”.

A „Siłacz II” odleciał.

Something for Nothing

Coś za nic

Czy naprawdę usłyszał jakiś głos? Nie był tego pewien.

Odtwarzając całą sytuację chwilę później, Joe Collins przypomniał sobie, że leżał na swoim łóżku, zbyt zmęczony nawet na to, by zdjąć z nakrycia przemoczone buty. Gapił się bezmyślnie na sieć pęknięć na wilgotnym, żółtym suficie, obserwując jak pojedynczymi kroplami powoli i ponuro sączy się z nich woda.

To musiało stać się właśnie wtedy. Przy swoim łóżku Collins dostrzegł metaliczny błysk. Usiadł. Na podłodze, tam, gdzie przedtem zdecydowanie jej nie było, znajdowała się teraz maszyna.

Collins miał wrażenie, że właśnie w tym pierwszym momencie, w odruchu zaskoczenia, usłyszał bardzo odległy głos, który krzyknął:

— Spójrzcie tam! Tamten facet to zrobił!

Joe nie miał pewności co do głosu. Maszyna jednak niezaprzeczalnie tu była.

Collins uklęknął, by się jej przyjrzeć. Miała powierzchnię około metra kwadratowego i z cicha pomrukiwała. Jej obudowa pomalowana w szarawe nieregularne plamy nie miała na sobie nic oprócz czerwonego guzika na rogu i miedzianej płytki w samym środku. Tabliczka głosiła: utylitator klasy a, seria aa — 1256432. Poniżej zaś znajdował się napis: ostrzeżenie.

TEJ MASZYNY MOGĄ UŻYWAĆ WYŁĄCZNIE REPREZENTANCI KLASY A.

To wszystko.

Nie było galek, tarcz, przełączników ani żadnych innych akcesoriów, które Collins kojarzył z maszynami. Tylko miedziana tabliczka, czerwony guzik i pomrukiwanie.

— Skąd przybyłaś? — spytał maszynę Collins. Jednak utylitator klasy A kontynuował pomrukiwanie. Joe w gruncie rzeczy nie oczekiwał jakiegokolwiek odpowiedzi. Siedząc na brzegu łóżka patrzył z namysłem na utylitator. Istniało teraz jedno pytanie: co należy z nim zrobić?

Ostrożnie dotknął czerwonego guzika, zdając sobie sprawę ze swojego braku doświadczenia w postępowaniu z maszynami, które pojawiają się znikąd. Zastanawiał się, co będzie, gdy włączy maszynę. Podłoga się pod nim otworzy? A może z sufitu zaczną opadać małe zielone ludziki?

Do stracenia miał jednak bardzo niewiele. Leciutko nacisnął guzik.

Nic się nie wydarzyło.

— W porządku. Zrób coś — powiedział Collins, czując się do głębi upokorzony. Utylitator dalej z

cicha pomrukiwał.

No cóż, w ostateczności będzie mógł oddać go do lombardu. Uczciwy Charlie dałby co najmniej dolara za sam metal.

Joe spróbował podnieść utylitator. Maszyna nie poruszyła się nawet o milimetr. Spróbował ponownie, wyężdżając wszystkie siły, i udało mu się podnieść jeden z rogów urządzenia zaledwie o parę centymetrów. Opuścił je na podłogę i usiadł na łóżku, oddychając z trudem.

— Powinieneś dostarczyć tu przynajmniej dwóch facetów, żeby mi pomogli — powiedział Collins do utylitatora. Nagle pomrukiwanie stało się głośniejsze i maszyna zaczęła wibrować.

Collins obserwował ją, ale wciąż nic się nie działo. Tknięty przecuciem wyciągnął rękę i nacisnął czerwony guzik.

Natychmiast pojawiło się dwóch barczystych mężczyzn ubranych w stroje robocze. Spojrzeli na utylitator, jakby szacując jego wagę.

— Dzięki Bogu, to ten mały model — powiedział jeden z nich. — Duże są paskudne, bo nijak nie da się ich uchwycić.

— To gorsze niż robota w kamieniołomach, no nie? — rzekł drugi.

Spojrzeli na Collinsa, który przyglądał im się już od jakiegoś czasu.

— W porządku, koleś, nie będziemy tu tak stali cały dzień — oznajmił w końcu pierwszy z mężczyzn. — Gdzie chcesz, żebyśmy go przenieśli?

— K... kim jesteście? — zdołał wychrypieć Collins.

— A czy wyglądamy na Flipa i Flapa? Jesteśmy facetami od transportu.

— Ale skąd przybyliście? — spytał Joe. — I dlaczego?

— Jesteśmy z firmy „Czarodziej i Spółka, Przeprowadzki Całodobowe” — odpowiedział mężczyzna. — A przybyliśmy tu, bo potrzebowałeś facetów od przeprowadzek, no nie? Gadaj więc, gdzie chcesz, żebyśmy go przenieśli?

— Na razie możecie sobie iść — oznajmił Collins. — Wezwę was później.

Faceci od przeprowadzek wzruszyli ramionami i rozplynęli się. Przez ładnych parę minut Collins gapił się w miejsce, w którym przed chwilą stali. Potem zaczął wpatrywać się w utylitator klasy A, który znów z cicha pomrukiwał.

Utylitator? Joe pomyślał, że mógłby nadać mu lepszą nazwę.

Maszyna do spełniania życzeń.

Collins nie był szczególnie zaszokowany. Gdy pojawiają się naprawdę cudowne wydarzenia, jedynie tępe, prozaiczne indywidua nie są w stanie ich zaakceptować. Zaś Joe na pewno do takich nie należał. Był świetnie przygotowany do akceptowania cudów.

Większość swego dotychczasowego życia spędził wyrażając pobożne życzenia, mając nadzieję i modląc się o to, by zdarzył się mu jakiś cud. Będąc w szkole marzył o tym, że obudzi się pewnego poranka, dysponując zdolnością nauczenia się pracy domowej bez nudnej konieczności wertowania podręczników. W armii życzył sobie, by jakaś czarownica lub wróżka zmieniała rozkazy, oddelegowując go do opieki nad batalionową świetlicą, zamiast zmuszania do podporządkowywania się ścisłemu rygorowi żołnierskiej służby.

Wyszedłszy z wojska Joe unikał pracy, do której nie był przygotowany pod względem psychologicznym. Wałęsał się tu i tam, mając nadzieję, że pewnego dnia coś nakłoni kogoś niezmiernie bogatego, by zmienił swój testament, zostawiając Collinsowi wszystko, co posiada.

Tak naprawdę nigdy nie oczekiwał, że coś się wydarzy.

Jednak gdy rzeczywiście się zdarzyło, nie był zaskoczony.

— Chciałbym dostać tysiąc dolarów w nie oznakowanych banknotach o niewielkich nominałach — powiedział ostrożnie.

Gdy pomrukiwanie stało się głośniejsze, nacisnął guzik. Pojawiła się przed nim spora sterta przybrudzonych banknotów jedno-, pięcio- i dziesięciodolarowych. Nie wyglądały zbyt świeżo, ale niewątpliwie były to pieniądze.

Collins wyrzucił garść dolarów w powietrze, a potem z przyjemnością obserwował, jak opadają na podłogę. Położył się i zaczął robić plany na przyszłość.

Po pierwsze, powinien zabrać maszynę z Nowego Jorku, być może gdzieś w głąb stanu, gdzie nie będą go niepokoić wścibscy sąsiedzi. W przeciwnym wypadku trudno by mu było wypełnić formularz podatku dochodowego. A może, kiedy wszystko się już ustabilizuje, powinien wyjechać do któregoś z krajów Ameryki Środkowej lub...

W pokoju rozległ się podejrzany hałas.

Collins poderwał się na równe nogi. W ścianie pojawił się właśnie otwór, przez który ktoś usilnie się przepychał.

— Hej, ty, przecież niczego nie zamawiałem! — powiedział Collins do maszyny.

Otwór stał się większy i zaczął się z niego wylaniać potężny mężczyzna z czerwonymi wypiekami na twarzy, posapujący z wściekłością.

W tym momencie Collins przypomniał sobie, że maszyny miewają zwykle swych właścicieli. A ktoś, kto dotychczas posiadał maszynę do spełniania życzeń, z pewnością nie pogodził się łatwo z jej stratą. Niewątpliwie jest gotów uczynić wszystko, by ją odzyskać. Prawdopodobnie nie cofnąłby się

nawet przed...

— Obroń mnie! — krzyknął Collins do utylitatora i nacisnął czerwony guzik.

W tym momencie pojawił się niski, łysiejący mężczyzna w pizamie o krzykliwych kolorach, który ziewał ostentacyjnie.

— Sanisa–Leek, Ochrona Ścian Czasowych, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością — oznajmił, przecierając oczy. — Nazywam się Leek. Co mogę dla pana zrobić?

— Niech pan go stąd zabierze! — wrzasnął Collins. Człowiek o czerwonej twarzy, dziko machając rękami, przepchnął się już niemal przez otwór.

Leek wyjął z kieszeni swojej pizamy błyszczący kawałek metalu. Facet z wypiekami krzyknął:

— Proszę poczekać! Pan nie rozumie, o co chodzi! Ten człowiek...

Leek skierował kawałek metalu w jego stronę. Człowiek i czerwoną twarzą wrzasnął i przepadł. Po chwili zniknął również sam otwór.

— Czy pan go zabił? — spytał Collins.

— Oczywiście, że nie — odparł Leek, chowając kawałek metalu. — Po prostu odwróciłem kierunek jego przemieszczania się. Tą drogą nie będzie już nigdy próbował się tu dostać.

— To znaczy, że będzie mógł to zrobić jakąś inną drogą? — dopytywał się Joe.

— To możliwe — stwierdził Leek. — Będzie mógł spróbować mikrotransferu lub nawet animacji.

— Ten utylitator należy do pana? — spytał po chwili, spojrzawszy ostro na Collinsa.

— Oczywiście — odpowiedział Joe, czując jak pot występuje mu na czoło.

— I jest pan reprezentantem klasy A?

— Naturalnie — odrzekł Collins. — Gdybym nie był, to co robiłbym tutaj z tym utylitatorem?

— Nie miałem zamiaru pana urazić — powiedział pojednawczo Leek. — Po prostu chciałem uciąć z panem przyjacielską pogawędkę.

Pokręcił głową z podziwem.

— No, no, wam, z klasy A, nieźle się powodzi — stwierdził. — Przypuszczam, że cofnął się pan aż do tych czasów, żeby napisać książkę historyczną?

Collins uśmiechnął się enigmatycznie.

— Jakby coś, to jestem zawsze do usług — oznajmił Leek, ziewając bez żenady. — Dzień i noc w

kieracie. Chyba lepiej powodziłoby mi się w kamieniołomach.

Potem zniknął, cały czas ziewając.

Deszcz wciąż bębnił o sufit. Chrapanie, które dobywało się z kanału wentylacyjnego, również trwało nadal bez najmniejszej przerwy. Collins pozostał sam na sam z maszyną.

Oraz z tysiącem dolarów w banknotach o niewielkich nominałach, rozrzuconych po podłodze.

Czule poklepał utylitator po obudowie. Ci „reprezentanci klasy A” mają się całkiem dobrze — stwierdził. Coś jest ci potrzebne? Wtedy po prostu żądasz tego i naciskasz guzik maszyny. Nie ulegało wątpliwości, że prawdziwemu właścicielowi bardzo jej brakowało.

Leek powiedział, że ten facet może spróbować dostać się do niego inną drogą. Pozostawało pytanie: jaką?

Ale czy rzeczywiście miało to znaczenie? Pogwizdując z cicha, Collins zebrał banknoty. Dopóki będzie miał tę maszynę, potrafi zadbać o siebie.

Następne dni przyniosły wielką zmianę w życiu Joe’ego Collinsa. Z pomocą firmy „Czarodziej i Spółka — Przeprowadzki Całodobowe” przeniósł utylitator w głąb stanu Nowy Jork. Tam, gdzieś w zapomnianym zakątku pasma Adirondack, zakupił średniej wielkości górę. Gdy miał już w ręku potwierdzające własność papiery, powędrował do centrum swej posiadłości, znajdującego się kilkanaście kilometrów od najbliższej autostrady. Dwaj faceci od przeprowadzek, pocąc się obficie, przytaszczyli za nim utylitator; przedtem monotennie przeklinali, brnąc wśród gęstej warstwy leśnego poszycia.

— Postawcie go tutaj i spadajcie stąd — polecił im Collins.

Przez kilka ostatnich dni jego pewność siebie znacznie wzrosła.

Faceci od przeprowadzek, sapiąc ze zmęczenia, zniknęli. Collins rozejrzał się dookoła. Z każdej strony, jak okiem sięgnąć, rozciągały się gęste brzozowo — sosnowe zagajniki. Powietrze było tu przesycone wilgocią i aromatyczne. W koronach drzew radośnie szczebiotały ptaki, od czasu do czasu w pobliżu przemykała pędem wiewiórka.

Przyroda! Joe zawsze ją kochał. To miejsce jest znakomite, by zbudować duży, okazały dom z basenem, kortami tenisowymi i być może niewielkim lotniskiem.

— Chcę dom — stwierdził Collins pewnym siebie tonem, po czym nacisnął guzik.

Pojawił się mężczyzna w gustownym szarym garniturze i binoklach.

— Tak, proszę pana — powiedział, zerkając na drzewa. — Stanowczo jednak powinien pan określić dokładniej, o jaki dom panu chodzi. Czy chce pan coś w stylu klasycznym, jak na przykład

domek wypoczynkowy, rancho, dom wielopoziomowy, okazała rezydencję, zamek lub pałac? A może coś prymitywnego, jak igloo lub wiejską chatę? Ponieważ należy pan do klasy A, może pan też otrzymać najnowszy krzyk mody, jak na przykład dom semiprzestrzenny, Nową Rozszerzoną Ofertę lub Podwodną Miniaturę.

— Że co? — spytał głupawo Collins. — N...nie wiem. A co by pan zasugerował?

— Niewielką rezydencję — powiedział pospiesznie mężczyzna. — Oni zaczynają zwykle od tego.

— Naprawdę tak robią?

— Oczywiście. Potem przenoszą się do ciepłych krajów i budują sobie pałace.

Collins miał ochotę zadać więcej pytań, jednak zrezygnował. Jak dotąd, wszystko szło gładko. Ci ludzie sądzili, że należy do kategorii A i że jest prawdziwym posiadaczem utylitatora. Nie było sensu wyprowadzać ich z błędu.

— Niech pan się zajmie wszystkim, co potrzebne — powiedział do mężczyzny w binoklach.

— Tak, proszę pana — odparł tamten. — Zwykle właśnie tym się zajmuję.

Resztę dnia Collins spędził rozwalając się na kanapie i pijąc chłodzone napoje, podczas gdy Spółka Budowlana „Maksymalny Sukces” materializowała swój sprzęt i wznosiła jego dom.

Był to niewysoki budynek mający około dwudziestu pokoi, który Collins uważał za całkiem nowoczesny, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności. Zbudowano go z najlepszych surowców, według projektu samego Migha z Degmy; projektantem wnętrz był słynny Towige, basen wykonała spółka Mula, zaś standardowy ogród został zaprojektowany przez Vieriena.

Pod wieczór wszystko było już zrobione i niewielka armia robotników Spółki Budowlanej „Maksymalny Sukces” spakowała swój sprzęt, po czym zniknęła.

Collins polecił swemu szefowi kuchni, by ten przygotował dla niego lekką kolację. Potem usadowił się w wielkim living-roomie, w którym panował przyjemny chłód, by przemyśleć całą sprawę. Przed nim zaś, miło pomrukując, stał utylitator.

Joe zapalił cygaro i wciągnął głęboko w płuca jego przyjemny aromat. Zastanawiając się nad sytuacją, postanowił przede wszystkim odrzucić jakiekolwiek jej wytłumaczenia, uwzględniające czynniki nadnaturalne. Na pewno nie doszło tu do interwencji żadnych demonów. Jego dom budowali zwykli robotnicy, którzy używali mocnych słów, śmiali się i przeklinali jak normalne ludzkie istoty. Utylitator zaś był po prostu jakimś wynalezionym przez naukowców gadżetem, działającym na zasadach, których Joe nie rozumiał i nawet nie usiłował ich przeniknąć.

Czy maszyna mogła pochodzić z innej planety? Raczej nie. Przecież obce istoty nie nauczyłyby się angielskiego specjalnie na użytek Joe Collinsa.

Utylitator musiał zatem pochodzić z ziemskiej przeszłości.

Jednak w jaki sposób tu trafił?

Collins rozłożył się wygodniej na kanapie i wydmuchnął dym z cygara. Przyszło mu do głowy, że wypadki, które zdarzają się w teraźniejszości, będą mogły mieć miejsce także w przyszłości. Czy nie mogło być zatem tak, że utylitator po prostu wysliznął się w przeszłość? Przede wszystkim jednak był on w stanie tworzyć rzeczy z niczego, a to było już znacznie bardziej skomplikowane.

Jaka wspaniała musi być ta przyszłość! — pomyślał Joe. Proszę bardzo — maszyny do spełniania życzeń! Jaki niesamowity rozwój cywilizacyjny! Wszystko, co trzeba zrobić, żeby coś otrzymać — to pomyśleć o tym... i już jest to w zasięgu ręki. Być może po jakimś czasie zlikwidują nawet ten czerwony guzik. Wtedy jakikolwiek wysiłek, związany z otrzymywaniem czegokolwiek, będzie już całkowicie wyeliminowany.

Joe wiedział oczywiście, że musi uważać teraz na każdy swój krok. Wciąż przecież istniał właściciel maszyny i reszta reprezentantów klasy A. Mogą spróbować mu ją odebrać. Prawdopodobnie była to klika dziedzicznych posiadaczy dóbr...

Uchwycił kątem oka jakiś ruch i spojrzał na utylitator. Maszyna drżała niczym liść w porywach wiatru.

Collins podszedł do niej, ponuro zmarszczywszy brwi. Drgająca maszyna otoczona była przez niewielki obłok pary. Wyglądało na to, że utylitator się przegrzewa.

Czyżby był przeciążony zbyt częstym używaniem? Może gdyby wylać na niego wiadro wody...

Nagle dostrzegł, że utylitator jest zauważalnie mniejszy niż był przed chwilą. Miał w tej chwili nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów kwadratowych powierzchni i kurczył się dosłownie na jego oczach.

To był posiadacz! Lub też „reprezentanci klasy A”! Tak musiał właśnie wyglądać „mikrotransfer”, o którym mówił Leek. Collins wiedział, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, maszyna do spełniania życzeń całkiem zmaleje i zniknie.

— Służba Ochrona Leeka — warknął. Nacisnął guzik i szybko wycofał dłoń. Maszyna była bardzo gorąca.

W kącie pokoju pojawił się Leek, który miał na sobie spodnie, sportową koszulkę i trzymał w ręku kij do gry w golfa.

— Czy musi mi ktoś przeszkadzać za każdym razem, kiedy... — zaczął.

— Niech pan coś zrobi! — wrzasnął Collins, wskazując utylitator, który zajmował teraz powierzchnię jednej czwartej metra kwadratowego i świecił bladoczerwonym blaskiem.

— Nie mogę nic zrobić — powiedział Leek. — Mam licencję tylko na ochronę ścian czasowych, a

pan potrzebuje ludzi od mikrokontroli.

Zarzucił kij golfowy na ramię i zniknął.

— Mikrokontrola — powiedział z rozdrażnieniem Collins i sięgnął do guzika. Potem gwałtownie cofnął rękę. Długość każdego z boków utylitatora nie przekraczała teraz dziesięciu centymetrów, a maszyna była bardzo gorąca i miała kolor ciemnowiśniowy. Joe ledwie widział guzik, nie większy niż łypek od szpilki.

Błyskawicznie rozejrzał się dookoła, złapał poduszkę i rąbnął nią w utylitator.

Pojawiła się dziewczyna w okularach z rogową oprawą, z notesem w dłoni i z ołówkiem w drugiej ręce.

— Z kim życzy pan sobie umówić się na spotkanie? — spytała ze stoickim spokojem.

— Proszę natychmiast sprowadzić dla mnie jakąś pomoc! — ryknął Collins, obserwując równocześnie, jak jego drogocenny utylitator staje się coraz mniejszy.

— Pan Vergon wyszedł na lunch — oznajmiła dziewczyna, z namysłem gryząc ołówek. — Przemieścił się ze strefy. Nie mogę się z nim skontaktować.

— A z kim może się pani skontaktować?!

Dziewczyna zajrzała do kontesu.

— Pan Vis jest w Continuum Diega, a pan Elgis — na delegacji w Europie z czasów paleolitu. Jeśli naprawdę się panu spieszy, może lepiej by było, gdyby wezwał pan ludzi z Kontroli Punktów Transferowych. Mają nieco gorszy sprzęt, ale...

— W porządku, niech będzie Kontrola Punktów Transferowych. Spadaj!

Mówiąc to Collins skupił całą uwagę na utylitatorze i najsilniej jak potrafił nacisnął maszynę przypaloną poduszką. Jednak nic się nie wydarzyło. Utylitator miał teraz powierzchnię nie większą niż centymetr kwadratowy i Joe zdał sobie sprawę, że poduszka nie jest w stanie nacisnąć na niewidzialny niemal guzik.

Przez chwilę Collins zastanawiał się, czy nie pozwolić, by utylitator zniknął. Może nadszedł właściwy czas, aby z niego zrezygnować. Mógłby przecież sprzedać dom, jego wyposażenie, i byłby nadal całkiem nieźle sytuowanym człowiekiem...

Nie! Przecież jak do tej pory nie zażyczył sobie jeszcze niczego naprawdę ważnego! Nikt bez walki nie zabierze mu utylitatora!

Zmusił się, by nie zamykać oczu i nacisnął rozpalony do białości guzik wyprostowanym palcem wskazującym.

Pojawił się chudy starszy człowiek, odziany w sfatygowany strój, trzymający w rękach coś, co wyglądało na pomalowane wesołymi barwami jajko wielkanocne. Rzucił nim o podłogę. Jajo wybuchło. Wyłonił się z niego pomarańczowy obłok, który został jakby wessany przez mikroskopijny utylitator. Uniósł się stamtąd wielki kłęb dymu, tak gęstego, że niemal zadławił Collinsa. Potem rys utylitatora zaczął na nowo formować się w przestrzeni. Wkrótce przybrał już swoje zwykłe rozmiary i był najwyraźniej nie uszkodzony. Starszy człowiek uklonił się oszczędnie, po wojskowemu.

— Może nie jesteśmy zbyt elegancy — oznajmił — ale można na nas polegać. — Ponownie złożył krótki ukłon i zniknął.

Collins odniósł wrażenie, że usłyszał z dala gniewny okrzyk.

Roztrzęsiony, usiadł na podłodze na wprost maszyny. W dłoniach czuł pulsujący ból.

— Wylecz mnie — powiedział spieczonymi wargami, po czym nacisnął czerwony guzik.

Przez chwilę utylitator pomrukiwał głośniejsze, a potem ucichł. Joe poczuł, że przypalony palec przestaje go boleć. Nie zauważył też żadnych śladów oparzenia ani nawet blizny na skórze w miejscu, gdzie doszło do urazu.

Collins nalał sobie sporego drinka z brandy i poszedł prosto do łóżka. W nocy dręczył go koszmar; miał wrażenie, że ściga go gigantyczna litera A, ale rano nie pamiętał już tego snu.

Po tygodniu Joe doszedł do wniosku, że decyzja budowy rezydencji wśród lasów była wielkim błędem. Musiał wynająć cały pluton strażników, by ochronić się przed turystami, a polujący w okolicy myśliwi upierali się, by rozbijać namioty w jego ogrodzie.

Co gorsza, Krajowy Urząd Skarbowy zaczął przejawiać żywe zainteresowanie finansowymi sprawami Collinsa.

Przede wszystkim jednak Joe odkrył, że wcale nie jest tak zafascynowany przyrodą, jak mu się przedtem wydawało. Ptaki i wiewiórki były śliczne, ale rozmawiało się z nimi raczej trudno. Drzewa, choć bardzo malownicze, stanowiły liche towarzystwo do wypicia paru drinków.

Collins stwierdził, że w głębi duszy jest „chłopakiem z miasta”.

Dlatego też, z pomocą firm „Czarodziej i Spółka — Przeprowadzki Całodobowe”, Spółki Budowlanej „Maksymalny Sukces” i Biura Natychmiastowych Podróży Jagtona, a także dużej ilości pieniędzy oddanych we właściwe ręce przeniósł się do niewielkiej republiki w Ameryce Środkowej. Ponieważ klimat był tam znacznie cieplejszy, a podatek dochodowy nie istniał, Joe zbudował wielki, przestronny i okazały pałac.

Pałac ten wyposażono we wszystkie standardowe dodatki: psy, pawie, służących, ludzi opiekujących się ogrodami i wnętrzami, strażników, muzyków, grupy tancerek gwoli rozrywki właściciela, a także wszelkie inne rzeczy, które powinny tam być. Dwa tygodnie zabrało Collinsowi

samo zbadanie tego miejsca.

Przez jakiś czas wszystko znów szło gładko.

Pewnego ranka Collins podszedł do utylitatora z niejasnym zamiarem zażądania sportowego samochodu, a może także i niewielkiego stada rasowych koni. Pochylił się nad szarą maszyną, sięgnął do czerwonego guzika...

Utylitator cofnął się przed jego ręką.

Collinsowi przeszło przez myśl, że może zaczyna już widzieć białe myszki i niemalże podjął decyzję, by przestać pić szampana przed śniadaniem. Zrobił krok do przodu i znów sięgnął do czerwonego guzika.

Utylitator wykonał zgrabny unik i klusem opuścił pokój.

Collins ruszył za nim pędem, przeklinając po drodze właściciela i całą „klasę A”. Była to prawdopodobnie właśnie „animacja”, o której mówił Leek. Posiadacz zdołał w jakiś sposób zakazać swą maszynę bakcylem ruchu. Jednak nie miało to większego znaczenia. Wszystko, co musiał zrobić Joe — to złapać ją, nacisnąć guzik i zażyczyć sobie ludzi od Kontroli Animacji.

Utylitator popędził przez hall, a Collins utrzymywał się w stawce tuż za nim. Lokaj, który polerował właśnie klamkę u drzwi, zrobioną ze szczerego złota, przerwał swą pracę i zaczął się gapić z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami.

— Zatrzymaj go! — krzyknął Joe.

Lokaj niezdarnie zastąpił utylitatorowi drogę. Maszyna wywinęła mu się z gracją i popędziła w stronę głównych drzwi.

Collins nacisnął przełącznik zdalnego sterowania i drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Utylitator wziął krótki rozpęd, po czym je wyważył. Gdy był już na trawniku, potknął się o ogrodowy wąż do podlewania roślin, odzyskał równowagę, a wreszcie skierował się ku otwartej przestrzeni.

Joe gnał za maszyną. Gdyby tylko udało mu się choć trochę do niej zbliżyć...

Nagle utylitator wyskoczył wysoko w powietrze. Przez dłuższą chwilę wisiał jakby nieruchomo, po czym opadł na ziemię. Collins rzucił się ku czerwonemu guzikowi.

Utylitator odskoczył na bok, zrobił sobie krótką przebieżkę, i znów wzbił się w górę.

Przez moment wisiał na wysokości sześciu metrów nad głową Joe’ego; uniósł się jeszcze metr-dwa, zatrzymał się, wykonał w powietrzu jakąś dziką ewolucję, po czym runął w dół.

Collins obawiał się, że przy trzecim skoku maszyna już się nie zatrzyma. Gdy zatem utylitator

bezwładnie opadł na ziemię, Joe był gotów. Zrobił zwód, po czym rąbnął dłonią w guzik. Utylitator nie zdołał wycofać się wystarczająco szybko.

— Kontrola Animacji! — ryknął triumfalnie Collins.

Rozległ się stłumiony huk i utylitator potulnie osiadł w miejscu. Nie pozostał w nim nawet najmniejszy ślad ożywienia.

Joe otarł czoło i zaczął ostrożnie podchodzić do maszyny. Był coraz bliżej i bliżej. Pomyślał, że musi zażyczyć sobie teraz coś wielkiego, dopóki ma jeszcze szansę to dostać.

Wobec tego zażądał szybko: pięciu milionów dolarów, trzech działających i przynoszących dochody szybów naftowych, studia filmowego, idealnego zdrowia, dodatkowych dwudziestu pięciu dziewczyn do swojego baletu, nieśmiertelności, sportowego samochodu i stada rasowych koni.

Odniósł wrażenie, że w pobliżu ktoś prychnął. Rozejrzał się dookoła. Nie było nikogo.

Gdy ponownie spojrzął w stronę utylitatora, stwierdził, że maszyna zniknęła.

Joe zaczął gapić się bezmyślnie w puste miejsce po niej. Po chwili on również zniknął.

Otworzywszy oczy Collins stwierdził, że stoi przed biurkiem. Po drugiej stronie siedział ten sam potężny mężczyzna o czerwonej twarzy, który kiedyś próbował włamać się do jego pokoju przez ścianę czasową. Nie wyglądało jednak na to, by był teraz wściekły. Wydawał się raczej zrezygnowany, a nawet melancholijny.

Przez chwilę Collins stał w całkowitym milczeniu, żałując, że wszystko się skończyło. Właściciel utylitatora i „reprezentanci klasy A” w końcu go schwycili. Jednak dopóki to wszystko trwało, było wspaniałe.

— No cóż — Joe zwrócił się wprost do faceta — odzyskał już pan swoją maszynę, więc czego pan jeszcze chce?

— Moją maszynę? — spytał z niedowierzaniem mężczyzna o czerwonej twarzy, patrząc na Collinsa. — To nie jest moja maszyna, proszę pana. Ona nie należy do mnie w najmniejszym nawet stopniu.

Collins przez chwilę gapił się na niego bezmyślnie.

— Niech pan nie próbuje mnie nabierać, proszę pana — powiedział w końcu. — Wy, z klasy A, chcecie za wszelką cenę zachować swój monopol, prawda?

Mężczyzna o czerwonej twarzy odłożył trzymane w dłoni dokumenty na blat biurka.

— Panie Collins — powiedział chłodno — nazywam się Flign. Jestem działaczem Związku

Ochrony Obywateli, niekomercyjnej organizacji, której celem jest ochrona osób fizycznych, takich, jak na przykład pan, przed omyłkami sądowymi.

— To znaczy, że nie należy pan do klasy A?

— Pańskie rozumowanie oparte jest na nieporozumieniu, proszę pana — oznajmił Flign z godnością. — „Kategoria A” nie jest klasą społeczną, jak się panu najwyraźniej wydaje. To po prostu kategoria osób, uprawnionych do zaciągania kredytu.

— To... co? — spytał wolno Collins.

— Kategoria osób, uprawnionych do zaciągania kredytu — powtórzył Flign, spoglądając na zegarek. — Nie mamy wiele czasu, więc postaram się wyłuszczyć sprawę tak zwięźle, jak to tylko możliwe. Panie Collins, nasza epoka jest maksymalnie zdecentralizowana. Nasze przedsiębiorstwa, zakłady przemysłowe i usługowe rozrzucone są na znacznym obszarze czasoprzestrzeni. Z tego powodu korporacja utylitarna jest dla nas kluczową jednostką gospodarczą, wiążącą wszystko między sobą. Zapewnia ona transfer dóbr i usług pomiędzy różnymi punktami czasoprzestrzennego kontinuum. Czy pan to rozumie?

Collins potwierdził skinieniem głowy.

— Oczywiście, kredyt jest przywilejem, który w naszej epoce automatycznie przysługuje wszystkim obywatelom. Jednak, koniec końców, za wszystko trzeba zapłacić.

Collinsowi nie spodobało się brzmienie tego słowa. Płacić? A zatem to miejsce nie było aż tak cywilizowane, jak uprzednio sądził. Do tej pory nikt nie wspominał o płaceniu. Po cholere więc teraz poruszają ten temat?

— Dlaczego nikt mnie nie powstrzymał? — zapytał zdesperowany. — Musieli przecież wiedzieć, że nie posiadam właściwej kategorii.

Flign niecierpliwie potrząsnął głową.

— Kategorie kredytowe są sugestiami, a nie regulacjami prawnymi. W cywilizowanym świecie jednostka posiada prawo podejmowania własnych, nie skrepowanych decyzji. Bardzo mi przykro, proszę pana.

Ponownie spojrzął na zegarek, po czym podał Collinsowi dokument, który miał przed oczami.

— Czy nie zechciałby pan przynajmniej zerknąć na ten rachunek i powiedzieć mi, czy wszystkie pozycje są na nim w porządku?

Joe wziął od niego papier i zaczął czytać:

WYSZCZEGÓLNIENIE WARTOŚĆ W KREDYTKACH

Pałac z akcesoriami 450.000.000

Usługi firmy „Czarodziej i Spółka” 111.000

Tancerki, sztuk: 122 122.000.000

Idealne zdrowie 888.234.031

Szybko przebiegł wzrokiem resztę listy. Suma należności przekraczała nieco osiemnaście miliardów kredytek.

— Chwileczkę! — krzyknął Collins. — Nie można mnie przecież obciążyć tą sumą! Utylitator pojawił się w moim pokoju przypadkiem!

— Na ten właśnie fakt zamierzam zwrócić uwagę sądu — stwierdził Flign. — Kto wie, może w tej sprawie wykażą się rozsądkiem? W każdym razie nie zaszkodzi spróbować.

Collins odniósł wrażenie, że cały pokój kołysze się wokół niego. Twarz Fligna zaczęła rozpływać się przed jego oczami.

— Już czas — oznajmił rozmówca Joego. — Życzę panu powodzenia.

Collins zamknął oczy.

Gdy je ponownie otworzył, stwierdził, że znajduje się na jakiejś ponurej równinie, na wprost pasma przysadzistych wzgórz. Zimny wiatr siekł mu twarz igielkami chłodu, a niebo miało kolor stalowoszary.

Stał przy nim jakiś człowiek w obszarpanym stroju.

— Masz — powiedział, wręczając Collinsowi kilof.

— Co to jest?

— To kilof — odpowiedział cierpliwie mężczyzna. — A tam jest kamieniołom, w którym ty, ja i wielu innych będziemy wydobywać marmur.

— Marmur?

— No pewnie. Zawsze trafia się jakiś idiota, który życzy sobie pałacu — powiedział mężczyzna, uśmiechając się kwaśno. — Możesz mówić do mnie Jang. Przez jakiś czas będziemy pracować razem.

Collins głupkowato zamrugał oczyma.

— Jak długo? — spytał.

— Możesz to sobie wyliczyć — odrzekł Jang. — Stawka wynosi pięćdziesiąt kredytek miesięcznie, a praca trwa dopóty, dopóki nie spłacisz swojego długu.

Kilof wypadł Collinsowi z ręki. Nie, nie mogli mu tego zrobić! Korporacja użyteczna musiała już przecież uświadomić sobie swój błąd! To oni go popełnili, pozwalając, by ich urządzenie wyśliznęło się w przeszłość. Czy nie zdawali sobie z tego sprawy?

— To pomyłka! — oznajmił głośno Collins.

— Nie ma mowy o pomyłce — odrzekł Jang. — Tym na górze ciągle brakuje rąk do pracy. Muszą bez przerwy rekrutować nowych. No, chodź! Po pierwszym tysiącu lat nie będziesz przywiązywać do tego wagi.

Collins ruszył już za Jangiem w stronę kamieniołomu.

Gdy jednak usłyszał to, co powiedział jego przewodnik, zatrzymał się.

— Po pierwszym tysiącu lat?! — spytał ze zgrozą. — Przecież nie będę żył tak długo!

— Na pewno będziesz — poinformował go Jang. — Prosiłeś o nieśmiertelność, prawda?

Rzeczywiście. Zażyczył jej sobie dosłownie na chwilę przed tym, jak odebrali mu maszynę, i zapewne otrzymał. A może zrobili to zanim poprosił o nieśmiertelność?

Nagle Collins coś sobie przypomniał. To dziwne, ale na rachunku, który przedstawił mu Flign, nie figurowała taka pozycja.

— Jaką sumą mogą mnie obciążyć za nieśmiertelność? — jytał Janga.

Ten spojrział na niego i zaśmiał się.

— Nie bądź naiwny, koleś — powiedział. — Powinieneś sam już się tego domyślić.

— Jasna sprawa, że akurat to dali ci za darmo — dodał, prowadząc Collinsa w stronę kamieniołomu.

Bilet na Tranai

Pewnego pięknego czerwcowego dnia do biura Międzygwiazdnej Agencji Podróży wszedł chudy i zdeterminowany młody człowiek w stroju o stonowanych barwach. Minał kolorową reklamę, przedstawiającą Święto Zbiorów na Marsie, nie poświęcając jej nawet spojrzenia. Również gigantyczny fotofresk, na którym widniały tańczące lasy Triganium, nie przyciągnął jego wzroku. Zignorował także całkiem sugestywny obraz, przedstawiający prastare obrzędy na Opiuchus II i dotarł do biurka urzędnika rezerwującego bilety.

— Chciałbym zarezerwować przelot na Tranai — oznajmił.

Agent biura podróży zamknął swój egzemplarz książki „Wynalazki przydatne w domu i w pracy” i zmarszczył brwi.

— Tranai? Tranai? — spytał. — Czy to jeden z księżyców planety Kent IV?

— Nie, to nie żaden księżyc — odparł młody człowiek. — Tranai jest planetą, okrążającą gwiazdę o tej samej nazwie.

Chcę zarezerwować przelot na tę planetę.

— Nigdy o niej nie słyszałem — zauważył agent, wyciągając z biurka katalog gwiazd, uproszczoną wersję mapy gwiazdozbiorów, a także egzemplarz „Mało uczęszczanych połączeń wewnątrzgalaktycznych”.

— No dobrze — oznajmił w końcu. — Jak widać, zawsze można dowiedzieć się czegoś nowego. Chce pan więc zarezerwować przelot na Tranai, panie...

— Goodman. Marvin Goodman.

— Panie Goodman. Cóż, wygląda na to, że Tranai jest mniej więcej tak daleko, jak tylko można dotrzeć z Ziemi, pozostając wciąż jeszcze w Drodze Mlecznej. Tam nikt się nie wybiera.

— Wiem o tym. Czy mógłby pan jednak załatwić mi ten przelot? — spytał Goodman. W jego głosie dało się słyszeć powstrzymywane z trudem podekscytowanie.

Agent potrząsnął przecząco głową.

— Nie ma takiej możliwości — stwierdził. — Nawet gwiazdoślizgi nie zapuszczają się tak daleko.

— A na jaką odległość od Tranai mógłbym się dostać z pana pomocą?

Agent posłał mu triumfalny uśmiech.

— Po co zawracać sobie tym głowę? — spytał. — Mogę wysłać pana do jakiegoś świata, na którym będzie wszystko to, co na tym... Tranai, a oprócz tego będzie on miał walory takie, jak: niewielka odległość, okazjne ceny, przyzwoite hotele, wycieczki...

— Zamierzam dotrzeć na Tranai — powiedział ponuro Goodman.

— Ale nie ma sposobu, aby tam się dostać — tłumaczył cierpliwie agent. — A właściwie na jakich walorach tego miejsca panu zależy? Może byłbym w stanie pomóc panu w tej kwestii.

— Może pan mi pomóc, rezerwując dla mnie przelot tak daleko, jak...

— Czy chodzi panu o przygodę? — spytał agent, szybkim spojrzeniem dokonując oceny niezbyt atletycznej budowy młodzieńca i charakterystycznego dla intelektualistów zgarbienia jego pleców. — Pozwoli pan, że zasugeruję mu Africanus II, pierwotny świat pełen dzikich plemion, szablozębnych tygrysów, ludożerczych paproci, ruchomych piasków, aktywnych wulkanów, pterodaktyli i innych rzeczy w tym stylu. Ekspedycje na tę planetę wyruszają z Nowego Jorku co pięć dni i łączą w sobie skrajne ryzyko z absolutnym bezpieczeństwem uczestników. Gwarantowana głowa dinozaura albo zwrot pieniędzy.

— Tranai — stwierdził Goodman.

— Hmm — urzędnik spojrzał szacująco na świadczące o determinacji zaciśnięcie warg Goodmana oraz nieugięty wyraz jego oczu. — Być może jest pan zmęczony purytańskimi restrykcjami, panującymi na Ziemi? W takim razie proszę rozważyć sugestię udania się na Almagordo III, perłę Pasa Południowogalaktycznego. Nasz dziesięciodniowy pełnopłatny plan pobytu obejmuje wycieczkę przez tajemniczy Almagordiański Kasbah, wizyty w ośmiu night-clubach (pierwsza kolejka na koszt firmy), wizytę w fabryce cynkitu, gdzie uczestnicy mogą nabyć prawdziwe cynkitowe pasy, buty i portfele po fenomenalnie niskich cenach, a także wycieczki do dwóch gorzelni. Dziewczyny z Almagordo są piękne, tryskające energią i w uroczy sposób naiwne. Uważają, że turysta jest najwspanialszym i najbardziej godnym pożądania typem ludzkiej istoty. Oprócz tego...

— Tranai — stwierdził Goodman. — Na jaką odległość od niej może mnie pan przewieźć?

Urzędnik z ponurą miną wydobyl plik biletów.

— Na pokładzie „Królowej Konstelacji” może pan dotrzeć do Legis II, gdzie przesiądzie się pan na „Splendor Galaktyki”, który zabierze pana na Oume. Tam będzie pan musiał zaokrętować się na lokalny gwiazdolot, który po przystankach na Machangu, Inchangu, Pankangu, Lekungu i Oysterze dowiezie pana na Tung-Bradar IV, jeśli nie zepsuje się po drodze. Stamtąd gwiazdoślizg przetransportuje pana przez Galaktyczny Wir (jeśli rzeczywiście dociera aż tak daleko) do Aoomsridgii, skąd wciąż jeszcze kursuje statek pocztowy. W ten sposób będzie pan miał za sobą mniej więcej pół drogi. Potem zaś będzie pan już zdany na siebie.

— Świetnie — odparł Goodman. — Czy mógłby pan jeszcze dziś wieczorem dokonać wszystkich niezbędnych formalności?

Urzędnik skinął głową.

— Panie Goodman — spytał w końcu, zdesperowany — a właściwie co takiego jest na tym Tranai, co tak pana przyciąga?

Goodman posłał mu pełen uszcześliwienia uśmiech.

— Utopia — odrzekł.

Marvin Goodman przeżył większość swego życia w miasteczku Seakirk w stanie New Jersey, kontrolowanym od blisko pięćdziesięciu lat przez tego lub innego polityka. Większość mieszkańców Seakirk nie reagowała już na powtarzające się przejawy korupcji wśród wysoko i nisko postawionych urzędników, hazard, wojny ulicznych gangów a także pijaństwo nastolatków. Byli przyzwyczajeni do widoku rozpadających się autostrad i szos, do pękających wodociągów, pamiętających chyba jeszcze czasy starożytne, do elektrowni wyłączających co chwila dopływ energii, do starych budynków, w których mieszkali, a które dosłownie rozpadały się, podczas gdy grube ryby budowały sobie coraz większe wille, coraz dłuższe baseny, coraz bardziej imponujące ogrzewane stajnie. Ludzie przyzwyczaili się do tego. Ludzie tak, ale nie Goodman.

Jako urodzony krzyżowiec, Marvin pisywał sążniste artykuły, które nigdy nie były publikowane, prowadził agitację na rzecz uczciwych kandydatów do władz, którzy nigdy nie zostali wybrani, organizował Obywatelską Ligę Postępu, ruch Lud Przeciw Gangsterom, Unię Obywatelską na rzecz Uczciwej Policji, Stowarzyszenie Przeciwników Hazardu, Komitet na rzecz Równych Możliwości Zatrudnienia dla Kobiet i chyba cały tuzin innych.

Z tych wysiłków nigdy nic nie wyszło. Ludzie byli zbyt apatyczni, by zależało im na czymkolwiek. Politycy po prostu wyśmiewali się z niego, a Goodman nie znosił, gdy ktoś się z niego śmiał. Potem zaś, jakby nie dość było jego dotychczasowych kłopotów, narzeczona Goodmana rzuciła go dla hałaśliwego młodego człowieka w sportowej kurtce o krzykliwych barwach, który wolny był od tendencji do zbawiania całego świata, wyjąwszy może zainteresowanie kontrolnym pakietem akcji w miejscowej spółce budowlanej, czyli SBS.

To był druzgoczący cios. Wyglądało na to, że dziewczyna w ogóle nie przejmuje się faktem, iż SBS używa do produkowanego przez siebie betonu zdecydowanie nadmiernych ilości piasku, a także — dla oszczędności — „obcina” całe centymetry z długości stalowych dźwigarów nośnych.

— No dobra, Marvie, i co z tego? — mawiała. — Tak to po prostu jest. Musisz być realistą!

Goodman nie zamierzał być realistą. By powetować sobie doznaną przykrość, udał się natychmiast do baru Eddie’ego „Księżycowa Poświata”, gdzie pomiędzy jednym drinkiem a drugim zaczął kontemplować uroki szalasu z gałęzi, znajdującego się gdzieś w zielonym piekle na powierzchni Wenus.

W tym momencie do baru wszedł wyprostowany starszy mężczyzna o jastrzębiej twarzy. Sądząc po

jego chodzie, przystosowanym do grawitacyjnych przeciążeń, bladości jego twarzy, a także bliznach radiacyjnych oraz spojrzeniu przenikliwych szarych oczu, Goodman wysnuł wniosek, iż jest on starym wygą dalekich kosmicznych szlaków.

— Specjalne tranaińskie, Sam — złożył zamówienie u barmana.

— Już podaję, kapitanie Savage! — odparł słuźbiście barman.

— Tranai? — wymamrotał bezwiednie Goodman.

— Tranai — potwierdził kapitan. — Nie słyszałeś o niej nigdy, prawda, synu?

— Nie, sir — przyznał Goodman.

— No cóż, synu — oznajmił kapitan Savage. — Czuję, że dzisiejszej nocy chciałbym z kimś odrobinę pogadać, a więc opowiem ci bajeczkę o Tranai Błogosławionej, która leży gdzieś daleko, aż za Galaktycznym Wirem.

Spojrzenie kapitana stało się zamglone, a posepny grymas jego warg złagodził uśmiech.

— W tych czasach byliśmy niczym ludzie z żelaza, podróżujący w stalowych kosmolotach. Johnny Cavanaugh, Frog Larsen i ja polecilibyśmy do samego piekła choćby po pół ładowni terganium. Taaa... i wynajęlibyśmy samego Belzebuba do sprzątania pokładu, gdyby brakowało nam ludzi. Były to czasy, gdy kosmiczny skorbut zabierał zawsze jedną trzecią załogi, a widmo Wielkiego Dana McClintocka błąkało się po kosmicznych szlakach. Moll Gann wciąż jeszcze zawiadywał barem kosmicznym „Pod Czerwonym Kogutem” na Asteroidzie 342-AA, żądając pięciuset ziemskich dolarów za szklankę piwa i, co ciekawsze, dostawał tyle, ponieważ w promieniu trzydziestu miliardów kilometrów nie było innego miejsca, gdzie można byłoby napić się piwa. Były to czasy, gdy Blaszkorogi wciąż wycinały w pień załogi wszystkich statków, podróżujących w okolicach równika Galaktyki, i statki, które chciały dostać się na Elizję, musiały przedzierać się przez przesmyk w Mgławicy Końskiego Łba. Możesz więc wyobrazić sobie, synu, jak się czułem, gdy pewnego pięknego dnia dotarłem na Tranai.

Goodman z zapartym tchem słuchał, jak stary kapitan malował przed nim obraz dni dawnej chwały, gdy kruche statki podróżowały po stalowym niebie, kierując się w dal, zawsze w dal, ku dalekim granicom Galaktyki.

A tam, u brzegu Wielkiej Pustyni, znajdowała się Tranai.

Tranai, gdzie odnaleziono drogę życia, a ludzie nie byli już trybikami maszyny państwa! Wspaniale, spokojne, twórcze, szczęśliwe społeczeństwo, złożone nie ze świętych czy ascetów, nie z intelektualistów, ale ze zwykłych ludzi, którym udało się osiągnąć utopię.

Przez godzinę kapitan Savage mówił o różnorodnych cudach Tranai. Skończywszy swą historię, poskarżył się, że zaschło mu w gardle, i Goodman zamówił dla niego jeszcze jedno specjalne

tranaiańskie, a drugie dla siebie. Popijając egzotyczną zielono-szarą miksturę, Goodman po uszy pogrążył się w marzeniach.

W końcu bardzo uprzejmie spytał:

— Dlaczego pan tam nie wróci, kapitanie?

Starszy człowiek ze smutkiem potrząsnął głową.

— Kosmiczna podagra, chłopcze — oznajmił z goryczą. — Jestem uziemiony na dobre. Wtedy nie wiedzieliśmy dużo o współczesnej medycynie. Jedyne, do czego się teraz nadaję, to jakaś praca dla szczura lądowego.

— A co pan teraz robi?

— Jestem brygadzystą w Spółce Budowlanej Seakirk — westchnął starszy człowiek. — Ja, który kiedyś komenderowałem pięćdziesięciodyszowym kliprem! Sposób, w jaki ci ludzie robią beton... Czy moglibyśmy wypić znowu po jednym na cześć wspaniałej Tranai?

Wypili jeszcze po kilka. Opuszczając bar, Goodman podjął już decyzję. Gdzieś we Wszechświecie odnaleziono *modus vivendi* — prawdziwe urzeczywistnienie odwiecznego ludzkiego snu o doskonałości.

Od tej chwili nic innego nie mogłoby go usatysfakcjonować.

Następnego dnia zrezygnował z pracy projektanta w Zakładach Produkcji Robotów Wschodniego Wybrzeża i podjął z banku oszczędności całego życia.

Wybierał się na Tranai.

Wsiadł na pokład „Królowej Konstelacji”, która zabrała go na Legis II, a potem „Splendorem Galaktyki” doleciał do Oume. Zatrzymawszy się na krótkie postoje na Machangu, Inchangu, Pankangu, Lekungu i Oysterze — ponurych, kosmicznych dziurach — osiągnął Tung — Bradar IV. Bez żadnych większych kłopotów przedostał się przez Galaktyczny Wir i wreszcie znalazł się na Bellismoranti, gdzie kończyły się ziemskie wpływy.

Za zdecydowanie wygórowaną opłatą statek lokalnej linii kosmicznej przewiózł Marviną na Dvastę II, a stamtąd kosmiczny frachtowiec poprzez kolonie Seves, Olgo i Mi przetransportował go na podwójną planetę Mvanti. Tam ugrzązł beznadziejnie na całe trzy miesiące, które wykorzystał biorąc udział w hipnopedycznym kursie języka tranaiańskiego. W końcu wynajął przewodnika po dzikich rejonach kosmosu, który pomógł mu dostać się na Ding.

Na Dingu natychmiast zaarrestowano go pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Higastomeritreianu, zdołał jednak uciec w ładowni statku, transportującego rudy metali, który dowiózł go na g'Moree. Tam wykurował się ze swoich odmrożeń, bąbli i powierzchniowych poparzeń radiacyjnych, po czym

zorganizował sobie wreszcie przelot na Tranai.

Gdy statek mijał księżycy Doe i Ri, by wylądować w Kosmoporcie Tranai, Goodman jedynie z trudem był w stanie uwierzyć, iż dzieje się to naprawdę.

Kiedy otworzyły się śluzy powietrzne, Goodman stwierdził, iż jest w stanie głębokiej depresji. Jej źródłem było częściowo zwykłe wyczerpanie, nieuniknione po tak pełnej przygód podróży. Jednak, co gorsza, Goodman poczuł też nagłe przerażenie, iż Tranai może okazać się zwykłym oszustwem, pułapką na naiwnych.

Przebył całą Galaktykę, kierując się jedynie opowieścią starego kosmicznego włóczęgi. Teraz jednak to, co mówił Savage, wydawało się jakoś mało prawdopodobne. Nawet mityczne Eldorado zdawało się miejscem pewniejszym niż to Tranai, które Goodman chciał ujrzeć.

Opuścił pokład statku. Port Tranai wyglądał na dość sympatyczne miasteczko. Ulice wypełnione były przechodniami, a w sklepowych witrynach piętrzyły się towary. Ludzie, których mijał na ulicy, wyglądali w znacznym stopniu tak samo, jak gdziekolwiek indziej, kobiety zaś były całkiem atrakcyjne.

Równocześnie jednak Goodman odczuł tu coś dziwnego, coś w subtelny sposób, lecz zdecydowanie różnego od innych miejsc w Galaktyce, krótko mówiąc: coś obcego. Zabrało mu nieco czasu, nim zdołał określić to dziwne wrażenie.

Uświadomił sobie mianowicie, że na każdą kobietę, znajdującą się w zasięgu wzroku, przypada co najmniej dziesięciu mężczyzn. I, co jeszcze dziwniejsze, praktycznie wszystkie kobiety, które spotykał, były najwyraźniej albo w wieku poniżej osiemnastu lat, albo też powyżej trzydziestu pięciu.

Co stało się z grupą wiekową kobiet od dziewiętnastu do trzydziestu czterech lat? Czyżby ich publiczne pojawianie się stanowiło tabu? A może dotknęła je jakaś zaraza?

Będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i powoli do tego dojść.

Udał się do Budynku Idriga, gdzie skupione były wszystkie instytucje rządowe Tranai, i zgłosił się w biurze ministra Spraw Pozaplanetarnych. Przyjęto go niemal natychmiast.

Biuro ministra okazało się małe i zagracone, a pokrywająca ściany wykładzina upstrzona była dziwnymi niebieskimi klepkami. Goodmana uderzył też z miejsca widok wysokoenergetycznego karabinu — blastera z tłumikiem i celownikiem optycznym, zwisającego złowieszczo ze ściany. Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, ponieważ urzędnik wyskoczył ze swego fotela i energicznie uściskał mu dłoń.

Minister był otyłym, wesołym mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat. Wokół jego szyi zwisał łańcuch z medalionem, na którym odcisnięty był tranaiński herb — stylizowana błyskawica, która swym uderzeniem rozszczepia kłos zboża. Goodman wysnuł właściwy, jak się okazało, wniosek, iż jest to oficjalny herb ministerstwa.

— Witamy na Tranai — powiedział serdecznie minister. Zepchnął z fotela stos jakichś papierów i

gestem wskazał Goodmanowi, by usiadł.

— Panie ministrze... — rozpoczął Goodman w oficjalnej wersji języka tranaińskiego.

— Nazywam się Den Melith — przerwał mu minister. — Proszę nazywać mnie Den. Panują tu u nas raczej nieformalne stosunki. Może pan położyć nogi na biurku i czuć się jak w domu. Cygaro?

— Nie, dziękuję — odpowiedział Goodman, czując się w jakiś sposób zbity z pantałyku. — Panie... hm... Den, przybyłem tu z Terry, planety, o której być może słyszałeś.

— Jasne, że tak — odrzekł Melith. — To dość nerwowe miejsce, w którym panuje niezły rwetes, prawda? Oczywiście nie mam nic złego na myśli.

— No właśnie. Odnoszę dokładnie takie samo wrażenie. Przyczyna, dla której tu przybyłem... — Goodman zawahał się, mając nadzieję, że to co mówi nie brzmi zbyt śmiesznie. — Cóż, usłyszałem pewne opowieści o Tranai. Kiedy się nad nimi zastanowić, wydają się nedorzeczne. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zapytać cię...

— Pytaj, o co chcesz! — oznajmił Melith z wylewną serdecznością. — Odpowiem ci bez żadnego owijania w bawełnę.

— Dziękuję. Otóż słyszałem, że na Tranai od czterystu lat nie było żadnej wojny ani nawet najmniejszego konfliktu zbrojnego.

— Od sześciuset lat — sprostował Melith. — I nie wygląda na to, by jakikolwiek miał się przydarzyć.

— Ktoś powiedział mi, że na Tranai nie ma żadnej przestępczości.

— Kompletnie żadnej.

— I w związku z tym nie ma policji, sądów, sędziów, szeryfów, urzędników pełniących ich funkcję, katów, funkcjonariuszy śledczych ani agentów rządowych. Nie ma tu więzień, zakładów poprawczych, ani też żadnych innych miejsc, gdzie przetrzymuje się ludzi wbrew ich woli.

— Nie jest nam to wszystko potrzebne — wyjaśnił Melith — ponieważ brak u nas przestępstw.

— Słyszałem też — kontynuował Goodman — że na Tranai nie istnieje nędza.

— Nie jest mi znany żaden taki przypadek — oznajmił radośnie Melith. — Czy jesteś pewien, że nie chcesz cygara?

— Nie, dziękuję. — Goodman niecierpliwie pochylił się do przodu, jakby spijając odpowiedzi z ust Melitha. — Rozumiem, że osiągnęliście stabilizację ekonomiczną bez uciekania się do socjalistycznych, komunistycznych, faszystowskich lub biurokratycznych praktyk?

— W rzeczy samej — skwitował Melith.

— A zatem wasze społeczeństwo jest w gruncie rzeczy oparte na niczym nie skrepowanej przedsiębiorczości obywateli; kwitnie tu prywatna inicjatywa, a funkcje rządu ograniczone są do niezbędnego minimum.

Melith skinął głową.

— Ogólnie rzecz biorąc, nasz rząd zajmuje się drobniejszymi kwestiami związanymi z regulacją tej inicjatywy, troszczy się o ludzi starszych oraz o upiększanie otaczającego nas krajobrazu.

— A czy to prawda, że odkryliście metodę dystrybucji dóbr, nie uciekając się do państwowego interwencjonizmu, ani nawet do podatków, metodę, która opiera się całkowicie na indywidualnej inicjatywie? — drążył dalej Goodman.

— Tak, w zupełności.

— Czy to prawda, że na żadnym ze szczebli tranaińskiego rządu nie spotyka się przypadków korupcji?

— Kompletnie żadnej — stwierdził Melith. — Przypuszczam, że właśnie dlatego mamy spory kłopot ze znalezieniem ludzi, którzy chcieliby pełnić funkcje publiczne.

— A zatem kapitan Savage miał rację! — wykrzyknął Goodman, nie będąc już zdolnym, by dłużej się kontrolować. — To jest utopia!

— Podoba nam się to określenie oznajmił Melith.

Goodman wziął głęboki oddech i zapytał:

— Czy mogę tu zostać?

— Czemu nie? — stwierdził Melith, wyciągając jakiś formularz. — Nie mamy żadnych restrykcji, jeżeli chodzi o imigrację. Powiedz mi, jaki jest twój zawód?

— Na Ziemi byłem projektantem robotów.

— Mamy dużo różnych możliwości w tej dziedzinie — stwierdził Melith, zaczynając wypełniać formularz. Z jego pióra ściekła na papier kropla atramentu. Minister cisnął porywczo pióro o ścianę, gdzie rozbiło się w drzazgi, dodając nowy niebieski kleks na tapecie.

— Wypełnimy formularz innym razem — skonstatował. — Teraz nie jestem w nastroju.

Rozparł się w fotelu.

— Pozwól, że udzielę ci drobnej rady. My, na Tranai, czujemy, iż jesteśmy całkiem blisko utopii, używając twojego określenia. Jednak nasze społeczeństwo nie jest w wysokim stopniu zorganizowane. Nie posiadamy żadnych skomplikowanych uregulowań prawnych. Nasze życie opiera się na poszanowaniu dla pewnej ilości niepisanych praw, lub też zwyczajów, jeśli wolisz tak to

nazywać. Sam dojdiesz do tego, na czym one polegają. Udzielam ci więc rady — choć nie jest to żadne polecenie — żebyś ich przestrzegał.

— Oczywiście, że będę tak robił! — wykrzyknął Goodman. — Mogę pana zapewnić, sir, że nie leży w moich zamiarach narażanie na szwank jakiegokolwiek elementu stworzonego przez was raju.

— Och, nie chodziło mi o nas — powiedział Melith z pełnym rozbawienia uśmiechem. — Brałem raczej pod uwagę twoje bezpieczeństwo. Prawdopodobnie moja żona będzie miała dla ciebie jeszcze inne porady.

Nacisnął duży czerwony guzik na swoim biurku. W pomieszczeniu pojawiła się natychmiast niebieskawa mgiełka. Po jakimś czasie stężała i Goodman ujrzał stojącą przed nim ładną młodą kobietę.

— Dzień dobry, kochanie — powiedziała do Melitha.

— Jest wieczór — poinformował ją minister. — Moja droga, ten młody człowiek przybył tu aż z Ziemi, by zamieszkać na Tranai. Udzieliłem mu zwyczajowej porady. Jak sądzisz, czy jest jeszcze coś, co moglibyśmy dla niego zrobić?

Pani Melith zastanowiła się przez moment, a potem zapytała Goodmana:

— Czy jest pan żonaty?

— Nie, proszę pani — odparł młodzieniec.

— W takim wypadku powinien spotkać się z jakąś miłą dziewczyną — powiedziała pani Melith do męża. — Bycie kawalerem nie jest na Tranai zalecane, jakkolwiek z pewnością nie jest zabronione. Pozwól, że się zastanowię... Co się dzieje z tą ładną dziewczyną państwa Driganti?

— Jest zaręczona — odpowiedział Melith.

— Naprawdę? Czy aż tak długo byłam w zastoju? Mój drogi, to nie jest z twojej strony zbyt rozsądne.

— Byłem za bardzo zajęty — odrzekł minister przeproszającym tonem.

— A co z Mihną Vensis?

— Nie w jego typie.

— A Janna Vley?

— Znakomicie! — wykrzyknął Melith, mrugnawszy do Goodmana. — Niezwykle pociągająca młoda dama.

Wyciągnął z biurka nowe pióro, nagryzmolił za jego pomocą adres i podał kartkę Goodmanowi.

— Żona zadzwoni do niej i uprzedzi ją, by jutro oczekiwała na twoją wizytę — powiedział.

— Proszę wpaść do nas któregoś wieczora na kolację — dodała pani Melith.

— Z wielką przyjemnością — odparł kompletnie oszołomiony Goodman.

— Miło było pana poznać — stwierdziła pani Melith. Jej mąż nacisnął czerwony guzik. Znowu pojawiła się niebieskawa mgiełka i pani Melith zniknęła.

— Muszę już zamykać interes — stwierdził Melith, spojrzawszy na zegarek. — Nie mogę pracować poza godzinami — ludzie mogliby zacząć niepotrzebnie o tym gadać. Wpadnij któregoś dnia, to wypełnimy te formularze. Konieczne powinieneś skontaktować się również z Najwyższym Prezydentem Borgiem, który urzęduje w Pałacu Narodowym... A może to on się z tobą skontaktuje. Nie pozwól, by ten stary lis zdołał ci coś wcisnąć. I nie zapomnij o Jannie.

Melith w szelmowskim stylu puścił oko do Goodmana, po czym odprowadził go do drzwi.

Po chwili młodzieniec znalazł się sam na tranaińskim bruku. — Dotarłem do utopii — powiedział sam do siebie — do rzetelnej, niekłamanej, niepodważalnej utopii.

Były jednak w tym wszystkim pewne bardzo zagadkowe szczegóły.

Goodman zjadł kolację w niewielkiej restauracji i zamówił pokój w pobliskim hotelu. Rozradowany goniec hotelowy odprowadził go do pokoju, gdzie Goodman natychmiast wyciągnął się na łóżku. Ze znużeniem przetarł oczy, próbując uporządkować jakoś swoje ostatnie wrażenia.

Tak wiele się zdarzyło, i to w ciągu jednego tylko dnia! Tyle spraw związanych z Tranai nie dawało mu spokoju. Na przykład stosunek liczby kobiet do liczby mężczyzn. Przecież zamierzał zapytać o to Melitha...

Jednak Melith nie wydawał się właściwym człowiekiem do zadawania pytań, ponieważ z nim samym, związanych było wiele niejasności. Choćby to rzucenie piórem o ścianę. Czy tak może postępować dojrzały i odpowiedzialny urzędnik państwowy? A jego żona...

Goodman wiedział, że pani Melith wyłoniła się z pola zastoju deprywacyjnego; rozpoznał je po charakterystycznej, niebieskawej mgiełce. Pola deprywacyjnego używano również na Ziemi. Czasem istniały uzasadnione medyczne przyczyny, by zawiesić wszelką biologiczną aktywność organizmu, jego wzrost, a także procesy rozpadu. Powiedzmy, że pacjent w nie cierpiący zwłoki sposób potrzebuje określonego serum, osiągalnego jedynie na Marsie. Wtedy należy po prostu przenieść daną osobę w stan zastoju do chwili, gdy serum dotrze na miejsce.

Jednak na Ziemi tylko licencjonowani lekarze upoważnieni byli do posługiwania się polem. Za jego nadużycie groziły określone przez kodeks kary.

Goodman nigdy nie słyszał o tym, by ktoś trzymał swoją żonę w polu deprywacyjnym.

Jeśli jednak rzeczywiście wszystkie żony na Tranai były w ten sposób przetrzymywane, wyjaśniałoby to nieobecność wśród kobiet grupy wiekowej od dziewiętnastu do trzydziestu pięciu lat, i mogłoby także odpowiadać za stosunek dziesięć do jednego, jeśli chodzi o liczebność obu płci.

Jaka była właściwa przyczyna stosowania na Tranai tych „technologicznych czarczafów”?

Goodmana nurtowało także coś innego; był to fakt może mało znaczący, jednak również dość niepokojący.

Karabin na ścianie gabinetu Melitha.

Czy z jego pomocą polował na jakąś zwierzynę? W takim wypadku musiałaby to być całkiem spora zwierzyna... A może chodziło o ćwiczenia w strzelaniu do celu? Ale przecież nie robi się tego z celownikiem optycznym. I po co ten tłumik? Dlaczego minister przechowywał broń w biurze?

Goodman zdecydował jednak, że muszą to być w sumie drobne sprawy, jakieś lokalne nawyki, które wyjaśnią się, gdy pomieszka dłużej na Tranai. Nie mógł przecież spodziewać się, że natychmiast i całkowicie zrozumie, jakie są mechanizmy funkcjonowania społeczeństwa na tej wymarzonej, choć obcej planecie.

Pogrążył się właśnie w drzemce, gdy usłyszał, że ktoś puka do drzwi.

— Proszę! — zawołał.

Niewysoki człowiek o poszarzałej twarzy i skradających się ruchach wpadł do jego pokoju i natychmiast zatrzasnął drzwi.

— Czy to pan jest tym facetem z Terry? — rzucił szybko pytanie.

— Tak, to ja.

— Przewidziałem, że pan tu przyjedzie — oznajmił człowieczek z pełnym zadowolenia uśmiechem. — Za pierwszym razem udało mi się trafić w dziesiątkę. Zamierza pan zostać na Tranai?

— Przeniosłem się tu na dobre.

— Znakomicie — skonstatował mężczyzna. — A co powiedziałby pan na propozycję zostania Najwyższym Prezydentem?

— Że co?

— Dobra zapłata, ruchomy czas pracy, tylko jednoroczna kadencja. Wygląda pan na człowieka, który ma w sobie ducha pracy dla ogółu — powiedział pogodnie przybysz. — No więc jak?

Goodman nie miał zielonego pojęcia, co odpowiedzieć.

— Czy dobrze pana zrozumiałem? — spytał z niedowierzaniem. — Czy proponujecie najwyższy

urząd w państwie tak przypadkowym osobom, jak ja?

— Jak to przypadkowym! — z oburzeniem wyrzucił z siebie mężczyzna. — Czy sądzi pan, że oferujemy stanowisko Najwyższego Prezydenta komukolwiek, kto się nawinie? To wielki zaszczyt dla tego, kogo o to prosimy!

— Nie miałem na myśli...

— A pan, jako Ziemianin, jest do tego szczególnie predestynowany.

— Dlaczego?

— Cóż, powszechnie wiadomo, że Ziemianie czerpią osobliwą przyjemność z rządzenia. My zaś, Tranaianie, tego nie odczuwamy — to wszystko. Dla nas to zbyt duży kłopot.

A więc jest to aż tak proste, pomyślał Goodman. Zaczęła pulsować w nim intensywnie żyłka reformatora. Pomimo że Tranai było miejscem prawie idealnym, na pewno znalazłoby się tu jeszcze sporo rzeczy, które można by udoskonalić. Nagle nawiedziła go wizja: ujrzał siebie jako władcę utopii, na którego barkach spoczywa odpowiedzialny trud uczynienia doskonałości jeszcze doskonalszą. Jednak ostrożność powstrzymała go przed udzieleniem natychmiastowej zgody. Być może ten facet był po prostu stuknięty.

— Bardzo dziękuję za zaszczyt złożenia mi tej propozycji — powiedział Marvin. — Przemyślę ją sobie. Być może powinienem porozmawiać w tej sprawie z urzędującym prezydentem i dowiedzieć się nieco o ciężących na nim obowiązkach.

— A jak pan sądzi, po co tutaj przyszedłem? — spytał z oburzeniem człowieczek. — Nazywam się Borg i jestem Najwyższym Prezydentem!

Dopiero teraz Goodman dostrzegł urzędowy medalion, zwisający z szyi przybysza.

— Jak pan się zdecyduje, proszę dać mi znać. Będę w Pałacu Narodowym — oznajmił człowieczek na zakończenie, po czym uścisnął dłoń Goodmana i wyszedł.

Ten ostatni odczekał pięć minut, a potem zadzwonił po gońca hotelowego.

— Kim był ten człowiek? — spytał, gdy tylko chłopak wszedł.

— To był Najwyższy Prezydent Borg — odparł goniec. — Czy wziął pan tę fuchę?

Goodman w zamyśleniu potrząsnął przecząco głową. Nagle uświadomił sobie bowiem, że będzie musiał dowiedzieć się o Tranai jeszcze bardzo wiele.

Następnego ranka Goodman zrobił sobie alfabetyczną listę różnych przedsiębiorstw produkujących roboty w Port Tranai i wyruszył na poszukiwanie pracy. Ku swemu zdziwieniu, znalazł ją bez

najmniejszych kłopotów w pierwszym miejscu, do którego się zgłosił. Potężne Zakłady Produkcji Robotów Domowego Użytku Abbaga przyjęły go na listę swych pracowników od razu po tym, jak urzędnik kadrowy jedynie pobieżnie rzucił okiem na rekomendacje Goodmana.

Jego nowy pracodawca, pan Abbag, był niewysokim człowiekiem o wyglądzie zapaleńca, z potężną czupryną siwych włosów nad czołem. Emanował niezwykłą wprost energią działania.

— Cieszę się, że mamy Ziemianina na pokładzie — stwierdził na wstępie. — Wiem, że jesteście pomysłowymi ludźmi, a my potrzebujemy tu przede wszystkim właśnie inwencji i polotu. Będę z panem szczerzy, Goodman: mam nadzieję, że pański obcy, ziemski punkt widzenia przyniesie naszej firmie określone korzyści, ponieważ jesteśmy w tej chwili w impasie.

— Czy to jakiś problem związany z produkcją? — spytał Marvin.

— Pokażę panu — odparł Abbag, po czym oprowadził Goodmana po Wydziale Matrycowym, Wydziale Wysokich Temperatur, Wydziale Analizy Promieniami X, Wydziale Końcowej Konstrukcji, aż po Wydział Testowania. Jego hala zaprojektowana była jako kombinacja kuchni i living-roomu. Przy jednej ze ścian stało rzędem około tuzina gotowych robotów.

— Proszę wypróbować jednego z nich — polecił Abbag.

Goodman podszedł do najbliższego robota i rzucił okiem na jego urządzenia kontrolne. Były one dość proste, w gruncie rzeczy zrozumiałe dla każdego. Marvin zaaplikował maszynie standardowy repertuar testów: podnoszenie przedmiotów, mycie garnków i rondli, nakrywanie do stołu. Reakcje robota były prawidłowe, jednak szokująco ślamazarne. Na Ziemi podobna nieruchawość została wyeliminowana z elektronicznych układów robotów już ze sto lat temu. Najwyraźniej tu, na Tranai, produkowano je jak za króla Ćwieczka.

— Wydaje się dość powolny — skomentował ostrożnie Goodman.

— Ma pan rację — odrzekł Abbag. — Jest cholernie powolny. Mówiąc między nami, sądzę, iż pańska opinia jest mniej więcej słuszna. Jednak Wydział Badania Rynku twierdzi, że nasi klienci domagają się, żeby roboty były jeszcze powolniejsze.

— Słucham?

— Zabawne, prawda? — spytał markotnie Abbag. — Zaczniemy tracić wpływy ze sprzedaży, jeśli nie spowolnimy ich jeszcze bardziej. Niech pan zajrzy do jego wnętrza.

Goodman otworzył tylną płytę robota i aż zamrugał oczami, ujrzawszy znajdujący się wewnątrz labirynt. Maszyna zbudowana była tak jak współczesny ziemski egzemplarz, wyposażony w standardowe, niedrogie obwody superszybkiego działania. Jednak zostały do nich dodane specjalne, dodatkowe obwody dla opóźnienia sygnałów, elementy odrzucające impulsy, układy obniżające napięcie i szybkość działania.

— No i proszę mi powiedzieć — perorował Abbag ze złością — w jaki sposób możemy spowolnić choćby jeszcze trochę, nie czyniąc go o jedną trzecią większym i dwa razy droższym, niż

jest obecnie? Doprawdy nie wiem, jakiego pogorszenia tego modelu zażądać mogą jeszcze klienci!

Goodman usiłował przystosować swój sposób myślenia do idei pogarszania robotów.

Na Ziemi zakłady przemysłowe próbowały zawsze zbudować roboty, których reakcje byłyby szybsze, bardziej sprawne i dokładniejsze. Marvin nigdy nie odczuwał potrzeby rozważania sensowności tych działań. W gruncie rzeczy wciąż nie uważał, by było to potrzebne.

— I jakby tego nie było dosyć — uskarżał się Abbag — ten cholerny nowy rodzaj tworzywa sztucznego uległ jakiejś katalizie albo diabli wiedzą, czemu jeszcze. Proszę popatrzeć!

Wziął nogą spory zamach i kopnął robota w korpus. Sztuczne tworzywo, z którego zrobiona była maszyna, zgięło się niczym arkusz cynowej blachy. Abbag kopnął drugi raz. Plastik wygiął się jeszcze bardziej, a robot zaczął wzruszająco trzeszczeć i błyskać światelkami kontrolnymi. Trzecie kopnięcie roztrzaskało obudowę. „Wnętrznosci” robota eksplodowały widowiskowo, rozsypując się po podłodze.

— Jest dość kruchy — skomentował Goodman.

— Niewystarczająco — odparł Abbag. — Powinien rozpadać się już za pierwszym kopnięciem. Nasi klienci nie odczują żadnej satysfakcji, jeśli będą musieli przez cały dzień obijać sobie palce u nóg o jego bebechy. Proszę mi jednak powiedzieć, w jaki sposób mam wyprodukować sztuczne tworzywo, które miałoby zwykłą odporność na zużycie i zwykłą rozciągliwość — nie chcemy przecież, żeby nasze roboty psuły się z przypadkowych przyczyn — a równocześnie rozpadały się na części pierwsze, gdy tylko klient sobie tego zażyczy?

— Chwileczkę — zbuntował się Goodman. — Chciałbym jasno zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Czy wy celowo spowalnicie roboty, by mogły zirytować swych użytkowników tak, żeby je zniszczyli?

— Oczywiście! — odparł Abbag, unosząc brwi ze zdziwieniem.

— Po co to robicie?

— Pan naprawdę musiał niedawno tu przylecieć — stwierdził pracodawca. — Każde dziecko zna odpowiedź na to pytanie.

— Byłbym jednak bardzo wdzięczny, gdyby mi pan wyjaśnił.

Abbag westchnął.

— Cóż, zacznijmy od tego: niewątpliwie zdaje pan sobie sprawę, że każde urządzenie mechaniczne jest źródłem uczucia irytacji. Ludzki rodzaj żywi głęboką i trwałą nieufność wobec maszyn. Psychologowie określają to mianem instynktownej reakcji istot żywych na pseudożycie. Czy zgodzi się pan ze mną w tej kwestii?

Marvin przypomniał sobie wszystkie przeczytane przez siebie, niepokojące książki o zbuntowanych

maszynach, mózgach elektronicznych zdobywających władzę nad światem, atakujących androidach i tym podobnych historiach. Pomyślał także o zabawnych notatkach prasowych, traktujących na przykład o człowieku, który strzelił do swojego telewizora, o kimś, kto roztrzaskał o ścianę maszynkę do robienia tostów, o kimś innym, kto „rozprawił się” ze swoim samochodem.

Przypomniał sobie również wszystkie dowcipy na temat robotów, podszyte głęboką wrogością.

— Przypuszczam, że mogę się z tym zgodzić — powiedział głośno.

— Pozwoli więc pan, że rozwinę tę tezę — kontynuował skrupulatnie Abbag. — Każda maszyna jest źródłem irytacji.

Im lepiej działa, tym silniejszą wyzwala wrogość. Rozumując logicznie dochodzimy zatem do wniosku, że idealnie działająca maszyna stanowi prawdziwe ognisko frustracji, utraty szacunku dla samego siebie, nieokreślonego resentymentu...

— Chwileczkę! — sprzeciwił się Goodman. — Nie posuwałbym się aż tak daleko!

— ...i schizofrenicznych urojeń — kontynuował niewzruszenie Abbag. — Jednak we współczesnej, rozwiniętej ekonomice maszyny są niezbędne. Zatem najlepszym humanitarnym rozwiązaniem jest posiadanie takich maszyn, które źle funkcjonują.

— Nie jestem o tym przekonany.

— To oczywiste. U was, na Ziemi, wasze gadzety działają prawie optymalnie, wywołując kompleks niższości u swych operatorów. Niestety, macie jednak masochistyczne, klanowe tabu, zabraniające wam je niszczyć. A jaki jest tego wynik?

Powszechnie odczuwana obawa w obliczu świętej i nieludzko sprawnej maszyny, a także równie powszechne poszukiwanie zastępczego obiektu agresji, którym staje się żona lub przyjaciel. W sumie jest to pożałowania godny stan rzeczy. Och tak, oczywiście, przypuszczam, że to dość wygodne dla krótkowzrocznych producentów robotów, jednak okazuje się bardzo szkodliwe w dłuższym planie czasowym, biorąc pod uwagę stan zdrowia i samopoczucie społeczeństwa.

— Nie mam pewności, czy...

— Człowiek jest w gruncie rzeczy istotą pełną lęku.

Tu, na Tranai, kierujemy ów lęk w stronę ściśle określonego przedmiotu i pozwalamy, by służył on jako ujście także i dla innych frustracji. Jakiś facet ma już dosyć i wtedy... łup! Paroma kopniakami wywraca swojego robota na lewą stronę. Dochodzi wówczas do nagłego, leczniczego rozładowania emocji, do którego dołącza się bardzo wartościowe i ważne poczucie wyższości nad zwyczajną maszyną, osłabienie ogólnego napięcia psychicznego, zdrowy zastrzyk adrenaliny do układu krążenia, a w konsekwencji również przyspieszenie ekonomicznego rozwoju Tranai, ponieważ facet musi udać się prosto do naszego sklepu, by kupić sobie nowego robota. A czegoż właściwie dopuścił się ten człowiek? Nie pobił swojej żony, nie popełnił samobójstwa, nie wypowiedział nikomu wojny, nie wynalazł nowej broni, ani też nie pofolgował żadnemu z innych popularnych sposobów rozładowania

energii. Po prostu roztrzaskał niedrogięgo robota, którego można w każdej chwili zastąpić innym.

— Przypuszczam, że zrozumienie tego zabierze mi nieco czasu — przyznał Goodman.

— Oczywiście, że ma pan na to czas. Jestem pewien, iż okaże się pan wartościowym pracownikiem naszej firmy, panie Goodman. Proszę sobie przemyśleć to, co powiedziałem, i spróbować wynaleźć jakiś niedrogi sposób na pogorszenie tego robota.

Goodman przez całą resztę dnia rozważał ten problem, ale nie był w stanie natychmiast przystosować swojego sposobu myślenia do idei produkcji jak najgorszej maszyny. Pomysł ten z jakichś przyczyn wydawał się urągać zdrowemu rozsądkowi. Skończył pracę o piątej trzydzieści, niezadowolony z siebie, ale zdecydowany podjąć wysiłki, by pracować lepiej... lub gorzej, zależnie od punktu widzenia i obowiązujących zasad.

Zjadłszy w samotności szybką kolację, zdecydował się zadzwonić do Janny Vley. Nie chciał spędzać całego wieczoru w samotności, a poza tym odczuwał desperacką wręcz potrzebę odnalezienia w tej niezwykle złożonej utopii czegoś miłego, prostego, pozbawionego tajemniczych dwuznaczności. Być może Janna okazałaby się spełnieniem tej potrzeby.

Dom państwa Vley znajdował się zaledwie dwanaście budynków dalej, na tej samej ulicy, i Marvin postanowił przejść się tam na piechotę.

Podstawowy problem polegał na tym, że Goodman miał już swoje własne wyobrażenia, dotyczące tego, czym jest utopia, i w związku z tym nękały go teraz trudności z dostosowaniem się do jej rzeczywistego obrazu. Wyobrażał sobie mianowicie sielski krajobraz planety pełnej ludzi, mieszkających w oryginalnie wyglądających wioskach, przechadzających się tu i tam w swych luźnych, powiewających dostojnie szatach, ludzi niezwykle mądrych, uprzejmych i pełnych zrozumienia. Byłyby tam także dzieci igrające w złocistym słonecznym blasku, młodzi ludzie tańczący na wioskowych placach...

Zabawne! Przedstawiał sobie raczej martwy obraz niż żywą scenę, raczej serię stylizowanych póz niż bezustanny ruch, nieodłączny od życia. Ludzie nigdy nie byłiby w stanie żyć w ten sposób, nawet gdyby faktycznie mieli na to ochotę.

Gdyby mogli to zrobić, oznaczałoby to, że nie są już ludźmi.

Dotarł do domu państwa Vley i przystanął na zewnątrz, niezdecydowany. W co też pakował się teraz? Na jakie nieznane — jakkolwiek bez wątpienia utopijne — obyczaje natknie się w tym domu?

Niewiele brakowało, a zawróciłby. Jednak perspektywa spędzenia długiej samotnej nocy w hotelowym pokoju wydawała mu się teraz szczególnie zniechęcająca. Zaciśnawszy zęby zadzwonił do drzwi.

Otworzył je rudowłose, niezbyt korpulentny mężczyzna w średnim wieku.

— Och, to pan musi być tym facetem z Terry — oznajmił na przywitanie. — Janna jest już prawie gotowa. Proszę, niech pan wejdzie i zapozna się z żoną.

Zaprowadził Goodmana do sympatycznie urządzonego living-roomu i nacisnął czerwony guzik, znajdujący się na ścianie. Marvin nie zaskoczyła tym razem niebieskawa mgiełka pola deprywacyjnego. Niezależnie od wszelkich wątpliwości sposób, w jaki Terranianie traktowali swoje kobiety, był przecież wyłącznie ich sprawą.

Z mgiełki wyłoniła się ładna kobieta w wieku około dwudziestu ośmiu lat.

— Moja droga — oznajmił Vley — oto Terranin, pan Goodman.

— Bardzo mi miło pana poznać — powiedziała pani Vley. — Czy mogę nalać panu drinka?

Marvin skinął głową. Pan Vley wskazał mu wygodny fotel.

Po chwili pani Vley przyniosła tacę ze schłodzonymi drinkami i także usiadła.

— A więc jest pan z Terry — skonstatował Vley. — To dość nerwowe miejsce, w którym panuje niezły rwetes, prawda?

Ludzie bez przerwy gdzieś pędzą?

— Tak, sądzę, że tak właśnie jest — odparł Goodman.

— No cóż, spodoba się panu tutaj. My wiemy, jak korzystać z życia. To przede wszystkim sprawa...

Na schodach rozległ się szelest sukni. Marvin wstał.

— Panie Goodman, to nasza córka Janna — powiedziała pani Vley.

Goodman natychmiast stwierdził, że włosy Janny mają dokładnie ten sam kolor, co supernowa w układzie Kirke, jej oczy odznaczają się niewiarygodnie głębokim odcieniem błękitu, spotykanym tylko na jesiennym niebie nad Algo II, jej wargi mają ten delikatny, różowy odcień, jaki posiadają tylko rozwiewane przez stratosferyczne wichry obłoki na planecie Scarsclotta-Turnera, jej nozdrza...

— Bawcie się dobrze, dzieciaki — oznajmiła pani Vley.

— I nie wracaj zbyt późno — polecił Jannie pan Vley.

Powiedzieli dokładnie to, co zwykle ziemscy rodzice mówią swym dzieciom, gdy te wychodzą gdzieś z domu.

Randka nie okazała się pod żadnym względem egzotyczna, poszli do niedrogiemu night-clubu, tańczyli, wypili trochę i dużo porozmawiali. Goodmana zadziwiła harmonia, jaka zapanowała między

nimi już od pierwszej chwili. Janna zgadzała się ze wszystkim, co mówił. Pokrzepiające było to, że w tak ładnej dziewczynie drzemało aż tyle inteligencji.

Wielkie, niemal przygniatające wrażenie zrobiły na Jannie niebezpieczeństwa, z jakimi Marvin zetknął się, podróżując przez Galaktykę. Od dawna wiedziała już, że Ziemianie lubią przygody (jakkolwiek są zarazem nerwowi), jednak ryzyko, które podjął Goodman, wprost przekraczało jej zdolności pojmowania.

Z drżeniem słuchała, gdy opowiadał o śmiercionośnym Galaktycznym Wirze, a jej oczy rozszerzyły się, kiedy mówił o przedzieraniu się przez słynny przesmyk z Mgławicy Końskiego Łba, pod samym nosem krwiożerczych Blaszkorogów, które wciąż wycinały w pień załogi wszystkich statków, podróżujących w okolicach równika Galaktyki i nawiedzały nawet diabelskie czarne dziury dalekiej Elizji. Wedle opowieści Goodmana, Ziemianie wciąż byli niczym ludzie z żelaza, w swych stalowych kosmoflotach zapuszczający się aż na same brzegi Wielkiej Pustki.

Dziewczyna nie odważyła się nawet odezwać, aż do chwili, gdy Marvin wspomniał o płaceniu pięciuset ziemskich dolarów za szklankę piwa w barze kosmicznym Molla Ganna „Pod Czerwonym Kogutem” na Asteroidzie 342-AA.

— Musiałeś być bardzo spragniony — stwierdziła z namysłem.

— Niespecjalnie — odparł Goodman. — Po prostu pieniądze niewiele tam znaczą.

— Och, ale czy nie byłoby lepiej, gdybyś je zaoszczędził?

Chodzi mi o to, że kiedyś możesz mieć żonę i dzieci... — przerwała, wyraźnie się rumieniąc.

— Cóż, tamten rozdział mojego życia uważam za zamknięty — powiedział spokojnie Goodman. — Zamierzam ożenić się i osiąść na stałe właśnie tu, na Tranai.

— Jak cudownie! — wykrzyknęła Janna.

W sumie było to nadzwyczajnie udane spotkanie.

Goodman odprowadził Jannę do domu o przyzwoitej godzinie i umówił się z nią na randkę następnego wieczoru.

Ośmielony swym własnym bajdurzeniem, pocałował dziewczynę w policzek. Nie wyglądało na to, by miała coś przeciwko temu, lecz Goodman nie próbował jeszcze wykorzystywać swych przewag.

— A zatem do jutra — powiedziała, uśmiechnęła się do niego i zamknęła drzwi.

Marvin ruszył w kierunku hotelu, czując, że kręci mu się w głowie. Janna! Janna! Czy to możliwe, że był już zakochany? Możliwość zakochania się od pierwszego wejrzenia była udowodniona pod względem psychofizjologicznym i, jako taka, wydawała się w pełni uzasadniona. Miłość w utopii! Jak wspaniale jawiło się Marvinowi to, że tu, na doskonałej planecie, znalazł sobie również doskonałą dziewczynę!

Nagle z półcienia wyszedł człowiek, który zastąpił mu drogę. Goodman zauważył, że ma on na sobie maskę z czarnego jedwabiu, która zasłaniała całą jego twarz z wyjątkiem oczu. Miał też potężny i groźnie wyglądający blaster, który dzierżył pewnie, skierowany prosto w brzuch Marvinina.

— W porządku, koleś — oznajmił. — Dawaj wszystkie pieniądze, które masz.

— C...co?! — wysapał Goodman.

— Słyszałeś. Twoje pieniądze. Masz mi je dać.

— Nie możesz tego zrobić — stwierdził Marvin, zbyt zaskoczony, by sensownie myśleć. — Przecież na Tranai nie ma przestępstw!

— Kto powiedział, że są? — spytał cicho mężczyzna. — Po prostu proszę cię, żebyś dał mi swoje pieniądze. Czy zamierzasz oddać mi je spokojnie, czy mam cię zbić na kwaśne jabłko?

— Nie uciekniesz z moją forszą! Przestępstwo nie popłaca!

— Nie bądź śmieszny — stwierdził mężczyzna, po czym uniósł ciężki blaster nad głowę.

— W porządku, nie podniecaj się — powiedział Goodman, po czym wyciągnął swój portfel, w którym miał wszystko, co posiadał, i oddał jego zawartość zamaskowanemu człowiekowi.

Mężczyzna przeliczył pieniądze; wydawał się pod wrażeniem.

— Jest lepiej niż przypuszczałem. Dzięki, koleś. Nie bierz sobie tego do serca.

Pospieszył ciemną ulicą w dal.

Goodman zaczął rozpaczliwie rozglądać się w poszukiwaniu policjanta, dopóki nie przypomniał sobie, że na Tranai nie ma policji. Na rogu ulicy zauważył niewielki cocktail-bar. Neon nad jego fasadą głosił: „Kitty Kat Bar”; Mandn w pośpiechu wpadł do jego wnętrza.

W sali znajdował się jedynie barman, który smętnie przecierał szklanki.

— Obrabowano mnie! — krzyknął do niego Goodman.

— No i co? — spytał barman, nawet nie podnosząc wzroku.

— Sądziłem, że na Tranai nie ma przestępczości.

— To fakt; nie ma.

— Ale ja zostałem obrabowany!

— Musi pan tu być od niedawna — stwierdził barman, w końcu spojrzawszy na Marvinina.

— Właśnie przyleciałem z Terry.

— Terra? To dość nerwowe miejsce, w którym panuje niezły...

— Tak, tak — przerwał Goodman. Ten stereotyp myślenia o Ziemi zaczął go już trochę męczyć. — Jednak jak to możliwe, że na Tranai nie ma przestępczości, skoro właśnie mnie obrabowano?

— To oczywiste. Na Tranai obrabowanie kogoś nie jest przestępstwem.

— Ale przecież rabunek wszędzie i zawsze jest przestępstwem!

— A jakiego koloru maskę miał na sobie?

Goodman zastanowił się przez chwilę.

— Czarną — odpowiedział. — Z czarnego jedwabiu.

Barman skinął głową.

— A więc był to rządowy poborca podatków — oznajmił.

— To dość zabawny sposób pobierania podatków — warknął Goodman.

Barman postawił przed nim specjalne tranaiańskie.

— Niech pan spróbuje o tym pomyśleć w kategoriach dobra ogólnego. Rząd przecież musi mieć jakieś pieniądze.

Gromadząc je w ten sposób, unikamy konieczności istnienia podatku dochodowego, wraz z niezbędnym do jego zbierania aparatem ustawodawczym i prawnym. Jeśli zaś chodzi o zdrowie psychiczne, to trzeba stwierdzić, że o wiele lepiej jest pobierać pieniądze od obywateli metodą krótkiej, szybkiej, prawie bezbolesnej operacji, niż zmuszać ich do całorocznego martwienia się koniecznością spłacenia długu wobec społeczeństwa w konkretnym terminie.

Goodman błyskawicznie wysuszył swojego drinka i barman zaserwował mu następnego.

— Jednak — zgłosił obiekcję Marvin — sądziłem, że wasze społeczeństwo opiera się na ideałach wolnej woli oraz indywidualnej inicjatywy.

— Tak właśnie jest — potwierdził barman. — Jednak bez wątpienia rząd, zwłaszcza tak szczupły liczebnie jak u nas, ma to samo prawo do swobodnej inicjatywy, co każdy indywidualny obywatel, prawda?

Goodman nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie z pełną ścisłością, więc po prostu dokończył drugiego drinka.

— Czy mógłbym dostać jeszcze jednego? — spytał. — Zapłacę panu tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

— Jasne, jasne — odrzekł dobrodusznie barman, nalewając drinka Maninowi i sobie.

— Spytał pan, jaki był kolor jego maski — zauważył Goodman. — Dlaczego?

— Kolor czarny mają maski oficjalnych funkcjonariuszy rządowych. Prywatni obywatele posługują się białymi.

— Czy ma pan na myśli to, że prywatni obywatele również dokonują napadów rabunkowych?

— Jasne, że tak! To nasz sposób redystrybucji majątku społecznego. Poziom zamożności zostaje wyrównany, nawet bez konieczności płacenia podatków, całkowicie w kategoriach indywidualnej inicjatywy — stwierdził barman, ekspresyjnie kiwając głową. — I trzeba powiedzieć, że ten system znakomicie zdaje egzamin. Rozumie pan, napady rabunkowe to najlepszy sposób wprowadzania sprawiedliwości społecznej.

— Przypuszczam, że tak — przyznał Goodman, kończąc trzeciego drinka. — Jeśli dobrze rozumiem, to każdy obywatel może wziąć blaster, włożyć maskę na twarz i wyruszyć na rabunek?

— Dokładnie tak — potwierdził barman. — Oczywiście, w dopuszczalnych granicach.

Goodman parsknął.

— Jeśli takie są tutaj zasady gry — oznajmił — to ja też potrafię grać w ten sposób. Czy mógłby pan pożyczyć mi maskę i broń?

Barman sięgnął pod ladę.

— Proszę, ale niech pan pamięta, żeby je zwrócić. To rodzinne pamiątki.

— Oddam je — obiecał solennie Goodman. — A kiedy tu wrócę, zapłacę też za drinki.

Wsunął blaster za pasek, włożył maskę i wyszedł z baru.

Jeśli taki właśnie był na Tranai bieg rzeczy, bez wątpienia mógł się do niego dostosować. Obrabowali go, tak? W takim razie on odbierze sobie rabunkiem wszystko, co stracił, a oni będą jeszcze cienko śpiewać!

Znalazł odpowiednio ciemny zakątek ulicy i zamelinował się w mroku, oczekując na ofiarę. Po chwili usłyszał jakieś kroki i wyjrzawszy zza węgła, dostrzegł poważnie wyglądającego, dobrze ubranego Tranaiańczyka, który szedł spieszenie ulicą.

Goodman zastąpił mu drogę z groźnym warknięciem:

— Stój, koleś!

Tranaiańczyk zatrzymał się i spojrzął krytycznie na blaster Marvina.

— Hmm, widzę, że używa pan szerokolufowego droga 3, tak? Dość staromodna broń. Jak się panu z nią pracuje?

— W porządku — odparł Goodman. — Proszę mi dać swoje...

— Mimo to jego mechanizm spustowy wydaje się działać zbyt wolno — oznajmił z zadumą Tranaiańczyk. — Osobiście poleciłbym panu iglicowiec typu Miss-Sleeven. Tak się złożyło, że jestem akwizytorem firmy „Broń Sleeveena”. Mógłbym zaproponować panu zakup za bardzo korzystną cenę; wymieniliby pan swój stary blaster z niewielką dopłatą...

— Daj mi swoje pieniądze! — warknął Goodman.

Poważnie wyglądający Tranaiańczyk uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Podstawowy defekt pańskiego droga 3 polega na tym, że broń nie wypali, dopóki jej pan nie odbezpieczy.

To mówiąc, szerokim ruchem ręki wytrącił blaster z dłoni Goodmana.

— Widzi pan? — skomentował. — Nie był pan w stanie zrobić nic, żeby temu zaradzić.

Poszedł dalej w swoją stronę.

Goodman porwał blaster z ziemi, odnalazł mechanizm zabezpieczający, zwolnił go, a potem popędził za Tranaiańczykiem.

— Ręce do góry! — wrzasnął, czując się już odrobinę zdesperowany.

— Nie, nie, mój dobry człowieku! — stwierdził Tranaiańczyk, nie oglądając się nawet. — Wobec jednego klienta przysługuje panu tylko jedna próba. Rozumie pan, nie należy łamać niepisanych praw.

Goodman przystanął i gapił się bezmyślnie za Tranaiańczykiem, dopóki ten nie skręcił za rogiem i nie zniknął mu z oczu.

Potem dokładnie sprawdził swojego droga 3, by upewnić się, że wszystkie zabezpieczenia są wyłączone. Wrócił na to samo miejsce co przedtem, by tam czatować na kolejną ofiarę.

Mniej więcej po godzinie oczekiwania ponownie usłyszał kroki. Mocniej ścisnął blaster w dłoniach. Tym razem zamierzał dokonać rabunku i nic nie było w stanie go przed tym powstrzymać.

— No dobra, koleś! — oznajmił. — Rączki do góry!

Ofiarą okazał się tym razem niski, krępy Tranaiańczyk, ubrany w stary roboczy kombinezon. Utkwił wzrok w broni Goodmana.

— Proszę, niech mnie pan nie zabija! — uderzył w błagalny ton.

Tak było zdecydowanie lepiej! Goodman poczuł, że wypełnia go głęboka satysfakcja.

— Nawet nie drgnij — ostrzegł. — Wszystkie zabezpieczenia mojego blastera są wyłączone.

— Widzę to — odpowiedział krępy mężczyzna, kuląc się ze strachu. — Niech pan łaskawie uważa z tą bronią. Nie poruszę nawet małym palcem.

— Lepiej tego nie rób. Dawaj swoje pieniądze.

— Pieniądze?

— Tak, pieniądze. I zrób to szybko, żeby nie stracił cierpliwości!

— Nie mam żadnych pieniędzy! — wyskamlął mężczyzna. — Wielmożny panie, jestem biednym człowiekiem. Przygniata mnie brzemień nędzy!

— Na Tranai nędza nie istnieje — stwierdził sentencjonalnie Goodman.

— Wiem. Jednak można się znaleźć tak blisko niej, że nie widzi się już różnicy między nędzą a jej brakiem. Proszę, niech mi pan daruje!

— Dlaczego nie przejawisz pan inicjatywy? — spytał Goodman. — Jeśli jest pan biedny, to może pan przecież zacząć się i obrabować kogoś bogatszego.

— Niestety, nie miałem na to najmniejszej szansy. Zaczęło się od tego, że córeczka dostała kokluszę i miałem siedzieć przy niej całymi nocami. Potem zepsuł się deprzywator i żona po całych dniach zaczęła trzeszczeć mi nad uchem. Teraz myślę sobie, że w każdym domu powinien być zapasowy generator pola! Żona postanowiła zrobić w domu sprzątaninę w czasie, gdy ekipa będzie naprawiać deprzywator, i wrzuciła gdzieś mój blaster, oczywiście potem nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Zdecydowałem więc, że pożyczę blaster od kumpla, kiedy nagle...

— Dosyć! — przerwał Goodman. — To jest napad i zamierzam w związku z tym obrabować cię z czegoś. Daj mi swój portfel.

Mężczyzna żałośnie pociągnął nosem i dał Goodmanowi zużytą portmonetkę. Marvin znalazł w niej jednego deglona — tranaiński odpowiednik ziemskiego dolara.

— To wszystko, co mam — oznajmił biedak płaczliwym tonem. — Ale proszę bardzo, niech pan go sobie weźmie.

Wiem, jak to jest — marznąć przez całą noc na rogu ulicy, na kompletnym wygwizdowie...

— Zatrzymaj go sobie — stwierdził Goodman. Oddał portmonetkę Tranaiańczykowi i ruszył w swoją stronę.

— Ojej, dziękuję panu bardzo!

Marvin nie odpowiedział. Niepocieszony wrócił do baru „Kitty Kat” i oddał barmanowi blaster oraz maskę. Gdy ten ostatni dowiedział się, co się stało, wybuchnął grubiańskim śmiechem.

— Nie miał żadnych pieniędzy! Człowieku, toż to numer stary jak świat! Przecież każdy nosi ze sobą lipny portfel specjalnie dla rabusiów; niektórzy mają dwa, a nawet trzy! Czy go przeszukałeś?

— Nie — przyznał Goodman.

— Bracie, jesteś kompletnym żółtodziobem!

— Mam wrażenie, że tak. Posłuchaj, naprawdę zapłacę ci za drinki, gdy tylko uda mi się zdobyć jakieś pieniądze.

— Jasne, jasne — odrzekł barman. — Teraz najlepiej idź do domu i prześpij się trochę; miałeś pracowitą noc.

Goodman skinął głową. Znużony powrócił do swojego hotelowego pokoju i zasnął natychmiast, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki.

Następnego dnia stawiał się w Zakładach Produkcji Robotów Domowego Użytku Abbaga i po męsku wziął się za bary z problemem pogarszania automatów. Nawet w wypadku pracy tak zdehumanizowanej jak ta, jego terrańska pomysłowość zaczęła się wkrótce ujawniać.

Goodman zaczął mianowicie pracować nad nowym rodzajem plastiku, który można byłoby zastosować w obudowach robotów. Był to rodzaj silikonu, odpowiednik „szalonego kitu”, który pojawił się na Ziemi już jakiś czas temu. Posiadał on wymaganą twardość, elastyczność oraz trwałość; mógł również wytrzymać spore napięcia mechaniczne i termiczne.

Jednak zrobiona z niego budowa uległaby natychmiastowemu i widowiskowemu roztrzaskaniu pod wpływem kopnięcia o minimalnej sile około czternastu kilogramów na centymetr kwadratowy.

Pracodawca pochwalił go za wprowadzoną innowację, dał nagrodę pieniężną (której Goodman niezmiernie potrzebował) i polecił mu nadal pracować nad tym pomysłem w celu obniżenia, o ile to możliwe, odporności obudowy do dziesięciu i pół kilograma na centymetr. Wedle ustaleń działu badawczego taką właśnie siłę osiągało przeciętne kopnięcie frustracyjne.

Marvin był tak zajęty, że praktycznie brakowało mu czasu na dalsze badania tranaińskich obyczajów i panujących tu niepisanych praw. Zdołał jedynie odwiedzić Lokal Obywatelski. Ta unikatowa, specyficzna dla Tranai instytucja znajdowała się w niewielkim budynku przy cichej uliczce z dala od miejskiego zgiełku.

Zaraz po wejściu tam natknął się na wielką tablicę, na której wymienione były imiona i nazwiska ludzi piastujących obecnie urzędy wraz z przysługującymi im oficjalnymi tytułami. Przy każdym

nazwisku znajdował się przycisk. Dozorca powiedział Goodmanowi, że każdy obywatel ma prawo poprzez naciśnięcie guzika wyrazić swoje niezadowolenie z działań danego urzędnika państwowego. Naciśnięcie guzika było automatycznie rejestrowane w Sali Historycznej i stanowiło nieusuwalną negatywną ocenę tego funkcjonariusza.

Oczywiście nieletnim nie było wolno naciskać guzików.

Gdy Goodman się nad tym zastanowił, odniósł wrażenie, że ten system nie jest chyba efektywny; stwierdził jednak, iż być może urzędnicy tranaiańscy mają inną motywację do pracy niż ci, którzy piastują urzędy na Ziemi.

Niemal co wieczór spotykał się z Janną; badali razem różnorodne aspekty życia kulturalnego na Tranai: cocktail — bary i kina, sale koncertowe, galerie sztuki, muzeum osiągnięć naukowych, jarmarki i festiwale. Goodman miał teraz przy sobie blaster i po kilku nieudanych próbach obrabował pewnego handlowca na sumę prawie pięciuset deglonów.

Janna, jak przystało na rozsądną tranaiańską dziewczynę, była pełna zachwytu z powodu tego osiągnięcia, które świętowali potem w barze „Kitty Kat”. Rodzice dziewczyny stwierdzili zgodnie, że Marvin wydaje się rokować spore nadzieje na zapewnienie bytu rodzinie.

Następnej nocy te same pięćset deglonów — plus nieco pieniędzy pochodzących z nagrody Goodmana — zostało mu odebranych przez rabusia o wzroście i budowie do złudzenia przypominającej barmana z „Kitty Kat”, który posługiwał się archaicznym blasterem dróg 3.

Goodman uspokajał się myślą, że jego pieniądze cyrkulują swobodnie, tak jak planowali twórcy tranaiańskiej utopii.

Wkrótce Marvin odniósł nowy triumf. Pewnego dnia, pracując w Zakładach Produkcji Robotów Domowych, odkrył zupełnie nowy sposób wytwarzania plastiku na obudowy automatów. Był to specjalny rodzaj sztucznego tworzywa, niewrażliwego na uderzenia lub upadki o dużej nawet sile.

W związku z tym właściciel robota powinien mieć na nogach specjalne buty, których obcasy byłyby nasączone katalizatorem. Gdy właściciel kopał robota, katalizator wchodził w kontakt z plastikiem obudowy, co dawało efekt natychmiastowy i w pełni zadowalający.

Z początku pan Abbag wydawał się trochę niepewny; trik z butami wyglądał na zręczne oszustwo. Jednak nowy pomysł chwycił nadzwyczaj dobrze i Zakłady Produkcji Robotów Domowych zaangażowały się dodatkowo w branży obuwniczej, dodając do każdego sprzedawanego egzemplarza robota przynajmniej jedną parę butów.

Ten „poziomy” rozwój interesu bardzo zadowolił akcjonariuszy firmy „Roboty Abbaga” i okazał się w gruncie rzeczy ważniejszy, niż samo oryginalne odkrycie rozpadającego się pod wpływem katalizy plastiku. Goodman otrzymał znaczną podwyżkę wynagrodzenia i hojną premię od Abbaga.

Na fali tego triumfu złożył Jannie oświadczenia, które zostały natychmiast przyjęte. Rodzice dziewczyny całym sercem sprzyjali temu związkowi; Goodmanowi pozostało jedynie uzyskać

oficjalne zezwolenie, ponieważ formalnie rzecz biorąc był wciąż jeszcze cudzoziemcem.

Mantin wziął więc w pracy dzień wolny i udał się do Budynku Idriga, by zobaczyć się z Melithem. Był piękny, wiosenny dzień, jeden z tych, które niezmiennie panują na Tranai przez całe dziesięć miesięcy w roku, i Goodman szedł w stronę rządowej budowli lekkim, sprężystym krokiem. Był zakochany, odnosił sukcesy w interesach i wkrótce miał stać się obywatelem najprawdziwszej utopii.

Oczywiście nawet ta utopia mogłaby zostać zmieniona pod pewnymi względami, ponieważ Tranai nie było całkowicie i w pełni doskonałe. Być może Marvin powinien zaakceptować propozycję zostania Najwyższym Prezydentem, by wprowadzić potrzebne reformy. Nie miało jednak sensu się z tym spieszyć...

— Halo, proszę pana — usłyszał nagle jakiś głos — czy ma pan może choć jednego zbędnego deglona?

Goodman spojrzał w dół i zobaczył nie domytego starego człowieka w łachmanach, który siedział w kucki na chodniku, z cynowym kubkiem w dłoniach.

— Co? — spytał Marvin.

— Czy masz może zbędnego deglona, bracie? — spytał mężczyzna przymilnym tonem. — Nie mógłbyś dopomóc biedakowi, który chciałby wypić kubek ogło? Bo ja, proszę pana, nie jadłem nic już od dwóch dni.

— Ależ to hańba! Człowieku, dlaczego nie weźmiesz blastera i kogoś nie obrabujesz?

— Jestem za stary — powiedział mężczyzna płacząco. — Ofiary po prostu wyśmiewają mnie.

— Czy aby na pewno nie jest pan zwyczajnie leniwy? — spytał surowo Goodman.

— Nie, nie jestem, proszę pana! — oznajmił żebrak. — Proszę tylko spojrzeć, jak drżą mi ręce!

Wyciągnął przed siebie obie brudne łapy; faktycznie, trzęsły się nielicho.

Goodman wyjął portmonetkę i dał staremu deglona.

— Sądziłem, że na Tranai nie ma nędzy — stwierdził. — Wydawało mi się, że rząd opiekuje się starszymi ludźmi.

— Tak, rząd to robi — powiedział starzec. — Proszę spojrzeć.

Podsunał swój cynowy kubek przed oczy Goodmana. Z boku wygrawerowany był na nim napis: licencjonowany ŻEBRAK RZĄDOWY, NUMER DR-43241-3.

— Czy to znaczy, że rząd zmusza pana do żebrania?

— Nie, rząd zezwala mi to robić — stwierdził z godnością starzec. — Żebractwo jest zajęciem

rządowym, zarezerwowanym dla ludzi starych i niedołężnych.

— Przecież to poniżające!

— Musi pan tu być od niedawna.

— Jestem Ziemianinem.

— Aha, rozumiem! Jesteście istotami dość nerwowymi i hałaśliwymi, prawda?

— Być może, ale nasz rząd nie dopuszcza, by ludzie żebrali na ulicach.

— Nie? Więc co robią starzy ludzie? Żyją na koszt swoich dzieci? A może siedzą w jakimś domu dla starców i czekają na śmierć z nudów? Tu, młody człowieku, nie ma miejsca na nic takiego! Na Tranai każdy stary człowiek otrzymuje pewną pracę rządową, taką, do której nie potrzeba specjalnych umiejętności, jakkolwiek są one pomocne i w tym zawodzie. Niektórzy starają się o pracę w zamkniętych pomieszczeniach takich na przykład jak kościoły lub teatry. Inni wolą zgiełk jarmarków lub zabaw karnawałowych. Osobiście wolę pracę na dworze. Dzięki temu mogę przebywać na słońcu i korzystać ze świeżego powietrza, a przy okazji rozprostowuję nieco kości i spotykam wielu dziwnych i interesujących ludzi, takich na przykład, jak pan.

— Ale przecież to żebranie!

— A do jakiej innej pracy mógłbym się nadawać?

— Nie wiem... Ale niech pan tylko spojrzy na siebie! Jest pan brudny, ma pan na sobie paskudne, nie prane łachmany...

— To mój strój roboczy — zastrzegł rządowy żebrak. — Powinien mnie pan zobaczyć w niedzielę!

— A ma pan inne ubranie?

— Czy mam ubranie? Jasne, że tak, a poza tym śliczne, niewielkie mieszkanko, wynajętą lożę w operze, dwa domowe roboty, a także taką sumę pieniędzy w banku, jakiej pan prawdopodobnie nie widział nigdy w swoim życiu. Miło się z tobą rozmawiało, młody człowieku, i dzięki za twój datek; teraz jednak muszę już wrócić do pracy, a tobie radziłbym zrobić to samo.

Goodman ruszył przed siebie, spoglądając przez ramię na rządowego żebraka. Obserwował przez jakiś czas, jak starzec uprawia swój kwitnący interes.

Ale żebranina!

Nie, ten proceder stanowczo powinien zostać ukrócony! Gdyby kiedykolwiek objął prezydenturę — a wyglądało na to, że powinien tak zrobić — przyjrzałby się całej tej sprawie ze szczególną wnikliwością.

Wydawało mu się, że na pewno istnieje jakaś możliwość, która pozwoliłaby rozwiązać ten problem z większym poszanowaniem dla ludzkiej godności.

Znalazszy się w Budynku Idriga, Goodman powiedział Melithowi o swoich małżeńskich planach.

Minister do spraw imigracji odniósł się do nich z entuzjazmem.

— Rewelacyjnie, naprawdę rewelacyjnie — oznajmił. — Znam rodzinę Vley już od dawna. To wspaniali ludzie. A Janna jest dziewczyną, z której każdy mężczyzna mógłby być dumny.

— Czy są formalności, których powinienem w związku z tym dopełnić? — spytał Goodman. — Chodzi mi o to, że jestem cudzoziemcem i takie tam różne...

— Nie ma żadnych formalności. Zdecydowałem, że z nich zrezygnujemy. Jeżeli sobie życzysz, możesz zostać obywatelem Tranai, po prostu werbalnie wyrażając taką intencję. Lub też — bez żadnej urazy z naszej strony — możesz zachować ziemskie obywatelstwo. Możesz także pozostać zarówno obywatelem Ziemi, jak i Tranai. Jeśli Ziemia nie ma nic przeciwko temu, my na pewno nie będziemy się sprzeciwiać.

— Myślę, że chciałbym zostać obywatelem Tranai — stwierdził Marvin.

— To zależy wyłącznie od ciebie. Jeśli jednak masz na uwadze stanowisko Najwyższego Prezydenta, możesz zachować ziemskie obywatelstwo i mimo to objąć ten urząd. Jednym z naszych najbardziej udanych Najwyższych Prezydentów był pewien jaszczuropodobny gość z Aquarelli XI.

— Cóż za postępowy punkt widzenia!

— Jasne, nasze motto brzmi: „Dać szansę każdemu”. Przejdźmy teraz do spraw twojego małżeństwa; otóż dowolny urzędnik rządowy może dopełnić tej ceremonii. Najwyższy Prezydent Borg byłby szczęśliwy, czyniąc to; jeśli sobie życzysz, mogłoby to być dziś wieczorem. — To mówiąc, Melith mrugnął porozumiewawczo. — Rozumiem, stary kutwa ma ochotę pocałować pannę młodą... Ale tak na serio myślę, że on szczerze cię lubi.

— Dziś wieczorem? — spytał Goodman z niedowierzaniem. — Tak, oczywiście, że chciałbym ożenić się dziś wieczorem, jeżeli Janna nie będzie miała nic przeciwko temu.

— Najprawdopodobniej nie będzie — zapewnił go Melith. — Druga sprawa: gdzie zamierzacie zamieszkać po spędzeniu miesiąca miodowego? Pokój hotelowy nie będzie raczej odpowiednim miejscem.

Minister do spraw imigracji zastanowił się przez chwilę.

— Powiem ci, co zrobimy — oznajmił. — Na skraju miasta mam niewielki dom. Dlaczego nie mielibyście przenieść się tam, dopóki nie znajdziecie czegoś lepszego? Jeżeli wam się spodoba, będziecie mogli tam zostać na stałe.

— Jesteś naprawdę zbyt hojny — zaprotestował Goodman.

— Nie zwracaj sobie tym głowy. Tak a propos, czy myślałeś kiedykolwiek o zostaniu kolejnym ministrem do spraw imigracji? To mogłoby ci się spodobać. Żadnej biurokracji, ruchomy czas pracy, dobra pensja... Co, nie? Masz oko na urząd Najwyższego Prezydenta, prawda? Cóż, myślę, że trudno cię o to obwiniąć — całkiem nęcąca propozycja.

Melith pogrzebał w kieszeniach i odnalazł tam dwa klucze.

— Ten otwiera drzwi frontowe, a ten kuchenne — oznajmił. — Adres jest wytłoczony na kluczach. Dom posiada kompletne wyposażenie, wliczając w to nowiusieńki generator pola deprywacyjnego.

— Deprywator?

— Właśnie. Żaden dom na Tranai nie może się bez niego obejść.

Odchrząknąwszy, Goodman odezwał się ostrożnie:

— Od jakiegoś czasu zamierzałem cię o to zapytać: do czego właściwie używane jest pole deprywacyjne?

— Cóż, do tego, żeby trzymać w nim żony — odrzekł Melith. — Myślałem, że już o tym wiedziałeś.

— Tak, wiedziałem — potwierdził Goodman. — Ale po się to robi?

— Po co...? — powtórzył bezradnie Melith; najwyraźniej to pytanie nigdy nie przyszło mu do głowy. — A dlaczego robi się akurat to, a nie co innego? Taki jest zwyczaj i tyle. Jest on bardzo logiczny. Nikt przecież nie chce, żeby kobieta trzeszczała mu nad uchem przez cały czas, we dnie i w nocy.

— Nie wydaje mi się, żeby to było uczciwe wobec kobiet — zauważył Goodman.

Melith roześmiał się.

— Mój drogi przyjacielu, czy aby nie zamierzasz wygłaszać mi tu kazań o doktrynie równości płci? Doprawdy, została ona przecież obalona z kretesem. Mężczyźni i kobiety po prostu nie są tacy sami. Różnią się od siebie, niezależnie od tego, co powiedziano ci na ten temat na Ziemi. To, co dobre dla mężczyzn, niekoniecznie jest dobre również dla kobiet.

— I z tego powodu traktujecie je jako coś gorszego? — spytał Goodman, podczas gdy jego krew reformatora zaczęła się w nim po prostu gotować.

— W żadnym wypadku. Traktujemy je w inny sposób niż mężczyzn, ale z pewnością nie gorszy. W każdym razie one nie mają nic przeciwko temu.

— To dlatego, że nie dopuszczono, by znały jakiegokolwiek inne traktowanie. Czy istnieje jakieś

prawo, które wymaga ode mnie, abym przechowywał żonę w polu deprivacyjnym?

— Oczywiście, że nie. Obyczaj po prostu skłania mężczyznę, by utrzymywał małżonkę poza polem deprivacyjnym przez określoną ilość czasu w ciągu każdego tygodnia. Rozumiesz, to nieuczciwe więzić nasze miłutkie kobietki.

— Jasne, że nie — stwierdził sarkastycznie Goodman. — Trzeba pozwolić im pożyć choćby trochę.

— Dokładnie — oznajmił Melith, nie słysząc sarkazmu w słowach Mandna. — Na pewno zrozumiesz niedługo, na czym to polega.

Goodman wstał.

— Czy to wszystko? — rzucił pytanie.

— Sądzę, że mniej więcej tak. Przyjmij moje najlepsze życzenia i te tam takie.

— Dziękuję — odpowiedział oziębło Goodman, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Tego samego wieczoru Najwyższy Prezydent Borg odprawił prosty tranaiński rytuał małżeński w Pałacu Narodowym, a potem z zapalem ucałował pannę młodą. Ceremonia była bardzo miła i została zmacona przez jeden tylko szczegół.

Na ścianie gabinetu Borga wisiał mianowicie karabin z celownikiem optycznym i tłumikiem. Był dokładnie taki sam jak u Melitha, a jego obecność wydawała się tak samo niewytłumaczalna.

W pewnym momencie Borg wziął Goodmana na stronę i zadał mu pytanie:

— Czy przemyślałeś już sprawę propozycji zostania Najwyższym Prezydentem?

— Wciąż ją rozważam — odrzekł Marvin. — Tak naprawdę nie marzę o tym, by pełnić jakąkolwiek funkcję publiczną...

— Nikt o tym nie marzy.

— ...są jednak pewne reformy, które moim zdaniem należy koniecznie przeprowadzić na Tranai. Sądzę, że być może mam obowiązek zwrócić na nie uwagę ogółu.

— Oto prawdziwy duch pracy dla społeczeństwa — stwierdził Borg aprobowująco. — Od jakiegoś czasu na Tranai nie było naprawdę przedsiębiorczego Najwyższego Prezydenta.

Dlaczego nie miałbyś objąć urzędu od zaraz? Potem moglibyście spędzić swój miesiąc miodowy w Pałacu Narodowym, naturalnie z zachowaniem prywatności i dyskrecji.

W cichości ducha Goodman miał na to ochotę. Nie chciał jednak, by w czasie miodowego miesiąca zwracano mu głowę sprawami państwowymi, tym bardziej że wszystko już sobie zaplanował. Skoro zaś Tranai przetrwało aż do teraz w swym obecnym, niemal utopijnym kształcie, niewątpliwie będzie w stanie potrwać w nim jeszcze przez kilka kolejnych tygodni.

— Rozważę to po powrocie — stwierdził.

Borg wzruszył ramionami.

— Cóż, przypuszczam, że będę w stanie jeszcze trochę dźwigać ciężar odpowiedzialności. Aha, to dla ciebie — oznajmił, podając Goodmanowi zapieczętowaną kopertę.

— Co to jest?

— To zwyczajna, standardowa porada. No, ruszaj, panna młoda czeka na ciebie.

— Chodź, Marvin! — zawołała Janna. — Nie chcemy przecież spóźnić się na statek kosmiczny!

Goodman popędził za nią do przysłanej z kosmoportu limuzyny.

— Powodzenia! — wołali rodzice dziewczyny.

— Życzę szczęścia! — krzyknął za nimi Borg.

— Wszystkiego najlepszego! — zawołał Melith i jego żona oraz pozostali goście.

W drodze do kosmoportu Goodman odpieczętował kopertę i przeczytał zawartą w niej drukowaną ulotkę:

PORADA DLA PANA MŁODEGO

Nadszedł ważny dla ciebie moment: właśnie wziąłeś ślub i masz nadzieję, iż spędzisz swe dalsze życie w rozkoszach stanu małżeńskiego. Jest to jak najbardziej uzasadnione oczekiwanie, ponieważ, jak wiadomo, szczęśliwe małżeństwo jest podstawą zdrowego społeczeństwa. Powinieneś jednak uczynić nieco więcej, niż tylko biernie oczekiwać szczęścia. Udane małżeństwo nie stanie się twoim udziałem jedynie na mocy jakiegoś boskiego nakazu. Na dobre małżeństwo trzeba sobie zapracować!

Pamiętaj, iż twoja żona jest także istotą ludzką. Ma ona niezbywalne prawo do przyznania jej wolności w pewnym określonym zakresie. Proponujemy ci, byś wydobywał ją przynajmniej raz w tygodniu z pola zastoju deprywacyjnego. Zbyt długie okresy spędzone w tym polu mogą oddziaływać negatywnie na jej zmysł orientacji. Mogą być także szkodliwe dla cery, co w konsekwencji oznaczałoby stratę zarówno dla niej, jak i dla ciebie.

W czasie przerw w pracy, takich na przykład jak urlopy lub wakacje, przyjęte jest pozostawianie

żony poza polem deprivacyjnym za każdym razem przynajmniej przez cały dzień, a nawet przez dwa lub trzy dni. Nikomu to nie zaszkodzi, a nowe wrażenia mogą mieć nieoceniony wpływ na stan jej umysłu.

Prosimy, byś miał na względzie te nieliczne, zgodne ze zdrowym rozsądkiem reguły; jeśli się do nich zastosujesz, możesz być całkowicie pewien, iż twoje małżeństwo będzie szczęśliwe.

RADA MAŁŻEŃSKA

PLANETY TRANAI

Goodman podarł kartkę na drobniutkie kawałeczki, a potem wypuścił je z dłoni; wolno opadły na podłogę limuzyny.

Pod wpływem lektury tej ulotki jego duch reformatorski doznał pełnego przebudzenia. Przeczuwał już wcześniej, iż Tranai, jakie chciał widzieć, ma zbyt wiele zalet, by mogły one być prawdziwe. Ktoś musiał płacić za tę perfekcję. W tym wypadku zaś okazało się, że cenę tę płać kobiety.

Właśnie odnalazł pierwszą poważną usterkę w tym społecznym rajku.

— Kochanie, co to było? — spytała Janna, spoglądając na znajdujące się na podłodze kawałki papieru.

— Nic takiego, tylko pewna bardzo głupia porada — stwierdził Goodman. — Moja droga, czy zastanawiałaś się kiedyś nieco głębiej nad obyczajami małżeńskimi, panującymi na twojej planecie?

— Nie sądzę, żebym to robiła. A czy coś z nimi jest nie tak?

— Są złe, zupełnie błędne. Kobieta traktowana jest w nich jak zabawka, jak laleczka, którą mężczyzna odkłada gdzieś w kąt, gdy dosyć się już nią nabawił. Czy ty tego nie widzisz?

— Szczerze mówiąc, nigdy o tym nie myślałam.

— No cóż, możesz teraz o tym pomyśleć — stwierdził Goodman — ponieważ szykują się pewne zmiany w kwestii traktowania kobiet, a zaczną się one od naszego domu.

— Cokolwiek wymyślisz, kochanie, z pewnością będzie to dla mnie najlepsze — stwierdziła ufnie Janna. Przytuliła się do ramienia Marvina, a on ją pocałował.

Potem zaś limuzyna dotarła do kosmoportu i oboje weszli na pokład statku kosmicznego.

Ich miesiąc miodowy na Doe okazał się krótkim pobytom w całkowicie pozbawionym usterek rajku. Wszystkie wspaniałości niewielkiego tranaińskiego księżycza zostały stworzone dla kochających się

nowożeńców, i tylko dla nich. Żaden biznesmen nie przybywał na Doe, by zażyć krótkiego odpoczynku; żaden drapieżnik — kawaler nie grasował po tutejszych ścieżkach. Ekscentrycy, ludzie pozbawieni złudzeń, ci, którzy snuli w głębi duszy lubieżne fantazje o zdobywaniu niewinnych ofiar, musieli znaleźć sobie inne miejsca do rozwijania swej podejrzanej działalności. Jedyna zasada, która obowiązywała na Doe, ale była za to ściśle przestrzegana, polegała na tym, iż przebywały tu jedynie pary, radosne i zakochane, i nikt inny nie miał prawa do korzystania z tutejszych cudów.

Był to jak do tej pory jedyny tranaiński obyczaj, z którego zaakceptowaniem Goodman nie miał żadnych kłopotów.

Na tym niewielkim, przytulnym księżycu znajdowały się porośnięte wysoką trawą łąki, głębokie gęste lasy, po których można było spacerować, dające chłód ciemne jeziora oraz dzikie, malownicze góry, dopraszające się wręcz o to, by się na nie wspinać. Kochankowie niemal bez przerwy gubili się gdzieś w głębi lasu; nie sposób było jednak w nim tak naprawdę zabłądzić, ponieważ całe Doe dawało się obejść w ciągu jednego dnia. Dzięki niewielkiej grawitacji nikt, nawet usilnie się o to starając, nie utopiłby się w głębokim, ciemnym leśnym jeziorze, zaś przy upadku z górskiego szczytu miało się oczywiście niezłego stracha, jednak był on w gruncie rzeczy raczej niegroźny.

W strategicznych punktach Doe znajdowały się niewielkie hoteliki z cocktail–barami, w których panowała przytulna ciemność, prowadzonymi przez przyjaznych starszych barmanów o posiwiałych skroniach. Były tu także posępne groty ciągnące się głęboko (ale nigdy zbyt głęboko) ku fosforyzującym w mroku jaskiniom, których ściany błyszczały od lodu; wędrując przez nie, napotykało się leniwe, podziemne rzeki, w których pływały dostojnie wielkie połyskliwe ryby o płonących dziwnych blaskiem oczach.

Rada Małżeńska Tranai uważała, iż te proste atrakcje są w zupełności wystarczające i nie kłopotowała się dodawaniem do nich pól golfowych, basenów, torów wyścigów konnych ani hal do gry w kręgle. Wychodzono z założenia, że w momencie, gdy zakochanej parze zechce się tych rozrywek, będzie to oznaczać, iż powinna zakończyć miesiąc miodowy.

Goodman wraz ze swą świeżo poślubioną żoną spędzili na Doe czarujący tydzień pełen wspaniałych przeżyć, po czym wrócili na Tranai.

Przeniósłszy pannę młodą przez drzwi ich nowego domu, Goodman wprowadził w życie swą pierwszą małżeńską decyzję, polegającą na wyłączeniu z sieci deprywatora.

— Moja droga — powiedział do Janny. — Do tej pory przestrzegałem wszystkich tranaińskich obyczajów, niezależnie od tego, jak śmieszne lub dziwne mogły mi się one wydawać. Jednak do tego nie zamierzam przyłożyć ręki. Na Ziemi byłem jednym z założycieli Komitetu na Rzecz Równych Możliwości Zatrudnienia dla Kobiet. Na planecie, z której pochodzę, mężczyźni traktują kobiety jak równe sobie, przyjaciółki, partnerki w wielkiej przygodzie życia.

— Cóż za dziwny pomysł — skomentowała Janna, zmarszczywszy swe śliczne brwi.

— Zastanów się nad tym nieco głębiej — nalegał Goodman. — Jeśli zastosujemy te partnerskie zasady, nasze życie stanie się znacznie bogatsze niż w wypadku, gdybym schował cię za czarczafem pola deprivacyjnego, nie sądzisz?

— Mój kochany, wiesz znacznie więcej niż ja. Zanim się poznaliśmy, podróżowałeś przez całą Galaktykę, a ja nigdy nie opuściłam Port Tranai. Jeśli uważasz, iż tak będzie lepiej, to znaczy, że na pewno masz rację.

Goodman pomyślał, że Janna jest niewątpliwie najdoskonalszą ze znanych mu kobiet.

Powrócił do swej pracy w Zakładach Produkcji Robotów domowego Użytku Abbaga i wkrótce zagłębił się po same uszy w realizacji następnego projektu pogarszania robotów; tym razem wpadł na błyskotliwy pomysł takiego skonstruowania robota, by jego złącza zaczęły skrzypieć i zgrzytać. Dźwięki te spowodowałyby niewątpliwie wzrost jego właściwości irytacyjnych, co z kolei uczyniłoby zniszczenie go bardziej satysfakcjonującym, a tym samym bardziej wartościowym pod względem psychologicznym. Pan Abbag wprost nie posiadał się z radości. Usłyszawszy o tym pomysle, dał Marvinowi kolejną podwyżkę i poprosił go, by przygotował swą pogarszającą modyfikację do wprowadzenia w krótkiej, eksperymentalnej serii robotów.

Początkowe zamierzenia Goodmana polegały po prostu na tym, by usunąć niektóre spośród kanalików, służących do naoliwiania robota w czasie pracy. Marvin odkrył jednak, iż tarcie doprowadziłoby do zbyt szybkiego zużycia istotnych części maszyny. Do tego zaś, oczywiście, nie można było dopuścić.

Rozpoczął więc szkicowanie planów, zgodnie z którymi mogłaby być później skonstruowana sekcja zgrzytająco–trzeszcząca mechanizmu robota. Dźwięki te musiałyby być absolutnie realistyczne i nie powodujące równocześnie żadnego istotnego zużycia części. Sam element zaś powinien być niedrogi, a zarazem niewielki, ponieważ wewnątrz robota już w tej chwili wypełnione było różnego rodzaju pogorszeniami.

Marvin stwierdził nie bez irytacji, że małe sekcje zgrzytająco–trzeszczące wydają sztuczne, nierzeczywiste tony, natomiast większe elementy są zbyt kosztowne w produkcji lub też nie mieszczą się w obudowie robota. Goodman zaczął pracować również wieczorami, stracił na wadze i zaczął wpadać w drażliwy nastrój.

Janna okazała się dobrą żoną, na której można było polegać. Posiłki przygotowywała zawsze na czas; każdego wieczoru miała dla Manina w zanadrzu jakieś dobre, pełne otuchy słowa oraz wysłuchiwała ze współczuciem relacji o jego trudnościach. W ciągu dnia nadzorowała roboty domowe sprzątające mieszkanie. Zajmowało to niecałą godzinę; później Janna czytała książki, piekła paszteciki, szydełkowała i niszczyła roboty.

Goodman był tym nieco zaniepokojony, bo Janna robiła to z częstotliwością trzech — czterech razy w ciągu tygodnia.

Cóż, każdy musi mieć przecież jakieś hobby. On jednak mógł pobłażać jej zamiłowaniu, ponieważ kupował roboty w swojej fabryce po kosztach produkcji.

Marvin wpadł w kompletny impas ze swoją sekcją zgrzytająco–trzeszczącą. Inny projektant, o nazwisku Dath Hergo, wynalazł w tym czasie nowy sposób regulacji automatów. Oparty był on na zasadzie przeciwyroskopowej i pozwalał robotowi na wchodzenie do pokoju z dziesięciostopniowym przechyłem. (Przechył dziesięciostopniowy, jak twierdzili ludzie z Wydziału Badawczego, był najbardziej irytującym kątem, pod jakim mógł się ustawić.) Co więcej, wykorzystując zasadę sterowania stochastycznego, można było spowodować, by robot nierytmicznie słaniał się na nogach, w sposób typowo pijacki i niezmiernie dokuczliwy dla jego właścicieli, niczego wprawdzie nie upuszczając, ale stale balansując na krawędzi katastrofy.

Udoskonalenie to okrzyknięto oczywiście niezwykłym osiągnięciem inżynierii pogarszającej. Goodman zaś stwierdził, że będzie w stanie umieścić swą sekcję trzeszcząco–zgrzytającą w systemie kontroli słaniania się na nogach. Marvin został wymieniony w czasopiśmie poświęconych inżynierii pogarszającej zaraz pod Dathem Hergo.

Gdy nowa seria robotów domowego użytku Abbaga pojawiła się na rynku, z miejsca zrobiła furorę.

W tym samym czasie Goodman postanowił wziąć urlop z pracy i objąć urząd Najwyższego Prezydenta Tranai. Czuł, że jest to winien ludziom. Jeśli jego ziemską pomysłowość i zaradność była w stanie doprowadzić do udoskonaleń w pogarszaniu, to tym bardziej będzie mogła udoskonalać w dziedzinie ulepszania. Tranai już było niemal utopią. Gdy on, Goodman, ujmie ster tej planety w swe ręce, Tranaińczycy pokonają pod jego kierunkiem resztę drogi do ideału.

Wybrał się do Melitha, by przedyskutować z nim swoją decyzję.

— Sądzę, że zawsze znajdzie się jeszcze jakaś możliwość przeprowadzenia zmian — stwierdził z namysłem minister do spraw imigracji. Siedział właśnie przy oknie, leniwie obserwując przechodniów. — Oczywiście — kontynuował — nasz obecny system działał przez dość długi czas i można powiedzieć, że funkcjonował bardzo dobrze. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co mógłbyś w nim poprawić. Ot, na przykład, nie ma u nas przestępstw...

— Dlatego, że je zalegalizowaliście — oznajmił Goodman. — W ten sposób po prostu sprytnie obeszlście cały problem.

— Nie wydaje nam się, by tak było. Poza tym brak u nas nędzy...

— Bo wszyscy kradną. Nie macie też kłopotu ze starszymi ludźmi, ponieważ rząd czyni z nich żebraków. Doprawdy, jest tu dużo miejsca na zmiany i udoskonalenia.

— Cóż, być może... — zaczął Melith. — Myślę jednak, że... — nagle przerwał, pospieszył w stronę ściany i ściągnął z niej karabin.

— Oto jest! — wykrzyknął z satysfakcją.

Goodman wyjrzał przez okno. Przechodził właśnie pod nim mężczyzna, najwyraźniej nie różniący się niczym innym od przeciętnych przechodniów. Marvin usłyszał jakby stłumione mlaśnięcie i

zobaczył jak przechodzić ślania się, a potem pada na chodnik.

Melith zastrzelił go właśnie za pomocą swego karabinu z tłumikiem.

— Dlaczego to zrobiłeś? — wykrztusił niemal bez tchu Goodman.

— To był potencjalny morderca — odrzekł Melith.

— Co?!

— Oczywiście sprawa. Tu, na Tranai, nie mamy przejawów otwartej działalności kryminalnej, ale, będąc w końcu ludźmi, musimy liczyć się z potencjalnymi zbrodniczymi skłonnościami.

— A co on takiego zrobił, że uznano go za potencjalnego mordercę?

— Zabił pięcioro ludzi — skonstatował Melith.

— Ale... do cholery, człowieku, przecież to nieuczciwe! Nie zaaresztowałeś go, nie postawiłeś przed sądem, nie pozwoliłeś skorzystać z usług obrońcy...

— W jaki sposób miałbym to zrobić? — spytał Melith, lekko zirytowany. — Nie mamy przecież policji, która mogłaby aresztować ludzi, ani też żadnego systemu prawnego. Dobry Boże, chyba nie chciałbyś, żebym po prostu pozwolił mu odejść, prawda?! Nasza definicja mordercy oznacza zabójcę dziesięciorga ludzi, a ten był na najlepszej drodze, by spełnić ten warunek. Nie mogłem po prostu siedzieć z założonymi rękami, kiedy on tędy przechodził. Ochrona ludzi przed takimi jak on jest moim obowiązkiem. Mogę cię zapewnić, że przedtem przeprowadziłem drobiazgowe śledztwo w tej sprawie.

— Ale to niesprawiedliwe! — wykrzyknął Goodman.

— A kto powiedział, że to ma być sprawiedliwe?! — odpowiedział krzykiem Melith. — Co sprawiedliwość może mieć wspólnego z utopią?

— Wszystko! — odpowiedział Goodman, uspokoiwszy się nadludzkim wysiłkiem. — Sprawiedliwość jest podstawą ludzkiej godności, ludzkich dążeń...

— To są tylko frazesy — stwierdził Melith ze swym zwykłym poczciwym uśmiechem na twarzy. — Spróbuj być realistą. Stworzyliśmy utopię dla istot ludzkich, a nie dla świętych, którzy żadnej utopii nie potrzebują. Musimy zaakceptować słabości ludzkiej natury, a nie próbować upierać się, że one nie istnieją. Uważamy, że aparat policyjno-sądowy ma tendencję do tworzenia kryminalnej atmosfery i, w konsekwencji, akceptacji przestępstwa. Wierz mi, że lepiej jest w ogóle nie akceptować samej możliwości popełniania przestępstw. Ogromna większość ludzi zgodziłaby się ze mną w tym względzie.

— Gdy jednak zdarza się przestępstwo, co, jak obaj wiemy, jest nieuniknione...

— Pojawia się jedynie możliwość popełnienia przestępstwa — zawzięcie upierał się Melith. — A

nawet to ma miejsce znacznie rzadziej niż może ci się wydawać. Gdy już jednak mamy z tym do czynienia, radzimy sobie w sposób szybki i prosty.

— A nie przypuszczasz, że mogłeś dorwać niewłaściwego człowieka?

— To nieprawdopodobne. Nie ma najmniejszej możliwości, by tak było.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ — odrzekł Melith — każdy, kto został wyeliminowany przez urzędnika rządowego jest, zgodnie z definicją i na mocy nie pisanego prawa, potencjalnym kryminalistą.

Marvin przez chwilę milczał. Potem stwierdził:

— Widzę, że rząd ma tu większą władzę niż początkowo przypuszczałem.

— Rzeczywiście ma — zgodził się Melith — ale nie aż taką, jak sobie w tej chwili wyobrażasz.

Goodman uśmiechnął się ironicznie.

— Czy wciąż mogę się ubiegać o Najwyższą Prezydenturę?

— Oczywiście. I nie ma w tym żadnych ukrytych kruczków. Chcesz objąć to stanowisko?

Goodman przez moment zastanowił się głęboko. Czy naprawdę tego chciał? Cóż, ktoś musiał rządzić Tranai, ktoś musiał wziąć odpowiedzialność za ochronę ludzi. Ktoś musiał przeprowadzić kilka niezbędnych reform w tym utopijnym domu wariatów.

— Tak, chcę — odpowiedział.

Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem i do wnętrza wpadł Najwyższy Prezydent Borg.

— Wspaniale! Naprawdę wspaniale! — wykrzyknął. — Już dzisiaj możesz wprowadzić się do Pałacu Narodowego! Od tygodnia jestem spakowany i czekam, aż podejmiesz decyzję.

— Jednak muszą istnieć określone formalności, które należy przeprowadzić...

— Żadnych formalności — stwierdził Borg z twarzą lśniąca od potu. — Kompletnie żadnych. Wszystko, co musimy zrobić — to dokonać przekazania Prezydenckiego Medalionu; potem zejść na dół, usunąć swoje nazwisko z listy i wpiszę na nią twoje.

Goodman spojrzał na Melitha. Okrągła twarz ministra do spraw imigracji nie wyrażała żadnego uczucia.

— W porządku — zgodził się Marvin.

Borg sięgnął do Prezydenckiego Medalionu, zaczął zdejmować go z szyi...

Zupełnie nieoczekiwanie medalion eksplodował z wielką mocą.

Manrin stwierdził, że właśnie patrzy ze zgrozą na odrażające, krwawe resztki strzaskanej głowy Borga. Najwyższy Prezydent przez chwilę chwiał się na nogach, a potem runął na podłogę.

Melith zdjął kurtkę i narzucił ją na pozostałości głowy Borga. Goodman zrobił tyłem kilka kroków w stronę fotela i opadł nań bezsilnie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie zdołał wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

— Naprawdę szkoda — skonstatował Melith. — Tak niewiele brakowało, by skończył się okres jego urzędowania. Ostrzegałem go, by nie dawał zezwolenia na ten nowy kosmoport. Mówiłem mu, że obywatele tego nie zaakceptują. On jednak upierał się, że chcieliby mieć dwa kosmoporty. Cóż, najwyraźniej był w błędzie.

— Czy chcesz powiedzieć, że... Chodzi mi o to... jak... co... — jąkał się Marvin.

— Wszyscy urzędnicy rządowi — wyjaśnił Melith — noszą na szyi służbowy medalion, który zawiera, jak wymaga tego tradycja, ładunek tessium, materiału wybuchowego, o którym być może słyszałeś. Ładunek ten jest kontrolowany radiowo z Lokalu Obywatelskiego. Mają do niego dostęp wszyscy obywatele, by móc wyrazić swoje niezadowolenie z działań rządu — mówiąc to, Melith westchnął. — To, co się właśnie zdarzyło, zostanie zapisane jako nieusuwalna, ciemna plama w aktach biednego Borga.

— Pozwalacie ludziom wyrazić swoje niezadowolenie przez wysadzanie w powietrze urzędników państwowych? — wychrypiał przerażony Goodman.

— To jedyny sposób, który może mieć na nich wpływ — stwierdził Melith. — Wzajemna kontrola i równowaga. Podobnie jak ludzie są w naszych rękach, tak i my jesteśmy w rękach naszych obywateli.

— To dlatego właśnie chciał, żebym przejął jego obowiązki przed upływem kadencji! Dlaczego nikt mi o tym wcześniej nie powiedział?

— Bo o to nie pytałeś — odpowiedział Melith, na którego wargach błędził teraz uśmiezek. — Nie bądź taki przerażony. Skrytobójstwo jest zawsze możliwe, na każdej planecie, niezależnie od panującego na niej systemu sprawowania rządów. My po prostu próbujemy uczynić je konstruktywnym działaniem. W naszym systemie ludzie nigdy nie tracą kontaktu z rządem, rząd zaś nigdy nie próbuje uzyskać władzy dyktatorskiej. A ponieważ każdy wie, że zawsze może się udać do Lokalu Obywatelskiego, zdziwiłbyś się, jak rzadko to prawo jest wykorzystywane. Oczywiście, zawsze trafiają się w gorącej wodzie kąpani...

Goodman wstał i ruszył w stronę drzwi, starając się nie patrzeć na ciało Borga.

— Czy wciąż chcesz stanowisko Najwyższego Prezydenta? — spytał go Melith.

— Nie!

— Tak to właśnie jest z wami, Ziemią — zauważył smętnie Melith. — Jesteście w stanie przyjmować odpowiedzialność pod warunkiem, że nie oznacza ona ponoszenia jakiegoś ryzyka. To niewłaściwe podejście, jeśli chce się stworzyć sprawny rząd.

— Może masz rację — odparł Goodman. — Cieszę się tylko, że udało mi się w porę wszystkiego dowiedzieć.

W pośpiechu udał się do domu.

Wchodząc tam, miał w głowie kompletny zamęt. Czy Tranai było utopią, czy też szpitalem dla wariatów o rozmiarach planety? Czy w gruncie rzeczy sprawiało to jakąś wielką różnicę? Po raz pierwszy Goodman zaczął się zastanawiać, czy utopię warto wprowadzać w życie. Czy nie lepiej jest dążyć do doskonałości niż ją osiągnąć? Mieć jakieś ideały, niż żyć w świecie, w którym zostały zrealizowane? A jeśli sprawiedliwość była złudzeniem, to czy nie jest ono lepsze niż rzeczywistość?

A może nie jest lepsze? Wlokąc się noga za nogą do domu, Goodman był tylko smutnym, zakłopotanym młodym człowiekiem. Gdy otworzył drzwi, ujrzał swoją żonę w ramionach innego mężczyzny.

Scena, którą zobaczył, wydała mu się przerażająco wyraźna, jak na zwolnionym filmie. Odniósł wrażenie, że upłynęła wieczność, zanim Janna wstała, doprowadziła do porządku szczegóły swej garderoby i zaczęła wpatrywać się w niego z otwartymi ze zdziwienia ustami. Mężczyzna — wysoki, przystojny facet, którego Goodman nigdy przedtem nie widział — wydawał się zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć. Zaczął wykonywać niewielkie, bezcelowe gesty: czyścił z niewidzialnych pyłków klapy swojej kurtki, obciągał mankiety. Potem uśmiechnął się niezobowiązująco.

— No i co? — spytał Goodman. Powiedział to dość cicho, biorąc pod uwagę okoliczności, jednak uzyskał jakiś efekt.

Janna uderzyła w płacz.

— Strasznie mi przykro — wymamrotał mężczyzna. — Spodziewaliśmy się, że wróci pan do domu dopiero za kilka godzin. To musi być dla pana szok. Naprawdę okropnie mi przykro.

Jedyną rzeczą, której Marvin nie oczekiwał ani też sobie nie życzył, była w tej chwili sympatia ze strony kochanka żony. Zignorował więc faceta, patrząc na szlochającą wciąż Janne.

— No a czego się spodziewałeś?! — nieoczekiwanie wrzasnęła dziewczyna. — Byłam zmuszona! Ty mnie przecież nie kochałeś!

— Nie kochałem cię?! Dlaczego?! Jak możesz tak mówić?!

— Dlatego, że mnie ignorowałeś!

— Bardzo cię kochałem, Janno — powiedział miękko Goodman.

— Nieprawda! — zawodziła, odrzuciwszy głowę w tył. — Spójrz sam na to, jak mnie traktowałeś.

Musiałam przez cały dzień być na nogach, wykonując różnego rodzaju prace domowe, gotując lub siedząc beczynnie. Marvin, ja po prostu czułam, że starzeję się z każdą chwilą. Dzień po dniu, w tej samej męczącej, oglupiającej rutynie. W większości przypadków przychodząc do domu byłeś zbyt zmęczony, by nawet mnie zauważyć. A jedyny temat, o którym potrafiłeś rozmawiać, to te twoje głupie roboty! Czułam, że się marnuję, Marvin, marnowałam się z każdą chwilą!

Nagle do Goodmana dotarło, do jakiego stopnia jego żona wyprowadzona jest z równowagi. Bardzo łagodnie powiedział:

— Ależ Janno, przecież takie właśnie jest życie. Mąż i żona zawierają partnerski układ, polegający na wzajemnym wspieraniu się. Starzeją się razem, ramię przy ramieniu. Życie nie może składać się z samych blasków...

— Ależ oczywiście, że może! Spróbuj to zrozumieć, Marvin. Na Tranai życie może być takie... dla kobiety!

— To niemożliwe — stwierdził Goodman.

— Na Tranai kobieta liczy na to, że mąż zapewni jej życie składające się z samych przyjemności i radosnych chwil. To jej prawo, podobnie jak mężczyźni mają swoje prawa. Spodziewa się, że gdy wyłoni się ze stanu deprivacji, spotka ją przygotowane specjalnie dla niej małe przyjęcie, spacer w księżycowym blasku, wycieczka na basen lub do kina. — Janna ponownie zaczęła płakać. — Ale ty chciałeś być taki sprytny. Ty musiałeś to zmienić. Powinnam wiedzieć, że nie wolno zaufać Ziemianinowi.

Mężczyzna, który wciąż był w pokoju, westchnął i zapalił papierosa.

— Wiem, że nie mogłeś nic poradzić na to, że jesteś tu obcy, Marvin — oznajmiła Janna. — Ja naprawdę próbowałam cię zrozumieć. Ale miłość to nie wszystko. Kobieta musi także myśleć w sposób praktyczny. Gdyby dalej miało tak być, skończyłoby się na tym, że zostałamby starą kobietą, podczas gdy wszystkie moje przyjaciółki byłyby wciąż młode.

— Wciąż młode? — powtórzył bezmyślnie Goodman.

— Oczywiście — włączył się mężczyzna. — Kobieta przecież nie starzeje się w polu deprivacyjnym.

— Ależ to okropne — sprzeciwił się Goodman. — W rezultacie moja żona byłaby wciąż młoda, podczas gdy ja byłbym już starcem.

— Wtedy dopiero doceniłbyś to, że masz przy sobie młodą kobietę — skomentowała Janna.

— Ale co z tobą? — spytał Marvin. — Czy ty doceniłabyś starego człowieka?

— On wciąż nie rozumie — stwierdził mężczyzna.

— Marvin, spróbuj to pojąć! Czy to jeszcze nie jest dla ciebie oczywiste?! Przez całe życie

miałbyś przy sobie piękną i młodą kobietę, której jedynym pragnieniem jest zadowolenie cię, zaspokojenie twoich potrzeb. A kiedy umarłbyś — nie bądź taki zszokowany, kochanie, przecież wszyscy umierają — więc gdy umarłbyś, ja byłabym wciąż młoda i na mocy prawa odziedziczyłabym wszystkie twoje pieniądze.

— Zaczynam rozumieć — odezwał się Goodman. — Przypuszczam więc, że następną uświęconą zwyczajem fazą życia Tranaianki jest bycie zamożną, młodą wdową, którą stać na zaspokojenie swoich własnych zachcianek.

— Oczywiście. W ten sposób wszyscy są zadowoleni: mężczyzna ma młodą żonę, którą ogląda tylko wtedy, gdy ma na to ochotę. Ma całkowitą swobodę, a równocześnie miły dom z rodzinną atmosferą. Kobieta unika całej nudy zwykłego, codziennego życia, a potem, gdy wciąż jeszcze może korzystać z jego uroków, jest wystarczająco dobrze zaopatrzona materialnie, by sobie na to pozwolić.

— Powinnaś powiedzieć mi o tym — poskarżył się Goodman.

— Sądziłam, że to wiesz — odrzekła Janna — ponieważ twierdziłeś, iż znasz lepszy sposób na życie. Teraz jednak dostrzegam, że nie rozumiałbyś tego, ponieważ jesteś strasznie naiwny — chociaż, muszę przyznać, jest to cecha, która przydaje ci nieco uroku — mówiąc to, dziewczyna uśmiechnęła się uśmiechem pełnym zadumy. — Poza tym, gdybym ci powiedziała, nigdy w swoim życiu nie spotkałabym Rondo.

Mężczyzna dyskretnie się uklonił.

— Zajmowałem się właśnie akwizycją próbnych egzemplarzy konfekcji Greaha. Może pan sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy spotkałem tę piękną, młodą kobietę poza zastojem. Rozumie pan, to było tak, jakby ziściła się jakaś bajka. Nikt nigdy się nie spodziewa, by pradawne legendy nagle stały się rzeczywistością, musi więc pan przyznać, że ich spełnienie posiada określony urok.

— Czy ty go kochasz? — spytał ponuro Goodman Jannę.

— Tak — odrzekła jego żona. — Rondo będzie się o mnie troszczyć. Zamierza utrzymać mnie w zastojem wystarczająco długo, żebym mogła nadrobić czas, który straciłam. To poświęcenie z jego strony, ale on jest wspaniałomyślny.

— Jeśli tak właśnie się rzeczy mają — powiedział Goodman posepnie — to ja na pewno nie będę stał na drodze waszego szczęścia. Jestem mimo wszystko człowiekiem cywilizowanym. W każdej chwili możesz dostać ode mnie rozwód.

Skrzyżował ręce na piersiach; wypełniło go poczucie godności. Równocześnie miał jednak niejasną świadomość, że jego decyzja wypływa nie tyle może z godności, ile z nagłej, przemożnej niechęci do wszystkich rzeczy, które mają na sobie piętno Tranai.

— Na Tranai nie ma rozwodów — oznajmił Rondo.

— Nie? — spytał Goodman, czując jak chłodny dreszcz przebiega mu po krzyżu.

W dłoni Rondo pojawił się blaster.

— Rozumie pan — powiedział — trochę burzyłoby porządek społeczny, gdyby ludzie mogli tak sobie zamieniać się żonami co parę dni. Istnieje tylko jeden sposób, by zmienić czyjś stan cywilny.

— Ależ to oburzające! — wybuchnął Goodman, cofając się powoli. — To przeczy wszelkim zasadom współżycia!

— Nie wtedy, kiedy pragnie tego czyjaś żona. Fakt ten zaś, nawiasem mówiąc, jest kolejnym oczywistym powodem, by trzymać swoją współmałżonkę w zastoju. Czy mam twoje pozwolenie, moja droga? — zwrócił się do Janny.

— Wybacz mi, Marvin — odrzekła dziewczyna, po czym przymknęła oczy. — Tak, masz.

Rondo wymierzył blaster w Mandna. Goodman, nie wahając się ani chwili, rzucił się szczupakiem w najbliższe okno.

Poczuł nad głową gorący podmuch strzału.

— A to co znowu?! — zawołał Rondo. — Człowieku, okaż trochę godności! Miej odwagę stawić czoło sytuacji!

Goodman poczuł wstrząs; wylądował ciężko, obijając sobie bark. Natychmiast zerwał się na równe nogi, biegnąc co tchu. Poczuł jak kolejny strzał przypieka mu rękę. Potem schował się za węglem domu, zyskując chwilowe poczucie bezpieczeństwa. Nie zatrzymał się jednak nawet na tak krótko, by sobie to uświadomić. Pędząc co sił w nogach, skierował się w stronę kosmoportu.

Na szczęście znajdował się tarna właśnie statek, przygotowujący się do startu, który zabrał go na g'Moree. Stamtąd przefaksował na Tranai po swoje zasoby finansowe i zapłacił za przelot na Higastomeritreię, gdzie władze oskarżyły go o szpiegostwo na rzecz Dingu. Zarzut jednak nie trzymał się kupy, ponieważ Dingańczycy są istotami ziemnowodnymi przypominającymi ziemskie gady i Goodman niemal utopił się, próbując udowodnić, iż jest w stanie oddychać jedynie powietrzem.

Zdalnie sterowany statek transportowy przewiózł go na podwójną planetę Mvanti, mijając po drodze kolonie Seves, Olgo i Mi. Tam wynajął przewodnika po dzikich rejonach Galaktyki, który pomógł mu dostać się na Bellismoranti, gdzie, jak wiadomo, zaczyna się strefa wpływów Ziemi. Stamtąd statek lokalnej linii kosmicznej przetransportował go przez Galaktyczny Wir i, zatrzymując się na krótkie postoje na Oysterze, Lekungu, Pankangu, Inchangu i Machangu, dotarł w końcu na Tung-Bradar IV.

Marvin całkowicie wyczerpał już swoje fundusze, ale znajdował się praktycznie w przedpokoju Ziemi, jeśli wziąć pod uwagę skalę astronomicznych odległości. Popracowawszy trochę, zarobił na przelot do Oume, a stamtąd do Legis II. Tam zaś Towarzystwo Pomocy Międzygwiazdowym Włóczęgom znalazło dla niego miejsce na pokładzie kosmolotu i Goodman ostatecznie wylądował na Ziemi.

Osiedlił się w Seakirk, w stanie New Jersey, w miejscu gdzie człowiek jest całkowicie bezpieczny, dopóki na czas płaci wszystkie podatki. Obecnie piastuje stanowisko głównego technika do spraw robotów w Spółce Budowlanej Seakirk i dzieli swe życie z niewysoką, ciemnowłosą, spokojną dziewczyną, która wyraźnie go podziwia; Marsdn rzadko pozwala jej wychodzić samej z domu.

Wraz z leciwym kapitanem Savage'em odwiedzają regularnie Bar Eddie'ego „Księżycowa Poświata”; piją tam specjalne tranaińskie i gawędzą o Tranai Błogosławionej, gdzie odnaleziono drogę życia, a ludzie nie są już trybikami maszyny państwa. W takich chwilach Goodman skarży się zwykle na ataki kosmicznej malarii, z powodu której nigdy już nie będzie mógł podróżować po galaktycznych szlakach, nigdy nie powróci na Tranai.

W czasie tych wieczorów w barze towarzyszy mu zawsze pełna podziwu publiczność.

Ostatnio, przy niejakiej pomocy kapitana Savage'a, Goodman zorganizował Ligę Miasta Seakirk na Rzecz Odebrania Komitetom Prawa do Głosowania. Jak na razie, są oni jedynymi członkami tej organizacji, jednak, jak zwykł mawiać Marvin, czy cokolwiek zdoła powstrzymać prawdziwego krzyżowca?

The Battle

Bitwa

Najwyższy generał Fetterer, wchodząc pospiesznie do sali odpraw sztabu, warknął: „Spocznij!”. Znajdowało się tam trzech niższych generałów, którzy służbiście przyjęli nakazaną pozycję.

— Nie mamy wiele czasu — stwierdził Fetterer, spoglądając na zegarek. — Musimy raz jeszcze powtórzyć plan przeprowadzenia bitwy.

Podszedł do ściany i rozwinął znajdującą się na niej ogromną mapę Sahary.

— Zgodnie z najnowszymi danymi naszego wywiadu teologicznego, Szatan zamierza rozwinąć swe siły na tych koordynatach — generał dotknął odpowiednich miejsc na mapie swoim tłustym palcem wskazującym. — W pierwszym rzucie jego sił znajdują się diabły, demony, sukuby, inkuby i cała reszta szeregowców. Bael będzie dowodził prawym skrzydłem, Buer — lewym. Jego Wysokość Szatan zachowa dla siebie dowództwo trzonu sił, znajdującego się w centrum.

— Taktyka raczej średniowieczna — wymamrotał generał Dell.

Do sali odpraw wszedł adiutant generała Fetterera; jego rozjaśniona twarz wyrażała radość z powodu nadchodzących wydarzeń.

— Sir — oznajmił — kapelan czeka przed drzwiami.

— Bacność, żołnierzu! — surowym tonem rozkazał Fetterer. — Pamiętaj, że czeka nas bitwa, którą musimy wygrać!

— Tak, sir — odparł służbiście adiutant i stanął na bacność. Radosny wyraz jego twarzy częściowo zniknął.

— Kapelan, co? — stwierdził najwyższy generał, w zamyśleniu pocierając dłonią o dłoń. Nawet w chwili gdy wiadomo było, że rozegra się straszliwa ostatnia bitwa, religijni przewodnicy duchowi nie przestawali być takimi samymi męczyduszami jak dawniej. Od jakiegoś czasu skończyli już ze swoim moralizatorskim truciem, co im się chwaliło. Teraz jednak próbowali wtrącać się do spraw czysto wojskowych.

— Odeślij go — polecił Fetterer. — Przecież wie, że planujemy wielką, krwawą walkę między siłami dobra i zła.

— Tak, sir — powiedział adiutant. Krótko zsalutował, zrobił „w tył zwrot” i wymaszerował z pomieszczenia.

— Kontynuując — odezwał się najwyższy generał — za pierwszą linią obrony Szatana znajdują się wskrzeszeni grzesznicy oraz liczne elementarne siły piekielne. Upadłe anioły działać będą jako jego

eskadry bombowe. Wylecą im naprzeciw automatyczne myśliwce przechwytyjące Della.

Generał Dell uśmiechnął się posepnie.

— Po nawiązaniu bezpośredniego kontaktu bojowego korpus automatycznych czołgów generała MacFee przebijać się będzie w stronę środkowej części szyku nieprzyjaciela — kontynuował Fetterer — wspierany przez automatycznych fizylierów generała Ongina. Generał Dell pokieruje bombardowaniem zaplecza wroga za pomocą ładunków wodorowych.

Natarcie powinno być silnie skoncentrowane i miażdżące. Ja zaś rzucę tutaj i tu — Fetterer dotknął palcem dwóch odpowiednich miejsc na mapie — oddziały zmechanizowanej kawalerii.

W tym momencie adiutant powrócił i przyjął sztywną pozycję „baczość”.

— Sir — zameldował — kapłan odmawia opuszczenia terenu dowództwa. Twierdzi, że musi się z panem zobaczyć.

Najwyższy generał Fetterer zawahał się, zanim odpowiedział „nie”. Pamiętał przecież, iż bitwa ma charakter religijny i duchowi pasterze ludzkości siłą rzeczy byli z nią związani.

Zdecydował dać facetowi pięć minut rozmowy.

— Wprowadź go — polecił.

Kapłan miał na sobie niewyszukany garnitur, by okazać, że nie reprezentuje żadnej religii w szczególności. Jego twarz wyrażała zmęczenie, ale i determinację.

— Panie generale — oznajmił na wstępie. — Jestem przedstawicielem wszystkich duchowych przewodników świata: księży, rabinów, pastorów, mułłów i całej reszty. Błagamy pana, panie generale, by pozwolił nam pan walczyć w bitwie Pana Zastępów.

Najwyższy generał Fetterer zaczął nerwowo bębnić palcami w swoje biodro. Pragnął, by rozmowa z tym facetem przebiegła w przyjaznej atmosferze. Wszakże nawet on, najwyższy głównodowodzący, może potrzebować dobrego słowa na swą korzyść tam, na górze, gdy wszystko zostanie już wypowiedziane i zrobione...

— Proszę zrozumieć moją sytuację — powiedział ze zmartwieniem. — Przede wszystkim jestem generałem i czeka mnie bitwa, którą muszę wygrać.

— Ale przecież to ostatnia bitwa — zaproponował kapłan. — To powinna być bitwa całej ludzkości.

— Jest bitwą całej ludzkości — skostatował Fetterer. — Walczyć w niej będą jej przedstawiciele, profesjonaliści, wojskowi.

Kapłan w najmniejszej mierze nie wyglądał na przekonanego.

— Chyba nie chcecie przegrać tej bitwy? — zaryzykował Fetterer. — Czy Szatan ma w niej zwyciężyć?

— Oczywiście, że nie — wymamrotał kapłan.

— A zatem nie możemy iść na jakiegokolwiek ryzyko — stwierdził generał. — Wszystkie rządy zgodziły się w tej kwestii, czyż nie tak? Oczywiście, byłoby bardzo chwalebnie, gdybyśmy pokonali Szatana zmasowanym atakiem całej ludzkości. Rzec można, iż miałyby to wymowę symboliczną. Jednak czy wówczas bylibyśmy pewni zwycięstwa?

Kapłan próbował się wtrącić, ale Fetterer nie dał mu dojść do słowa.

— Czy możemy mieć pewność, jakimi siłami naprawdę dysponuje Szatan? Mówiąc językiem wojskowym, po prostu musimy rzucić do boju nasze doborowe siły. A to oznacza armię robotów, automatyczne myśliwce przechwytyjące, bezzałogowe czołgi oraz bomby wodorowe.

Kapłan wydawał się teraz bardzo zmartwiony.

— Ale to jest jakieś nieuczciwe — stwierdził. — Czy naprawdę w swoim planie nie może pan znaleźć jakiegoś miejsca dla ludzi?

Fetterer zastanowił się nad tym, jednak postulat wydawał się niemożliwy do spełnienia. Plan przeprowadzenia bitwy był już w pełni ukończony, wspaniały, nieodparcie logiczny. Jakakolwiek ingerencja elementu ludzkiego, występującego w jakiejś większej masie, mogłaby jedynie zakłócić przebieg jego realizacji. Żadna żywa istota nie byłaby w stanie przetrwać potwornego hałasu tego automatycznego ataku, krzyżujących się w przestrzeni straszliwych ciosów energetycznych, siły wszechobejmującego zniszczenia. Nikt, kto znalazłby się w odległości mniejszej niż sto pięćdziesiąt kilometrów od linii frontu, nie pożyłby wystarczająco długo, by bodaj zobaczyć przeciwnika.

— Obawiam się, że nie — stwierdził generał.

— Są tacy — powiedział kapłan surowym tonem — którzy twierdzą, iż błędem było oddawać tę sprawę w ręce wojskowych.

— Przykro mi — oznajmił niemal radośnie Fetterer — ale to typowo defetystyczne poglądy. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... — gestem wskazał kapłanowi drzwi. Delegat pasterzy duchowych ludzkości z wyraźnym znużeniem opuścił salę.

— Ci cywile... — zamyślił się głośno Fetterer. — No więc, panowie — zwrócił się do pozostałych — czy wasze oddziały są gotowe do walki?

— Jesteśmy gotowi, by walczyć za najświętszą sprawę! — odparł entuzjastycznie generał MacFee. — Mogę ręczyć za każdy automat, który jest pod moim dowództwem. Metal ich pancerzy błyszczy, wszystkie przekaźniki zostały wymienione, a zbiorniki energii są pełne. Wprost palą się do walki!

Generał Ongin całkowicie już otrząsnął się z chwilowego oszołomienia.

— Siły lądowe są w gotowości bojowej, sir! — zameldował.

— Wsparcie powietrzne zapewnione — oznajmił lakonicznie generał Dell.

— Znakomicie — stwierdził generał Fetterer. — Poczyniono również wszystkie pozostałe przygotowania. Kamery telewizyjne przekazywać będą całej ziemskiej populacji bieżący obraz bitwy. Nikt, bogaty czy biedny, nie zostanie pozbawiony dostępu do tego spektaklu.

— A po bitwie... — zaczął generał Ongin, ale zaraz przerwał. Spojrzał na Fetterera.

Ten ostatni z powagą zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, co miało się zdarzyć po zakończeniu bitwy. To leżało już przypuszczalnie w gestii religijnych pośredników pomiędzy ludzkością a Bogiem.

— Sądzę, że dojdzie do oficjalnej prezentacji, albo czegoś w tym rodzaju... — stwierdził niepewnie.

— Pan generał ma na myśli to, że spotkamy się... z Nim? — spytał generał Dell.

— W gruncie rzeczy nie wiem — przyznał Fetterer. — Powinniśmy jednak sądzić, że tak będzie. Przede wszystkim... chodzi mi o to... a zresztą rozumiecie, panowie, o co mi chodzi.

— Ale co powinniśmy włożyć na tę okazję? — spytał generał MacFee w nagłym odruchu paniki. — Chodzi mi o to, co nosi się w takich sytuacjach?

— A co noszą anioły? — spytał Fetterer Ongina.

— Nie wiem — odrzekł Ongin.

— Luźne szaty, nie sądzi pan? — wysunął przypuszczenie generał Dell.

— Nie — stwierdził surowo Fetterer. — Będziemy mieli na sobie połowe mundury, bez żadnych ozdób.

Generałowie skinęli głowami. Wydawało się to najbardziej zadowolające.

Potem nadszedł czas.

Wyglądając wspaniale w swym bojowym szyku, legiony Piekła nadleciały nad pustynię. W pisku diabelskich fletów, w dudnieniu wydrażonych wewnątrz bębnow potężne upiory runęły do przodu.

Wśród oślepiającej chmury piasku automatyczne czołgi generała MacFee ruszyły naprzeciw szatańskiemu zastępom.

Natychmiast przeleciały nad nimi z wyciem i piskiem silników automatyczne bombowce Della,

które w zmasowanym ataku zrzuciły wszystkie swoje bomby na nieprzebrane hordy potępieńców. Fetterer bez chwili wahania, z szaleńczą niemal odwagą posłał do ataku swoją automatyczną kawalerię.

Prosto w sam środek tych śmiertelnych zmagania wkroczyła automatyczna piechota generała Ongina. I stało się, że metal zrobił wszystko to, co metal zdziałać jest w stanie.

Hordy potępieńców zaczęły przelewać się przez linię frontu, rozdierając automatyczne czołgi i roboty na strzępy.

Automaty ginęły, bohatersko broniąc każdego skrawka jałowej pustyni. Bombowce Della zostały zmiecione z niebios przez upadłe anioły pod dowództwem Marchociasa, którego skrzydła gryfa rozdierały powietrze z potworną siłą niczym tornado.

Cienka linia obrony była wciąż utrzymywana przez zdruzgotane niemal doszczętnie roboty, heroicznie stawiające opór gigantycznym istotom, które uderzając w nie roztrzaskiwały na strzępy ich pancerze, siejąc zgrozę w sercach milionów widzów, obserwujących w swych domach na całym świecie ów straszliwy spektakl. Roboty walczyły mężnie jak nieustraszeni ludzie, jak bohaterowie, do końca usiłując odepchnąć i zmiażdżyć przemożne siły zła.

Astaroth dzikim wrzaskiem wydał komendę; Behemoth, usłyszawszy ją, ruszył naprzód, wstrząsając pustynię każdym swym krokiem. Bael, na czele ustawionego w klin wojska szatanów, ruszył do szarży na rozsypującą się już niemal lewą flankę robotów generała Fetterera. Obserwatorom wydało się, że słyszą rozpaczliwy jęk metalu, zawroty głowy w agonii, spowodowane przez nieodparty atak.

W odległości półtora tysiąca kilometrów od linii frontu najwyższy generał Fetterer drżał, a na jego czoło wystąpiły grube krople potu. Jednak ten doświadczony dowódca wciąż beznamiętnie naciskał guziki i popychał dźwignie, sterujące mechanicznym wojskiem.

Doborowy korpus pod jego dowództwem nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Całkowicie, wydawałoby się, zniszczone roboty podnosiły się chwiejnie i ruszały do dalszej walki. Strzaskane, stratowane, zniszczone przez wyjące hordy diabłów automaty zdołały jednak utrzymać linię obrony. Wtedy piąty korpus, złożony z samych doświadczonych w walce weteranów, przypuścił kontratak, przebijając się przez siły nieprzyjaciela.

W odległości półtora tysiąca kilometrów za linią frontu generałowie prowadzili teraz zdalnie operację oczyszczania terenu z resztek sił przeciwnika.

— Bitwa została wygrana — wyszeptał najwyższy generał Fetterer, odwracając się od ekranów.
— Gratuluję wam, panowie.

Generałowie uśmiechnęli się ze znużeniem.

Spojrzeli na siebie nawzajem, a potem, jak jeden mąż, wydali spontaniczny, triumfalny okrzyk. Zwyciężyły siły dobra, wojska Szatana zaś zostały nieodwołalnie pokonane!

Jednakże na ekranach zaczęło się dziać coś dziwnego.

— Czy to... czy to... — zaczął generał McFee, potem jednak głos uwiązł mu w gardle.

Bowiem na polu bitwy pojawił się Bóg, przechadzając się teraz wśród stosów powyginanego i roztrzaskanego metalu.

Generałowie milczeli.

Pan Zastępów dotknął jednego z pogiętych kadłubów.

Wtedy, ponad dymiącą jeszcze pustynią, automaty zaczęły się poruszać. Ich pogięty, porysowany potężnymi bliznami, stopiony metal zaczął w oczach prostować się i lśnić.

Roboty stanęły ponownie na nogach.

— MacFee — wyszeptał najwyższy generał Fetterer — niech pan spróbuje coś zrobić swoimi urządzeniami kontrolnymi. Niech one uklękną, albo coś w tym rodzaju.

Generał spróbował, okazało się jednak, że automaty nie reagują.

Wtedy korpusy robotów zaczęły unosić się w powietrze. Wokół nich byli Aniołowie Pana, a automatyczne czołgi, bombowce i mechaniczni żołnierze unosili się w światłość, coraz wyżej i wyżej.

— On je zbawia! — wykrzyknął histerycznie Ongin. — On zbawia roboty!

— To pomyłka! — odezwał się Fetterer. — Szybko! Proszę wysłać posłańca do... nie! Na Zbawienie stawimy się osobiście!

I stało się, że błyskawicznie przygotowano dla nich powietrzny statek i szybko jak wiatr pomknęli na pobojowisko. Było już jednak za późno, bowiem wielka bitwa skończyła się, roboty zniknęły, a Pan i Jego Zastępy odlecieli w światłość.

Skulking Permit

Oficjalny bandyta

Tom Rybak nie miał zielonego pojęcia o tym, że ma właśnie zacząć karierę kryminalisty. Był rano. Wielkie czerwone słońce uniosło się nad horyzontem, idąc w ślad za swym niewielkim, żółtym towarzyszem w układzie podwójnym. Wioska, mała, lecz zbudowana i utrzymywana w sposób niemal pedantyczny, połyskiwała w letnim świetle dwóch słońc jak jedyna biała kropka na olbrzymich zielonych połaciach powierzchni planety.

Tom przebudził się właśnie w swej chacie. Był wysokim, opalonym na brąz młodym człowiekiem, który odziedziczył po swym ojcu kształt oczu, po matce zaś — niefrasobliwy stosunek do pracy. Nie śpieszył się nigdzie; wiedział, że dopóki nie przyjdzie pora deszczowa, nie ma mowy o łowieniu ryb, a zatem nie ma też żadnej roboty dla rybaka. Dopóki nie zacznie padać, zamierzał leniuchować i naprawiać swoje wędki.

— On powinien mieć czerwony dach! — usłyszał z zewnątrz okrzyk Billy’ego Malarza.

— Ale kościoły nigdy nie mają czerwonych dachów! — odpowiedział okrzykiem Ed Tkacz.

Tom zmarszczył brwi. Pozostając nieco poza głównym nurtem życia wioski, zapomniał już o zmianach, które w niej zaszły w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wsunął na siebie spodnie i wolno powlókł się na wioskowy plac.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył na placu, był wielki, zupełnie nowy, wykonany czerwonymi literami napis, który głosił: OBCYM ZABRANIA SIĘ PRZEBYWANIA W GRANICACH MIASTA. Na całej planecie Nowe Delaware nie było ani jednego kosmity. Nie było na niej właściwie nic oprócz lasu i tej właśnie jedynej wioski. Napis pojawił się zatem z powodów czysto politycznych.

W centralnym miejscu wioski znajdowały się obecnie kościół, więzienie i urząd pocztowy, zbudowane w ciągu ostatnich dwóch, łącznie sześciu tygodni. Usytuowano je wzdłuż starannie wytyczonej linii, na wprost targu. Nikt nie wiedział, co właściwie począć z tymi budowlami; wioska radziła sobie bez nich doskonale przez ponad dwieście lat. Teraz jednak, oczywiście, musiały zostać zbudowane.

Ed Tkacz stał właśnie przed frontem nowego kościoła, patrząc w górę. Billy Malarz balansował ryzykownie na stromym dachu, a jego blond wąsy aż jeżyły się z oburzenia.

Wokół zgromadził się niewielki tłumek ludzi.

— Cholera, człowieku! — wołał Billy Malarz. — Mówię ci, że czytałem o tym nie dalej jak w zeszłym tygodniu! Biały dach — tak, to może być. Ale nigdy czerwony!

— Coś ci się pomieszało; musi chodzić o jakąś inną budowlę — stwierdził Tkacz. — Co ty na to, Tom?

Tom Rybak wzruszył ramionami; nie miał żadnej opinii na ten temat. Chwilę potem na miejsce sprzeczki przybiegł burmistrz, pocąc się obficie; koszula przylepiała się do jego wydatnego brzucha.

— Złaź! — krzyknął do Billy’ego. — Właśnie to sprawdziłem! To ma być mały czerwony domek szkolny, a nie mały czerwony domek kościelny!

Billy wyglądał na wściekłego. Zawsze ulegał huśtawce nastrojów, podobnie jak wszyscy Malarze. Jednak od czasu gdy w zeszłym tygodniu burmistrz zrobił go szefem policji, stał się już całkiem kapryśny.

— Nie mamy żadnego małego szkolnego domku — sprzeciwiał się Billy, znajdując się na drabinie, w połowie drogi na dół.

— Będziemy więc musieli po prostu go zbudować — oznajmił burmistrz. — I powinniśmy się z tym pospieszyć.

Spojrzał na niebo. Zgromadzony tłum również mimowolnie spojrzał w górę. Na firmamencie jednak nie znajdowało się nic godnego uwagi.

— Gdzie są Stolarczykowie? — spytał burmistrz. — Sid, Sam, Marv... Gdzie jesteście?

Sid Stolarczyk pojawił się wśród tłumu, przeciskając się w stronę burmistrza. Sid chodził wciąż o kulach, od zeszłego miesiąca, gdy spadł z drzewa, na którym poszukiwał jaj stukacza; żaden ze Stolarczyków nie był wart nawet pięciu groszy we wspinaniu się na drzewo.

— Pozostali są w Tawernie Piwnego Eda — oznajmił Sid.

— A gdzie indziej mogliby być? — krzyknęła z tłumu Mary Wioślarka.

— Masz ich zebrać wszystkich do kupy — polecił burmistrz. — Niech zbudują niewielki domek szkolny, i to szybko. Powiedz im, żeby wznieśli go obok więzienia.

Potem zwrócił się do Billy’ego Malarza, który zszedł już na ziemię.

— Billy, ty pomalujesz ten budynek porządną, jasną czerwienią, wewnątrz i na zewnątrz. To bardzo ważne.

— A kiedy dostanę odznakę szefa policji? — dopytywał się Billy. — Czytałem, że szefowie policji zawsze dostają odznaki.

— Zrób sobie jakąś — zbył go burmistrz, po czym przetarł twarz skrajem koszuli. — Cholernie gorąco — stwierdził. — Nie rozumiem, dlaczego ten inspektor nie może przybyć do nas zimą... Tom! Tom Rybak! Mam dla ciebie kawałek ważnej roboty. Chodź ze mną, to wszystko ci o niej opowiem.

Położył rękę na ramionach Toma i poszli do chaty burmistrza jedyną wybrukowaną ulicą wioski, mijając po drodze opustoszały targ. W dawnych czasach droga ta pokryta była tylko ubitym pyłem. Ale dawne czasy skończyły się dwa tygodnie temu i teraz drogę wybrukowano pokruszoną skałą. W

związku z tym chodzenie po niej na bosaka stało się tak niewygodne, że mieszkańcy wioski woleli przechodzić sobie nawzajem przez trawniki. Burmistrz jednak chadzał po niej ostentacyjnie, mając na względzie nie wygodę, lecz zasadę.

— Proszę posłuchać, panie burmistrzu — odezwał się Tom. — Mam teraz wakacje...

— Nie ma czasu na żadne wakacje — stwierdził burmistrz. — Na litość boską, nie teraz. On może przybyć dosłownie w każdej chwili!

Wprowadził Toma do swojej chaty i usadowił się w wielkim fotelu, który ustawiony był tak blisko międzygwiazdowego odbiornika radiowego, jak to tylko możliwe.

— Tom — oznajmił burmistrz bez ogródek — co powiedziałbyś na to, żeby zostać kryminalistą?

— Nie wiem — odrzekł Tom. — A co to jest „kryminalista”?

Wierząc się niespokojnie na swym fotelu, burmistrz wsparł dłoń na radiu, by dodać sobie autorytetu.

— No więc chodzi o to, że... — zagaął, po czym zaczął tłumaczyć Tomowi, na czym miałyby polegać jego rola.

Im dłużej Tom tego słuchał, tym mniej mu się podobało. Zdecydował, że wszystkiemu jest winna awaria międzygwiazdowego odbiornika radiowego. Dlaczego, do diaska, nie zepsuł się raz a dobrze?

Nikt nie wierzył, że radiostacja może działać. Niczym ostatnia milcząca linia, która łączyła kolonię z Ziemią, spoczywała ona pod warstwą kurzu, przekazywana z pokolenia na pokolenie przez kolejnych burmistrzów. Jeszcze dwieście lat temu Ziemia utrzymywała kontakt radiowy z Nowym Delaware, z kolonią Ford IV, z Alfą Centauri, z Nueva España i z innymi koloniami współtworzącymi Zjednoczone Demokracje Ziemi. Potem kontakt ten urwał się.

Wyglądało na to, że na Ziemi wybuchła wojna. Nowe Delaware, ze swą jedyną zamieszkaną wioską, było zbyt małe i zbyt odległe, by wziąć udział w zmaganiach. Czekali na jakieś wiadomości, ale te nie nadchodziły. Potem zaś osadę dotknęła zaraza, pochłaniając życie trzech czwartych jej mieszkańców.

Wioska powoli wróciła do siebie. Mieszkańcy wypracowali swe własne sposoby zachowania się i styl życia. Zapomnieli o Ziemi.

Minęło dwieście lat.

A potem, dokładnie dwa tygodnie temu, radio zatrzeszczało i ożyło. Przez wiele godzin tylko burczało i skwierczało, wydając z siebie jedynie statyczne szumy zakłóceń tła, podczas gdy mieszkańcy wioski gromadzili się z wolna wokół chaty burmistrza. Wreszcie z radiostacji wydobyły się słowa:

— ...Nowe Delaware, słyszycie nas? Pytam, czy nas słyszycie?

— Tak, tak, słyszymy was — potwierdził burmistrz.

— Czy kolonia wciąż tam jest?

— Oczywiście, że tak — oświadczył z dumą burmistrz.

Wtedy ton głosu rozmówcy stał się surowy i oficjalny.

— Z powodu nieustabilizowanej sytuacji straciliśmy na jakiś czas kontakt z zewnętrznymi koloniami. Teraz jednak zaburzenia minęły; przeprowadzamy jedynie drobne operacje oczyszczające. Wy tam, na Nowym Delaware, stanowicie wciąż kolonię Ziemskiego Imperium i z tej racji podlegacie jego prawom. Czy potwierdzacie swój status?

Burmistrz zawahał się. We wszystkich książkach, które posiadał, Ziemię określano mianem Zjednoczonych Demokracji. Cóż, w ciągu dwóch stuleci nazwy mogły się zmienić.

— Pozostajemy wciąż lojalni wobec Ziemi — stwierdził z godnością.

— Znakomicie. To oszczędzi nam kłopotu wysyłania korpusu ekspedycyjnego. Z położonego najbliższej waszej kolonii punktu kosmosu zostanie wysłany właściwy dla tego obszaru inspektor, który będzie miał za zadanie upewnić się, czy szanujecie obyczaje, instytucje i tradycje Ziemi.

— Słucham? — spytał zaniepokojony burmistrz.

Głos, choć już przedtem surowy, podniósł się jeszcze o oktawę.

— Uświadamiacie sobie, oczywiście, że we wszechświecie jest miejsce dla jednego tylko gatunku istot rozumnych — dla człowieka! Wszystkie pozostałe gatunki muszą zostać podporządkowane, starte z powierzchni kosmosu, unicestwione! Nie będziemy tolerować żadnych obcych, podkradających się chyłkiem pod nasze siedziby. Jestem pewien, że pan to rozumie, generale.

— Nie jestem generałem; jestem burmistrzem.

— Ale pan tam dowodzi, prawda?

— Tak, ale...

— A zatem jest pan generałem. Pozwoli pan, że będę kontynuował. W tej Galaktyce nie ma miejsca dla obcych. Żadnych obcych! Nie ma w niej także miejsca dla wypaczonych kultur ludzkich, które, na mocy definicji, również są obce. Nie sposób rządzić imperium, w którym każdy robi to, co mu się podoba. Musi zapanować porządek, niezależnie od kosztów, jakie trzeba będzie za to zapłacić.

Burmistrz z wysiłkiem przełknął ślinę, wpatrując się w radiostację.

— Proszę się upewnić, generale, że prowadzi pan prawdziwą ziemską kolonię, bez żadnych

radykalnych odchyłeń od normy, takich jak wolna wola, wolna miłość, wolne wybory lub cokolwiek innego, co znajduje się na liście zakazanych zachowań. Te zachowania są obce, a my jesteśmy cholernie cięci na obcych. Proszę utrzymywać swoją kolonię we właściwym porządku, generale. Inspektor zgłosi się do pana w ciągu najbliższych dwóch tygodni. To wszystko.

Zwołano natychmiast zebranie mieszkańców wioski, by ustalić, w jaki sposób należy dostosować się do mandatu Ziemi, upoważniającego ją do zarządzania Nowym Delaware. Jednocześnie stwierdzono, iż wszystko, co mogą teraz zrobić — to pospiesznie ukształtować swój model życia według ziemskich wzorów, korzystając z prastarych księzek, które były w ich posiadaniu.

— Nie rozumiem, dlaczego musi być u nas jakiś kryminalista — stwierdził Tom.

— To bardzo ważny element ziemskiego społeczeństwa — wyjaśniał burmistrz. — Wszystkie książki zgadzają się ze sobą w tym punkcie. Kryminalista jest tam tak samo ważny jak, powiedzmy, listonosz lub szef policji. Jednak odmiennie od nich, kryminalista zajmuje się pracą antyspołeczną. Działa on przeciw społeczeństwu, Tom. Jeśli w społeczeństwie nie byłoby ludzi, działających przeciw niemu, to co mieliby robić ci, którzy pracują dla społeczeństwa? Nie byłoby dla nich wówczas żadnej roboty!

Tom potrząsnął przecząco głową.

— Po prostu tego nie rozumiem — stwierdził.

— Bądź rozsądny, Tom. Musimy urządzić tu rzeczy na ziemski sposób. Na przykład wybrukowane drogi... we wszystkich książkach jest mowa na ich temat. Mówi się tam także o kościołach, szkołach, więzieniach. Wszystkie książki wspominają także o przestępstwach.

— Nie będę tego robił — skonstatował Tom.

— Postaw się w mojej pozycji — błagał burmistrz. — Wyobraź sobie, że ten inspektor przybywa do nas i spotyka Billy'ego Malarza, naszego szefa policji. Prosi go o pokazanie więzienia. Potem pyta mnie: „Żadnych więźniów?” Odpowiadam: „Oczywiście, że żadnych. Nie ma tu u nas przestępczości”. „Żadnej przestępczości? — pyta on. — Ale wszystkie ziemskie kolonie zawsze mają u siebie przestępców. Przecież o tym wiecie”. „Nie wiemy — odpowiadam. — Nie wiedzieliśmy nawet, co to jest «przestępczość», dopóki w ubiegłym tygodniu nie sprawdziliśmy znaczenia tego wyrazu”. „Więc po co zbudowaliście więzienie? — pyta mnie inspektor. — Dlaczego wyznaczyliście szefa policji?”

Burmistrz przerwał, żeby złapać oddech.

— Rozumiesz teraz? — ciągnął po chwili. — Cała rzecz bierze w łeb z tego powodu. Inspektor widzi, że nie jesteśmy tak naprawdę podobni do ludzi z Ziemi. Jesteśmy podrobionymi ludźmi, a w gruncie rzeczy jesteśmy obcy!

— Hmm... — zadumał się Tom, który stwierdził wbrew samemu sobie, że jest pod wrażeniem.

— W ten sposób — kontynuował skwapliwie burmistrz — będę mógł odpowiedzieć: „Oczywiście, że mamy przestępczość, dokładnie tak jak na Ziemi. Jest tu u nas pewien gość, będący kombinacją złodzieja i mordercy. Biedny facet odebrał kiepskie wychowanie i jest teraz niedostosowany społecznie. Jednak szef naszej policji ma już pewne poszlaki. Spodziewamy się, że złoczyńca zostanie aresztowany w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Zamkniemy go w więzieniu, a potem zrehabilitujemy”.

— Co to znaczy „zrehabilitować”? — spytał Tom.

— Nie jestem pewien — odrzekł burmistrz. — Będę sobie tym zawracał głowę, kiedy już dojdziemy do tego etapu. Czy teraz zdajesz sobie sprawę, jak niezbędne jest dla nas przestępstwo?

— Sądzę, że tak. Ale dlaczego akurat ja?

— Wszyscy inni są już zajęci. A poza tym masz wąskie oczy; wiadomo, że wszyscy kryminaliści mają oczy jak szparki.

— One nie są aż tak wąskie. Nie są węższe niż na przykład oczy Eda Tkacza...

— Tom, proszę cię — zaapelował burmistrz. — Każdy robi teraz to, co do niego należy. Chcesz nam pomóc, prawda?

— Sądzę, że tak — odparł ze znużeniem Tom.

— Dobrze. Mianuję cię zatem naszym kryminalistą. Proszę, dzięki temu twoja działalność będzie legalna.

Podał Tomowi dokument. Głosił on:

POZWOLENIE NA DZIAŁALNOŚĆ PRZESTĘPCZĄ

Podaje się do wiadomości wszystkim, którzy będą to czytać, iż posiadacz tego dokumentu, Tom Rybak, jest oficjalnie upoważnionym złodziejem i mordercą. W związku z powyższym wymaga się od niego, by w ponurych uliczkach czaił się na niewinne ofiary, odwiedzał miejsca o podejrzanej reputacji i na wszelkie możliwe sposoby łamał prawa.

Tom dwukrotnie przeczytał dokument, po czym zadał pytanie:

— Jakie prawa?

— Powiem ci, jak tylko je sporządzę — powiedział burmistrz. — Wszystkie ziemskie kolonie mają swoje prawa.

— Ale co ja mam robić?

— Będziesz kradł. I zabijał. To powinno być dość proste.

Burmistrz podszedł do swojej półki z książkami i wyjął z niej starożytne tomy, zatytułowane: *Kryminalista i jego środowisko*, *Psychologia zabójcy* oraz *Studia nad motywacją złodzieja*.

— Znajdziesz w nich wszystko to, co będzie ci potrzebne — stwierdził burmistrz. — Możesz kraść, ile ci się żywnie podoba. Myślę jednak, że jedno morderstwo wystarczy. Nie ma sensu przesadzać.

— Dobra — skinął głową Tom. — Sądzę, że załapię, w czym rzecz.

Zabrał książki i powrócił do swojej chaty.

Było bardzo gorąco, a cała ta rozmowa o przestępstwach skołowała go i zmęczyła. Położył się na łóżku i zaczął przeglądać starodawne księgi.

Po jakimś czasie rozległo się stukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołał Tom przecierając oczy, które zamykały mu się ze znużenia.

Do chałupy wszedł Marv, najstarszy i najwyższy z rudowłosych braci Stolarczyków, a za nim wkroczył Jed Farmer. Nieśli ze sobą niewielki worek.

— Ty jesteś wioskowym kryminalistą, Tom? — spytał Marv.

— Na to wygląda.

— A zatem to dla ciebie.

Położyli worek na podłodze i wyjęli z niego siekierę, dwa noże, krótką włócznię, łom i maczugę.

— Co to jest?! — spytał Tom, aż siadając z wrażenia.

— Broń, oczywiście — powiedział z rozdrażnieniem Jed Farmer. — Nie mógłbyś być prawdziwym kryminalistą, nie posiadając broni.

Tom podrapał się w głowę.

— Naprawdę? — spytał.

— Lepiej zacznij sam główkować, do czego służą te rzeczy — kontynuował Farmer niecierpliwym tonem. — Nie spodziewaj się, że zrobimy wszystko za ciebie.

Marv Stolarczyk mrugnął porozumiewawczo do Toma.

— Jed jest rozdrażniony, bo burmistrz zrobił go naszym listonoszem — powiedział.

— Wykonam moją robotę — oznajmił Jed. — Po prostu nie podoba mi się to, że będę musiał napisać te wszystkie listy.

— Niemożliwe, żeby to było aż takie trudne — stwierdził z uśmiechem Marv Stolarczyk. — Na Ziemi listonosze to robią, a przecież mają znacznie więcej ludzi do obsłużenia. Powodzenia, Tom.

Wyszli z chaty.

Tom nachylił się nad bronią i przyjrzał się jej. Wiedział, czym są te przedmioty: stare księgi bez przerwy je wymieniały. Ale na Nowym Delaware właściwie nikt nigdy nie używał broni. Jedyne zwierzęta, żyjące na tej planecie, były to niewielkie, futrzaste, zaprzysiężone zjadacze trawy. A jeśli chodzi o zwracanie broni przeciwko jakiemuś innemu mieszkańcowi wioski, to nikt tutaj nie uświadamiał sobie, po co mianowicie miałyby to robić.

Podniósł jeden z noży. Okazało się, że jest zimny. Dotknął jego czubka, który był bardzo ostry.

Tom zaczął niespokojnie przemierzać pomieszczenie, wpatrując się w leżące na podłodze przedmioty. Ich obecność powodowała nieprzyjemne, mdlące uczucie gdzieś w dolnej części jego brzucha. Stwierdził, że zbyt pośpiesznie zdecydował się na przyjęcie tej pracy.

Na razie nie miało jednak sensu zadręczanie się tą sprawą. Nie przeczytał przecież jeszcze wszystkich tych książek. Gdy to zrobi, być może będzie w stanie wydobyć z nich jakiś sens.

Przez kilka godzin czytał, przerywając jedynie po to, by zjeść lekki obiad. Książki wydawały się raczej zrozumiałe; różnorodne metody stosowane przez kryminalistów zostały w nich jasno przedstawione, czasem nawet z użyciem diagramów. Jednak cała sprawa wydała mu się nierozsądna.

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, jaki jest cel przestępstwa? Komu przynosi ono korzyść? Co ludzie z niego mają?

Niestety, książki nie wyjaśniały tej kwestii. Przekartkował je, oglądając fotografie przestępców, które się tam znajdowały. Wyglądali na ludzi bardzo poważnych i zdecydowanych, w pełni świadomych tego, na czym polega znaczenie ich pracy dla społeczeństwa.

Tom pragnął zrozumieć, co może dawać społeczeństwu działalność bandyty. Gdyby to wiedział, cała rzecz wydałaby mu się prawdopodobnie znacznie prostsza.

— Tom? — usłyszał głos burmistrza, który zawołał go przez okno.

— Jestem tu, burmistrzu — odpowiedział.

Drzwi otworzyły się i burmistrz zajrzał do środka. Za jego plecami stały Jane Farmerka, Mary Wioślarka i Alice Kucharka.

— No i co z tym, Tom? — spytał burmistrz.

— Co z czym?

— Z twoim zabranieniem się do pracy.

Tom uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Właśnie miałem do niej przystąpić — zadeklarował. — Czytałem te książki i usiłowałem dojść do tego, co...

Trzy panie w średnim wieku wprost piorunowały go spojrzeniami i Tom speszył się.

— Marnujesz czas na czytaniu — oskarżyła go Alice Kucharka.

— Wszyscy inni w wiosce już dawno pracują — dodała Jane Farmerka.

— Co może być takiego trudnego w złodziejstwie? — spytała Mary Wioślarka kłótliwym tonem.

— To prawda — potwierdził burmistrz. — Ten inspektor może pojawić się tutaj dosłownie w każdej chwili, a my wciąż nie mamy żadnego przestępstwa, którym moglibyśmy się pochwalić.

— No dobrze już, dobrze — zgodził się zdenerwowany Tom.

Zatknął nóż i łom za pas, wcisnął do kieszeni worek, który mógł mu się przydać do gromadzenia łupu, i dumnym krokiem wyszedł z domu.

Gdzie jednak miał się udać? Było właśnie popołudnie. Targ, który wydawał się najlepszym miejscem do popełnienia jakiejś kradzieży, zaludniał się dopiero po zapadnięciu zmroku. Tom nie chciał popełniać kradzieży przy dziennym świetle. Wydawało mu się to nieprofesjonalne.

Rozwinął swoje pozwolenie na działalność przestępczą i ponownie przerzucił je wzrokiem. Aha. Wymaga się od niego, by... odwiedzał miejsca o podejrzanej reputacji...

Tak, o to właśnie chodziło! Powinien teraz odwiedzić takie właśnie miejsce. Tam mógłby wymyślić jakiś plan, a przynajmniej wczuć się w nastrój całej sprawy. Niestety jednak, w wiosce nie było zbyt wiele miejsc, wśród których mógłby wybierać. Była tu mała restauracyjka, prowadzona przez owdowiałe siostry Ames, był punkt rozrywkowy Jeffa Herna, a wreszcie tawerna Piwnego Eda.

Tom stwierdził, że powinien pójść właśnie tam.

Knajpa mieściła się w chałupie nie różniącej się właściwie od innych domów we wsi. Wewnątrz znajdował się jeden duży pokój dla gości, kuchnia oraz izba sypialna rodziny Eda. Jego żona gotowała dla gości tawerny i utrzymywała to miejsce w takiej czystości, jak to było możliwe, biorąc pod uwagę jej dolegliwości kręgosłupa. Sam Ed podawał napoje. Był bladym mężczyzną o wiecznie zaspanych oczach, mającym inklinację do martwienia się wszystkim.

— Witaj, Tom! — powiedział, gdy tylko Rybak wszedł do knajpy. — Więc jesteś naszym

kryminalistą.

— Zgadza się — odrzekł Tom. — Wezmę na siebie ten ciężar.

Piwny Ed przygotował dla niego bezalkoholowy ekstrakt z korzeni i z wyraźnym niepokojem postawił go przed Tomem.

— No i jak wychodzi ci to twoje złodziejstwo, Tom? — spytał.

— Na razie robię plany — odrzekł Rybak. — W moim zezwoleniu jest napisane, że mam odwiedzać miejsca o podejrzanym reputacji. Właśnie dlatego jestem tutaj.

— To nie było zbyt uprzejme z twojej strony, Tom — stwierdził ze smutkiem Piwny Ed. — Moja tawerna nie jest „miejszem o podejrzanym reputacji”.

— Podajesz najgorsze posiłki we wsi — zwrócił uwagę Tom.

— Wiem. Moja żona ledwie może ustać przy kuchni. Jednak jest tutaj miła atmosfera. Ludziska to lubią.

— To się zmieni, Ed. Niniejszym czynię z tej tawerny swoją główną kwaterę.

Ramiona Piwnego Eda opadły, jak pod ciężkim brzemieniem.

— I spróbuj tu, człowieku, prowadzić miłą, sympatyczną knajpkę — skomentował. — Wielkie dzięki, Tom.

Powiedziawszy to, powrócił do baru.

Tom myślał dalej. Stwierdził, iż dokonanie kradzieży jest zadziwiająco trudne. Im bardziej próbował coś wymyślić, tym mniej mu się to udawało. Z ponurym uporem kontynuował jednak planowanie przestępstwa.

Minęła godzina. W drzwiach pojawiła się głowa Richie Framera, najmłodszego syna Jeda.

— Czy już coś ukradłeś, Tom? — spytał.

— Jeszcze nie — odpowiedział Tom zgarbiony nad stolikiem.

Powoli mijało gorące popołudnie. Przez niewielkie, niezbyt czyste okienka tawerny zaczęły być widoczne skrawki wieczornego nieba, które oba zachodzące słońca zabarwiały na różne kolory. Gdzieś rozległo się charakterystyczne ćwierkanie świerszcza, zaś pierwszy, nieśmiały jeszcze nocny powiew poruszył gałęzie otaczającego wioskę lasu.

Duży George Wioślarz i Max Tkacz weszli do knajpy na szklaneczkę glavy. Usiedli przy stoliku Toma.

— Jak ci idzie? — spytał George.

— Niezbyt dobrze — przyznał Tom. — Nie bardzo mogę się połapać, na czym polega to złodziejstwo.

— Dasz sobie radę — oznajmił Wioślarz na swój jakby ociężały, lecz poważny i pełen przejęcia sposób. — Jeśli ktokolwiek w wiosce jest w stanie się tego nauczyć, to właśnie ty.

— Wierzymy w ciebie, Tom — zapewnił go Tkacz.

Tom podziękował im za zaufanie. Wypili swoją glavę i wyszli z tawerny. Rybak zastanawiał się dalej, wpatrując się w swoją pustą szklankę.

Gdy minęła kolejna godzina, Piwny Ed nieśmiało chrząknął.

— Może to nie moja sprawa, Tom — zaczął niepewnie — ale kiedy wreszcie zamierzasz coś ukraść?

— Właśnie teraz — odrzekł Tom.

Wstał, upewnił się, że jego broń znajduje się na swoim miejscu, i zdecydowanym krokiem wyszedł z knajpy Eda.

Na wioskowym targu zaczęła się nocna wymiana barterowa. Różnorodne dobra złożone były niefrasobliwie w stosy na targowych ławach lub leżały na ziemi, na matach ze słomy. Nie było żadnej waluty, a nawet oficjalnego kursu wymiany dóbr. Dziesięć ręcznie kutych gwoździ warte było tyle, co cebrzyk mleka lub dwie ryby; wszystko zależało od tego, co się chce wymienić i czego potrzebuje się w danym momencie. Nikt nie kłopotał się prowadzeniem rachunków. Był to jedyny ziemski zwyczaj, z którego wprowadzeniem burmistrz miał poważne kłopoty.

Gdy Tom Rybak szedł przez plac targowy, wszyscy serdecznie go witali.

— Będiesz teraz kradł, co, Tom?

— Do roboty, chłopcze!

— Na pewno możesz to zrobić!

Nikt w wiosce nie był jeszcze nigdy świadkiem aktu kradzieży. Uważano to za egzotyczny obyczaj odległej Ziemi i wszyscy pragnęli zobaczyć coś takiego na własne oczy.

Mieszkańcy wioski zostawili więc swoje dobra i ruszyli za Tomem, chciwie się w niego wpatrując.

Tom stwierdził, że drżą mu ręce. Nie podobało mu się, że podczas złodziejskiej działalności

obserwuje go aż tak wielu ludzi. Zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli zacznie działać od razu, dopóki ma jeszcze odwagę.

Zatrzymał się nagle przed wypełnionym owocami stoiskiem pani Młynarzowej.

— Pani hohofruty wyglądają zachęcająco — stwierdził zdawkowo.

— Są świeżutkie — pochwaliła się Młynarzowa. Była niewysoką kobietą o jasnym i szczerym spojrzeniu. Tom pamiętał jej długie rozmowy z jego matką, w czasach gdy rodzice jeszcze żyli.

— Wydają się bardzo smakowite — oznajmił, wyrzucając sobie równocześnie w duchu, że zatrzymał się właśnie tutaj.

— Och tak, są smakowite — odrzekła pani Młynarzowa. — Zebrałam je dziś po południu.

— Czy on teraz będzie kradł? — usłyszał Tom zadane przez kogoś szeptem pytanie.

— Jasne, że tak. Patrzcie na niego uważnie — odrzekł ktoś, również szeptem.

Tom wybrał świeżego, jasnozielonego hohofruta i przyjrzał mu się. Wśród tłumu zaległa nagła cisza.

— Rzeczywiście, wyglądają na bardzo smaczne — stwierdził Rybak, ostrożnie odkładając owoc na miejsce.

Tłum jak jeden mąż wydał z siebie przeciągłe westchnienie ulgi.

Przy następnym stoisku stał Max Tkacz, jego żona oraz pięcioro dzieci. Dzisiejszej nocy wystawiali na wymianę dwa koce oraz koszulę. Gdy Tom, któremu wciąż towarzyszył tłum ludzi, przechodził obok nich, uśmiechnęli się bojaźliwie.

— Ta koszula ma mniej więcej twój rozmiar — poinformował go Tkacz. Wyraźnie chciał, żeby ludzie odeszli i dali Tomowi pracować w spokoju.

— Hmm... — wymamrotał Tom, podnosząc koszulę z kramu Tkacza.

Wśród tłumu dało się zauważyć pełne wyczekiwania poruszenie. Jakaś dziewczyna zaczęła histerycznie chichotać.

Tom ujął koszulę mocniejszym chwytem i otworzył swój worek na łup.

— Chwileczkę! — wykrzyknął Billy Malarz, przepychając się wśród tłumu. Miał już odznakę — starą ziemską monetę, którą wypolerował i przypiął sobie do pasa. Nie ulegało wątpliwości, że wyraz jego twarzy jest stanowczy i oficjalny.

— Co robisz z tą koszulą, Tom? — spytał.

— O co chodzi... Po prostu ją oglądałem.

— Po prostu ją oglądałeś, co? — Billy udał, że odchodzi, splótłszy dłonie za plecami. Nagle odwrócił się z wyprostowanym oskarżycielsko palcem.

— Nie sądzę, żebyś „po prostu ją oglądał”, Tom — stwierdził. — Uważam, że zamierzałeś ją ukraść!

Tom nie odpowiedział. Zdradziecki worek zwisał oskarżycielsko w jednej jego ręce, koszula znajdowała się w drugiej.

— Jako komendant policji — kontynuował Billy — mam obowiązek chronić tych ludzi. Stwierdzam, że jesteś podejrzanym typem. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli cię zamknę w celu dalszego przesłuchania.

Tom zwiesił głowę. Nie spodziewał się tego, co nie znaczy, żeby mu to nie odpowiadało.

Kiedy już znajdzie się w więzieniu, będzie po wszystkim. A gdy Billy uwolni go, Tom będzie mógł powrócić do swego rybołówstwa.

Nagle dojrzał podążającego zdecydowanym krokiem przez tłum burmistrza, którego koszula łopotała dziko wokół talii.

— Billy, co robisz?! — zawołał dramatycznie burmistrz.

— Wykonuję mój obowiązek, panie burmistrzu. Tom działa w sposób zdecydowanie podejrzany. Książka mówi o tym...

— Wiem, co jest napisane w książce — oznajmił burmistrz. — Sam ci ją przecież dałem. Nie możesz aresztować Toma. Jeszcze nie teraz.

— Ale w wiosce nie ma żadnego innego kryminalisty — poskarżył się Billy.

— Nic nie mogę na to poradzić — skonstatował burmistrz.

Wargi Billy'ego ściągnęły się w odruchu irytacji.

— W książce napisane jest o pracy prewencyjnej policji. Oczekuje się po mnie, że powstrzymam przestępstwo, zanim się ono zdarzy.

Burmistrz uniósł ręce nad głowę i opuścił je ze znużeniem.

— Billy, czy ty nie rozumiesz?! Nasza wioska potrzebuje zapisu o jakimś dokonanym przestępstwie. Ty także musisz w tym pomóc.

Billy Malarz wzruszył ramionami.

— W porządku, burmistrzu — powiedział. — Po prostu próbowałem wykonywać swoją pracę.

Odwrócił się, by odejść. Potem jednak zawrócił na pięcie i stanął przed Tomem.

— Jeszcze cię dopadnę — powiedział. — Pamiętaj, że przestępstwo nie popłaca!

Odszedł dumnym krokiem.

— On jest nadmiernie ambitny, Tom — wyjaśnił burmistrz. — Zapomnij o tym. Rusz się teraz i ukradnij coś sobie. Miejmy wreszcie tę robotę z głowy.

Tom zaczął wyslizgiwać się chyłkiem w stronę zielonej ściany lasu, otaczającej wioskę.

— Coś nie tak, Tom? — spytał zaniepokojony burmistrz.

— Nie jestem już w nastroju — wyjaśnił Rybak. — Może jutrzejszej nocy...

— Nie, zrobisz to teraz — nalegał burmistrz. — Nie możesz dłużej tego odkładać. No już, pomożemy ci.

— Jasne, że tak — oznajmił Max Tkacz. — Ukradnij koszulę, Tom. Tak czy owak, ona ma twój rozmiar.

— Tom, a może chciałbyś ładny dzbanek na wodę?

— Rzuć okiem na moje orzechy skeczowe.

Tom przechodził od jednego stolika do drugiego i oglądał towary. Gdy sięgnął po koszulę Tkacza, nóż wysliznął mu się zza pasa i upadł na ziemię. Tłum zaczął cmokać z podziwem, by dodać Tomowi animuszu.

Rybak wsunął nóż ponownie za pasek, pocąc się obficie, wiedząc, że wygląda teraz jak kompletny ślamazara. Wyciągnął rękę, schwycił szybko koszulę i upchnął ją w swoim worku na łup. Zgromadzeni ludzie wydali okrzyk radości.

Tom uśmiechnął się słabo, czując się odrobinę lepiej.

— Myślę, że już się trochę w tym połapałem — stwierdził.

— Jasne, że tak.

— Wiedzieliśmy, że dasz radę to zrobić.

— Weź sobie coś jeszcze, chłopcze.

Tom przeszedł ponownie przez targ, biorąc sobie na dokładkę zwój sznura, garść orzechów skeczowych i kapelusz ze słomy.

— Sądzę, że to wystarczy — powiedział do burmistrza.

— Chwilowo tak — zgodził się ten ostatni. — Ale to się właściwie nie liczy. Szczerze mówiąc, ludzie oddali ci swoje rzeczy dobrowolnie. Można by to nazwać czymś w rodzaju ćwiczeń praktycznych.

— Ach, tak... — westchnął rozczarowany Tom.

— Ale przynajmniej już wiesz, co robić. Następnym razem pójdzie ci lepiej.

— Przypuszczam, że tak.

— I nie zapomnij o morderstwie.

— Czy to naprawdę konieczne? — spytał Tom.

— Chciałbym, żeby nie było — przyznał burmistrz. — Jednak nasza kolonia istnieje tutaj od ponad dwustu lat i nie mamy nawet jednego morderstwa. Ani jednego! Jeśli wierzyć kronikom, w innych koloniach zdarzyło się ich już bardzo wiele.

— Sądzę, że powinniśmy mieć przynajmniej jedno — potwierdził Tom niewesoło. — Zajmę się tym.

To powiedziawszy, skierował się w stronę swojej chałupy. Gdy odchodził, zgromadzony tłum zęgnął go coraz głośniejszym wiwatowaniem.

W domu Tom zapalił lampkę z knotem z sitowia i przygotował sobie coś do zjedzenia. Po kolacji siedział przez dłuższy czas w swoim wielkim i wygodnym fotelu. Nie był z siebie zadowolony. Mówiąc uczciwie, wcale się dobrze nie połapał w złodziejskim rzemiośle. Najpierw przez cały dzień zastanawiał się i wahał. Potem zaś ludzie musieli praktycznie wkładać mu przedmioty w ręce, zanim zdołał je im ukraść.

Do kitu taki złodziej!

Nic go nie usprawiedliwiało. Złodziejstwo i mordowanie były przecież rzemiosłami, ważnymi jak wszystkie inne. To, że nie zajmował się nimi nigdy przedtem, że nie widział sensu ich wykonywania, nie mogło stanowić wymówki wobec faktu, iż tak pokpił sprawę.

Podszedł do drzwi. Na zewnątrz panowała noc, rozświetlona przez tuzin gwiazdnych czerwonych olbrzymów — znajdujących się w sąsiedztwie gwiazd, wokół których krążyło Nowe Deławare. Targ opustoszał, a światła wioski stopniowo gasły.

Nadszedł właściwy czas!

Gdy o tym pomyślał, poczuł, jak po całym jego ciele przebiega dreszcz satysfakcji. Był z siebie

dumny. Tak właśnie kryminaliści planowali zapewne swoje słynne zbrodnie, tak też powinno wyglądać złodziejstwo — powolne, podstępne skradanie się pośród ciemności nocy.

Rybak sprawdził szybko, czy całą broń ma przy sobie, opróżnił swój worek na łup i wymaszerował z domu.

Ostatnie lampki z sitowia już pogasły. Tom niemal bezgłośnie skradał się przez wieś. Podeszedł do domu Rogera Wioślarza. Duży Roger zostawił swoją łopatę opartą o ścianę. Tom zabrał ją. Mijając kolejne chaty zauważył, że dzbanek na wodę pani Tkaczowej stoi na swoim zwykłym miejscu przy frontowych drzwiach. Przywłaszczył go sobie natychmiast. Wracając do domu znalazł małego drewnianego konika, którego jakieś dziecko musiało widocznie zapomnieć po zakończeniu zabawy. Dołączył konika do reszty zdobyczy.

Gdy wszystkie te rzeczy znalazły się już bezpieczne w jego chacie, Tom popadł w nastrój miłego ożywienia. Zdecydował, że spróbuje zagarnąć kolejne łupy.

Tym razem powrócił z brązową płytką z fasady domu burmistrza, najlepszą piłą Marva Stolarza oraz sierpem Jeda Farmera.

— Nieźle! — powiedział sam do siebie. Najwyraźniej łapał, o co w tym chodzi. Doszedł do wniosku, że jeszcze jeden przyniesiony do chałupy ładunek powinien uwieńczyć dobre rezultaty całonocnej pracy na stanowisku wioskowego złodzieja.

Tym razem zagarnął młot i dłuto, które znalazł w szopie Rona Kamieniarza, a także trzciniowy koszyk Alice Kucharki. Miał właśnie zabrać grabie Jeffa Herna, gdy usłyszał jakiś cichy odgłos. Przyczał się, przywierając całym ciałem do muru.

Po chwili w nocnej ciemności pojawiła się postać Billy'ego Malarza, który skradał się, polując na niego. Odznaka szefa policji połyskiwała w świetle gwiazd. W jednej ręce miał krótką i ciężką maczugę, w drugiej — parę kajdanek domowej roboty. W mglistym nocnym poblasku jego twarz wyglądała złowieszczo. Była to twarz człowieka, który ślubował samemu sobie, że wykorzeni przestępczość na tej planecie, nie zważając na to, iż nie wiedział zbyt dokładnie, czym ona jest.

Tom wstrzymał oddech, gdy Billy Malarz minął go w odległości nie większej niż trzy metry. Potem Rybak zaczął powoli wycofywać się z niebezpiecznego miejsca.

Nagle zgromadzony w worku łup zabrzączał.

— Kto tutaj jest?! — wrzasnął Billy. Gdy nikt nie odpowiedział, szef policji zaczął posuwać się powoli po obwodzie koła, badając wzrokiem ciemne obszary. Tom ponownie przywarł do ściany. Był całkiem pewien, że Billy nie będzie w stanie go dostrzec. Malarz miał słaby wzrok z powodu oparów farb, które musiał mieszać. Wszyscy Malarze mieli słaby wzrok. Była to jedna z przyczyn, dla których ulegali huśtawce nastrojów.

— Czy to ty, Tom? — spytał Billy przyjacielskim tonem.

Rybak miał właśnie odpowiedzieć, gdy zauważył, że maczuga Billy'ego jest uniesiona w pozycji

gotowej do uderzenia. Zachował więc ciszę.

— Jeszcze cię dorwę! — krzyknął Billy.

— Dobra, dorwij go jutro rano! — krzyknął Jeff Hern z okna swojej sypialni. — Weź pod uwagę, że niektórzy próbują spać o tej porze!

Billy odszedł. Gdy go już nie było, Tom popędził do domu i wysypał zrabowane mienie na podłogę, gdzie piętrzył się stos poprzednich łupów. Nie bez dumy dokonał przeglądu swej zdobyczy. Miał teraz poczucie dobrze wykonanej roboty.

Po chłodnym drinku z glawy Tom poszedł do łóżka i natychmiast pogrążył się w spokojnym, głębokim śnie.

Następnego ranka Tom wyszedł na przechadzkę, by zorientować się, jak postępują prace nad małym czerwonym domkiem szkolnym. Bracia Stolarczykowie zabrali się do niego ostro, wspomagani przez kilku innych mieszkańców wioski.

— Jak wam idzie, chłopaki? — zawołał do nich Tom wesołym tonem.

— Nieźle — odpowiedział Marv Stolarczyk. — Byłoby jeszcze lepiej, gdybym miał swoją piłę.

— Twoją piłę? — powtórzył bezmyślnie Tom.

Po chwili przypomniał sobie, że zeszłej nocy rzeczywiście ją ukradł. Zatem wyglądało na to, że w tej chwili piłą nie należy do nikogo. Wraz z innymi zgromadzonymi w jego chałupie przedmiotami stanowiła ona łup pochodzący ze złodziejskiej działalności. Tom nigdy nie pomyślał o tym, że którykolwiek z tych przedmiotów może być potem przez kogoś użyty, lub że ktoś może ich potrzebować.

— Jak sądzisz, czy mógłbym dostać tę piłę na chwilę? — spytał Marv Stolarczyk. — Tylko na godzinę, nie dłużej.

— Nie jestem pewien — odrzekł Tom, marszcząc brwi. — Sam rozumiesz, że została legalnie ukradziona.

— Oczywiście, że tak. Ale gdybym ją tylko pożyczył...

— Musiałbyś ją potem oddać.

— Ależ oczywiście, że bym ją oddał! — stwierdził Marv z oburzeniem. — Przecież nie przetrzymywałbym niczego, co zostało legalnie ukradzione.

— Jest w moim domu wraz z resztą łupu — poinformował go Tom. Marv podziękował mu i popędził do jego chaty.

Tom kontynuował wędrówkę przez wieś. Dotarł do domu burmistrza. Najwyższy urzędnik na planecie stał właśnie przed swoją chałupą, wpatrując się w niebo.

— Tom, czy wzięłeś moją brązową płytkę? — spytał.

— Oczywiście, że tak — odparł Tom wojowniczo.

— Nic takiego, po prostu byłem ciekaw — skonstatował burmistrz, równocześnie wskazując coś na niebie. — Widzisz go? — spytał. Tom spojrział w tamtą stronę.

— Co mam widzieć?

— Ciemną kropkę w pobliżu tarczy mniejszego słońca.

— Tak. Co to jest?

— Założę się, że to statek inspektora. Jak ci idzie?

— Nieźle — odpowiedział Tom odrobinę niespokojnie.

— Zaplanowałeś już morderstwo?

— Miałem z tym drobne kłopoty — przyznał Tom. — Prawdę mówiąc, nie zrobiłem w tej sprawie żadnego postępu.

— Wejdz, Tom — zaprosił go burmistrz. — Chcę z tobą chwilę porozmawiać.

W chłodnym, osłoniętym żaluzjami living-roomie burmistrz nalał dla nich dwie szklaneczki glavy i wskazał Tomowi fotel.

— Mamy coraz mniej czasu — oznajmił z przygnębieniem. — Inspektor może wylądować na naszej planecie już za kilka godzin. A ja mam pełne ręce roboty.

Wskazał gestem międzygwiazdną radiostację.

— To znowu przemówiło. Coś o rewolucji na Dengu IV i o tym, że wszystkie lojalne wobec Ziemi kolonie muszą u siebie przeprowadzić pobór, cokolwiek by to mogło oznaczać. Nigdy nie słyszałem o tym Dengu IV, ale nie mam innego wyjścia, jak zacząć się o to martwić, tak jakbym nie miał już dosyć innych zmartwień.

Utkwił w Tomie surowe spojrzenie.

— Kryminaliści na Ziemi dokonują w ciągu jednego dnia dziesiątków morderstw, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Wszystko, czego wioska od ciebie oczekuje — to zaledwie jedno morderstwo. Czy prosimy cię o zbyt wiele?

Tom nerwowym gestem rozłożył ręce.

— Czy naprawdę sądzisz, że to jest konieczne?

— Wiesz, że tak — odrzekł burmistrz. — Jeśli zamierzamy naśladować Ziemię, musimy zrobić to do końca. W tej chwili to jedyna sprawa, która nas powstrzymuje. Wszystkie pozostałe projekty idą dokładnie według planu.

Do pomieszczenia wkroczył Billy Malarz, który miał na sobie oficjalną, niebieską koszulę z jasno połyskującymi metalowymi guzikami. Pograżył się w fotelu.

— Zabiłeś już kogoś, Tom? — spytał.

— On chce wiedzieć, czy to jest konieczne — skomentował burmistrz.

— Oczywiście, że jest — stwierdził szef policji. — Wystarczy przeczytać którąkolwiek z tych ziemskich ksiązek. Ten, kto nie popełnił żadnego morderstwa, jest kiepskim kryminalistą.

— Kim się zajmiesz, Tom? — spytał burmistrz.

Rybak zaczął niespokojnie wiercić się w fotelu. Pocierał nerwowo dłonią o dłoń.

— No więc?

— No dobra, zabiję Jeffa Herna — wyrzucił z siebie Tom.

Billy Malarz pochylił się błyskawicznie w jego stronę, zadając szybkie pytanie:

— Dlaczego?

— Dlaczego...? A dlaczego nie?

— A jaki będziesz miał motyw?

— Myślałem, że zależy wam po prostu na morderstwie — odcinał się Tom. — Czy ktokolwiek mówił mi coś przedtem o motywie?

— Nie chcemy lipnego morderstwa — wyjaśnił szef policji. — To musi być właściwie wykonane. A to oznacza, że musisz mieć odpowiedni motyw.

Tom pomyślał przez chwilę.

— No cóż, nie znam Jeffa dobrze. Czy to wystarczający motyw?

Burmistrz potrząsnął głową przecząco.

— Nie, Tom, to nie zadziała. Lepiej wybierz sobie kogoś innego.

— No cóż, zastanówmy się... — zaczął Tom. — A co sądzicie o George’u Wioślarzu?

— Jaki byłby motyw? — spytał natychmiast Billy.

— Noo... ten... Więc... nie podoba mi się sposób chodzenia George’a. Nigdy mi się nie podobał. Poza tym on jest czasem hałaśliwy.

Burmistrz skinął głową z aprobatą.

— Mam wrażenie, że to brzmi nieźle. Co ty na to, Billy?

— A jak sądzisz, w jaki sposób miałbym odkryć podobny motyw? — spytał ze złością szef policji. — Nie, to mogłoby być odpowiednie tylko dla morderstwa w afekcie. Ale ty jesteś legalnym kryminalistą, Tom. Zgodnie z definicją, powinieneś być bezwzględnym przestępcą, planującym swe zbrodnie z zimną krwią. Nie możesz zabić kogoś tylko dlatego, że nie podoba ci się sposób, w jaki on chodzi. To kompletnie głupie!

— Lepiej przemyślę sobie jeszcze raz całą tę sprawę — stwierdził Tom wstając.

— Niech ci to nie zabierze zbyt wiele czasu! — polecił burmistrz. — Im prędzej to zrobisz, tym lepiej.

Rybak skinął głową i ruszył do drzwi.

— Aha, Tom! — zawołał za nim Billy. — Nie zapomnij zostawić śladów; są bardzo ważne.

— W porządku — odrzekł kryminalista, po czym wyszedł z chaty burmistrza.

Gdy był już na zewnątrz, okazało się, że większość mieszkańców wioski zebrała się, by obserwować niebo. Czarna kropka powiększyła się już znacznie. Teraz zakrywała większą część małego słońca.

Tom udał się do swego miejsca o podejrzaną reputację, by jeszcze raz wszystko przemyśleć. Zauważył z zaskoczeniem, że Piwny Ed najwyraźniej zmienił swoje poglądy co do celowości istnienia kryminalnego elementu w społeczeństwie. Dekoracja jego tawerny została w istotny sposób zmieniona. Górował nad nią wielki napis, który głosił: siedlisko kryminalisty. Wewnątrz w oknach wisiały nowe, starannie zabrudzone firanki, które uniemożliwiały prawie dostęp światła dziennego i czyniły z knajpy prawdziwie ponurą norę. Na jednej ze ścian powieszono różne rodzaje broni, pospiesznie wyrzeźbione z miękkiego drewna. Na innej ścianie widniała wielka czerwona plama, która wydała się Tomowi złowieszcza, pomimo że wiedział, iż została wykonana czerwoną farbą z korzennych jagód, należąca do Billy’ego Malarza.

— Proszę, wejdź, Tom — zaprosił go Piwny Ed, po czym zaprowadził prosto do najciemniejszego kąta sali. Tom zauważył, że tawerna była niezwykle pełna, jak na dzienną porę.

Wyglądało na to, że ludziom podoba się fakt, iż są w prawdziwym siedlisku zbrodni.

Tom, sącząc perricołę, zaczął myśleć.

Musiał popełnić morderstwo.

Wyjął swoje zezwolenie na działalność przestępczą i ponownie przebiegł je wzrokiem. Fakt ten wydał mu się nadzwyczaj niemiły i przykry; była to rzecz, której nigdy by nie zrobił, gdyby nie otrzymał oficjalnego polecenia.

Skoncentrował się więc na morderstwie. Najpierw powiedział sobie jasno, bez owijania w bawełnę, że musi kogoś zabić. Musi zgasić płomień czyjegoś życia. Musi spowodować, że ktoś przestanie istnieć.

Jednak te sformułowania nie oddawały istoty postępuku, który miał popełnić. Były to bowiem jedynie słowa. By nieco rozjaśnić myśli, Tom wziął za przykład wielkiego, rudowłosego Marva Stolarczyka. Dziś Marv pracował przy budowie szkoły pożyczoną od niego piłą. Gdyby on, Tom, zabił Marva... cóż, Marv wtedy już nigdy nie mógłby pracować przy wznoszeniu jakiegokolwiek budowli.

Tom niecierpliwie potrząsnął głową. Wciąż nie chwycił całej sprawy nazbyt dobrze.

W porządku, powiedział sobie, weźmy pod uwagę Marva Stolarczyka, największego i, jak sądziło wielu, najsympatyczniejszego spośród braci. Wyobraźmy sobie, że zajmuje się właśnie planowaniem tego, co zrobi z kawałkiem drewna, dzierżąc hebel pewnym chwytem dużych, piegowatych dłoni, popatrując co chwila na linię, którą narysował na swym materiale. Czyni to pewnie, chcąc jak najszybciej rozpocząć właściwą pracę; dolega mu niewielki ból w lewym ramieniu, który Jan Aptekarz od jakiegoś czasu bezskutecznie usiłował wyleczyć.

Taki właśnie był Marv Stolarczyk.

Nagle...

Marv Stolarczyk pada na ziemię, połyskują białka jego szeroko otwartych oczu, nogi i ręce sztywnieją w bezruchu, na ustach zastyga jakiś grymas, z nozdrzy nie wydostaje się już powietrze, serce przestaje bić. Nigdy już nie będzie dzierżył kawałka drewna pewnym chwytem swych dużych, piegowatych dłoni. Nigdy już nie będzie odczuwał słabego i naprawdę nieistotnego w tej sytuacji bólu lewego ramienia, który Jan Aptekarz...

Tom przez krótką chwilę dostrzegł, na czym tak naprawdę polega morderstwo. Wizja minęła, ale samo jej wspomnienie wystarczyło, by Rybak wciąż odczuwał mdłości.

Mógłby pogodzić się z kradzieżą. Ale zabójstwo, nawet w imię jak najlepiej pojętych interesów wioski...

Co pomyśleliby ludzie, gdyby zobaczyli na własne oczy to, co on przed chwilą dojrzał w mglistej zaledwie wizji? Jak mógłby żyć wśród nich po tym, co by się stało? A jak doszedłby do ładu sam ze sobą?

Mimo to musiał dokonać zabójstwa. Każdy w wiosce miał swoją robotę do wykonania, a ta praca należała do niego.

Kogo jednak miałby zamordować?

Prawdziwa panika zapanowała nieco później tego samego dnia, gdy międzygwiazdne radio napełniło się wściekłymi głosami.

— To ma być kolonia? A gdzie jest stolica?

— Tutaj — odpowiedział lakonicznie burmistrz.

— A gdzie wasze lądowisko?

— Mam wrażenie, że zrobiliśmy sobie na nim pastwisko dla bydła — stwierdził burmistrz. — Mogę sprawdzić, gdzie ono było. Żaden statek nie wylądował tutaj od ponad...

— Nasz główny kosmolot pozostanie zatem na orbicie. Zbierzcie swoich oficjalnych przedstawicieli. Wyląduję tam u was najszybciej, jak to możliwe.

Wokół otwartego pola, które inspektor wyznaczył na swoje lądowisko, zgromadziła się cała wioska. Tom przymocował sobie broń u pasa i skradając się dotarł do drzewa, zza którego mógł obserwować to, co się będzie działo.

Od dużego statku Ziemiaków odłączył się mały i zaczął błyskawicznie opadać na lądowisko. Spadał jak kamień i mieszkańcy wioski wstrzymali oddech, pewni, że zaraz się roztrzaska. Dosłownie w ostatniej chwili włączyły się silniki, przypalając trawę na polu, i statek osiadł łagodnie na ziemi.

Przed tłum wieśniaków wysunął się burmistrz, za którym postępował Billy Malarz. Drzwi statku otworzyły się i na zewnątrz wymaszerowało czterech ludzi. W dłoniach mieli błyszczące metalicznie instrumenty, w których Tom rozpoznał broń. Za nimi ze statku wyłonił się potężny mężczyzna o czerwonej twarzy, ubrany na czarno, na którego piersi lśniły cztery medale. Towarzyszył mu niewysoki człowieczek o pomarszczonej twarzy, również w czerni. Grupę zamykało czterech kolejnych ludzi w uniformach.

— Witamy na Nowym Delaware! — odezwał się burmistrz.

— Dziękujemy panu, generale! — odpowiedział potężny mężczyzna, potrząsając dłoń burmistrza, którą ujął pewnym chwytem. — Jestem inspektor Delumaine. A to mój doradca polityczny, pan Grent.

Grent skinął głową burmistrzowi, ignorując jego wyciągniętą rękę. Spoglądał na mieszkańców wioski z wyrazem świadczącym o lekkim obrzydzeniu.

— Dokonamy przeglądu wioski — powiedział inspektor, spoglądając kątem oka na Grenta. Doradca polityczny skinął głową. Strażnicy w uniformach skupili się wokół nich, tworząc pierścień

ochronny.

Tom śledził ich z bezpiecznej odległości, skradając się jak prawdziwy kryminalista. Gdy znaleźli się w wiosce, schował się za jednym z domów, by obserwować inspekcję.

Burmistrz wskazał z ledwie skrywaną dumą wioskowe więzienie, urząd pocztowy, kościół i mały czerwony domek szkolny. Inspektor wyglądał na nieco zakłopotanego. Pan Grent uśmiechnął się nieprzyjemnie i zaczął pocierać szczękę.

— Tak jak sądziłem — powiedział do inspektora — to strata czasu, paliwa i krążownika bojowego, który mógłby być w tym czasie lepiej wykorzystany. To miejsce nie ma dla nas żadnej wartości.

— Nie byłbym tego taki pewien — stwierdził inspektor. Zwrócił się do burmistrza:

— Po co je zbudowaliście, generale?

— Cóż — odrzekł burmistrz. — Jak pan widzi, staramy się być bardziej ziemscy i robimy, co w naszej mocy.

Pan Grent wyszeptał coś do ucha inspektora.

— Proszę mi powiedzieć — spytał burmistrza inspektor — jak wielu młodych ludzi macie w tej wiosce?

— Przepraszam, że co? — spytał burmistrz, starając się uprzejmie wyrazić swoją dezorientację.

— Chodzi o młodych ludzi w wieku od piętnastu do sześćdziesięciu lat — wyjaśnił pan Grent.

— Rozumie pan, generale, Imperialna Matka Ziemia zaangażowana jest w wojnę. Koloniści na Dengu IV i niektórych innych koloniach obrócili się przeciwko swej jedynej rodzicielce. Buntują się, chcąc zrzucić absolutną władzę Matki Ziemi.

— Przykro mi to słyszeć — stwierdził burmistrz współczującym tonem.

— Potrzebni nam ludzie do floty kosmicznej — oznajmił inspektor. — Dobrzy, zdrowi, odważni żołnierze. Nasze rezerwy zostały wyczerpane...

— Życzymy sobie — wtrącił się gładko pan Grent — dać wszystkim lojalnym wobec nas kolonistom szansę walki za ich Imperialną Matkę Ziemię. Wyrażamy przekonanie, że nam nie odmówicie.

— Och, nie — odrzekł burmistrz. — Oczywiście, że nie. Jestem pewien, że młodzi ludzie z naszej kolonii będą bardzo zadowoleni... Mam na myśli to, że oni nie znają się na tym za bardzo, ale to bystre chłopaki. Przypuszczam, że będą w stanie się nauczyć.

— Widzisz? — zwrócił się inspektor do Grenta. — Sześćdziesięciu, siedemdziesięciu, może

nawet stu rekrutów. Okazuje się, że to nie jest aż takie marnowanie czasu, jak sądziłeś.

Mimo to pan Grent wydawał się wciąż pełen wątpliwości.

Inspektor i jego doradca udali się do domu burmistrza, by się odświeżyć. Towarzyszyło im czterech żołnierzy. Czterej pozostali ruszyli na obchód wioski, zabierając wszystko, co tylko wpadło im w ręce.

Tom skrył się wśród pobliskich drzew, by przemyśleć sobie sytuację. Gdy nastał wieczór, żona Piwnego Eda wykrađa się potajemnie poza obręb wioski. Była wymizerowaną kobietą w średnim wieku o blond włosach przetykanych siwizną; poruszała się jednak błyskawicznie, co było niezwykle zważywszy na jej przypadłość — charakterystyczne dla gospodyń schorzenie kolan. Miała ze sobą koszyk przykryty czerwoną serwetką w szachownicę.

— Proszę, to twoja kolacja — oznajmiła, gdy tylko spotkała Toma.

— Dzięki... — powiedział Tom, kompletnie zaskoczony. — Nie musiałaś tego robić.

— Jasne, że musiałam. Nasza tawerna jest wybranym przez ciebie miejscem o podejrzanym reputacji, prawda? Jesteśmy więc odpowiedzialni za twoje wyżywienie i dobre samopoczucie. A poza tym burmistrz kazał przekazać ci wiadomość.

Tom spojrzał na nią z ustami pełnymi jedzenia.

— O co chodzi? — wybełkotał.

— Powiedział, żebyś się pospieszył z morderstwem. Jak dotąd, przez cały czas zwodzi inspektora i tego paskudnego małego człowieczka Grenta. Ale oni go o to zapytają. Burmistrz jest tego pewien.

Tom skinął głową.

— Kiedy to zrobisz? — spytała pani Piwna, przechylając głowę na bok z ciekawości.

— Nie mogę ci powiedzieć — odrzekł Tom.

— Ależ oczywiście, że możesz i musisz — sprzeciwiła się pani Piwna, nachylając się jeszcze bliżej w stronę Toma. — Jestem przecież współniczką kryminalisty.

— To prawda — przyznał po namyśle Tom. — No więc zamierzam zrobić to dziś w nocy, kiedy się ściemni. Powiedz Billy'emu Malarzowi, że zostawię tyle odcisków palców, ile tylko będę mógł, i wszelkie możliwe ślady, jakie przyjdą mi na myśl.

— W porządku, Tom — stwierdziła pani Piwna. — Powodzenia.

Tom oczekiwał zmroku, obserwując wioskę. Zauważył, że większość żołnierzy tego popija. Snuli

się tu i tam, udając ważniaków, tak jakby mieszkańcy w ogóle nie istnieli. Jeden z nich wystrzelił w powietrze ze swej broni, śmiertelnie przerażając wszystkie niewielkie futrzaste zjadacze trawy w promieniu wielu kilometrów wokół wioski.

Inspektor i pan Grent znajdowali się wciąż w domu burmistrza.

Nadeszła noc. Tom wśliznął się do wioski, po czym zaczął się w alei pomiędzy dwiema chałupami. Wyciągnął nóż zza pasa i rozpoczął oczekiwanie.

Ktoś się zbliżał! Tom usiłował przypomnieć sobie stosowane przez kryminalistów metody, ale nic nie przychodziło mu na myśl. Wiedział, że musi po prostu dokonać morderstwa najlepiej i najszybciej jak potrafi.

Zbliżająca się osoba podeszła do niego; postać była nierozpoznawalna w mroku.

— Cześć, Tom! — odezwała się; był to burmistrz.

Rzucił szybkie spojrzenie na nóż Toma.

— Co robisz? — spytał.

— Mówił pan, burmistrzu, że musi być popełnione zabójstwo, więc...

— Nie miałem na myśli zamordowania mnie — odparł burmistrz, cofając się. — Niemożliwe, żebym to był ja.

— A dlaczego nie? — zapytał Tom.

— Cóż, po pierwsze, ktoś musi rozmawiać z tym inspektorem. On na mnie czeka. Ktoś musi mu pokazać...

— Może to zrobić Billy Malarz — przerwał Tom. Schwycił burmistrza za przednią część koszuli, uniósł nóż i wymierzył prosto w gardło ofiary.

— Oczywiście nie żywię do pana żadnej osobistej urazy — dodał przepraszająco.

— Zaczekaj! — krzyknął burmistrz. — Jeśli w tym nie ma nic osobistego, to znaczy, że nie masz motywu!

Tom opuścił nóż, ale nie rozluźnił chwytu, którym dzierżył koszulę burmistrza.

— Sądzę, że potrafię wymyślić sobie motyw. Choćby to, że było mi cholernie przykro, kiedy dostałem od pana polecenie zostania kryminalistą.

— To burmistrz dał ci takie zlecenie, prawda?

— Cóż, jasne, że tak...

Wtedy burmistrz wywłókł Toma z cienia w jasne światło gwiazd.

— Zobacz! — oznajmił.

Tom aż otworzył usta ze zdziwienia. Burmistrz ubrany był w drugie spodnie z ostro zaprasowanymi kantami oraz w tunikę błyszczącą od medali. Na ramionach miał po dwa szeregi gwiazdek w liczbie dziesięciu. Jego kapelusz przewiązany był grubą złotą wstęgą w kształcie lecących komet.

— Widzisz, Tom? — odezwał się. — Nie jestem już burmistrzem. Jestem teraz generałem!

— A co to ma do rzeczy? Jest pan tym samym człowiekiem co wcześniej, prawda?

— Z urzędowego punktu widzenia — nie. Inspektor powiedział, że ponieważ zostałem oficjalnie generałem, muszę teraz nosić generalski uniform. To była bardzo przyjemna ceremonia. Wszyscy ci Ziemianie uśmiechali się i mrugali do mnie i do siebie nawzajem.

Uniósłszy ponownie nóż, Tom zacisnął zęby, zupełnie jakby miał właśnie wypatroszyć rybę.

— Moje gratulacje — powiedział serdecznie. — Jednak był pan burmistrzem, kiedy kreował mnie pan na kryminalistę, więc mój motyw nadal trzyma się kupy.

— Ale w takim wypadku nie zabiłbyś jakiegoś tam burmistrza! Zabiłbyś generała, a to już nie jest morderstwo!

— Nie jest? — spytał Tom. — Więc co to jest?

— No... zabicie generała to rewolta!

— Ach, tak — skostatował Tom, opuszczając nóż i rozluźniając chwyt na koszuli burmistrza. — Przepraszam.

— Nic nie szkodzi — odrzekł z ulgą burmistrz. — To całkiem naturalna pomyłka. Przeczytałem trochę na ten temat, a ty nie; ale, oczywiście, nie było takiej potrzeby.

Wziął głęboki oddech.

— Lepiej już wróć — stwierdził. — Inspektor chce dostać listę ludzi, których będą mogli zaciągnąć.

— Czy jest pan pewien, że to morderstwo jest konieczne? — zawołał Tom za burmistrzem, gdy ten już odchodził.

— Tak, stanowczo — odrzekł burmistrz, wyraźnie się spiesząc. — Tylko wybij to sobie z głowy, jeśli chodzi o mnie.

Tom ponownie zatknął nóż za pasek.

Nie mnie, nie mnie. Każdy mógłby powiedzieć to samo. Mimo to ktoś musiał zostać zamordowany. Kto? Tom nie mógł przecież zabić samego siebie. To byłoby samobójstwo, które by się nie liczyło.

Zaczął mimowolnie drżeć, próbując równocześnie nie myśleć o realistycznej wizji, której niedawno doświadczył. Robota musiała zostać wykonana.

Znowu ktoś się zbliżał!

To była pani Młynarzowa wracająca do domu z torbą warzyw.

Tom próbował sobie wytłumaczyć, że nie ma znaczenia, czy jest to akurat pani Młynarzowa, czy ktokolwiek inny.

Wciąż jednak przypominały mu się jej rozmowy z jego matką.

To powodowało, że nie miał motywu, by zabić panią Młynarczykową.

Minęła Rybaka, nawet go nie dostrzegając.

Tom czekał jeszcze pół godziny. Potem ujrzał kolejną osobę, wędrującą przez ciemną aleję pomiędzy domami. Rozpoznał Maxa Tkacza.

Rybak zawsze go lubił. Nie wykluczało to istnienia jakiegoś motywu. Jednak w tej chwili Tomowi przychodziło do głowy tylko to, że Max ma żonę i pięcioro dzieci; wszyscy oni go kochają i bardzo by im Maxa brakowało. Tom zaś nie chciał, by po fakcie Billy Malarz powiedział mu, iż zabił bez powodu. Pogрузzył się głębiej w ciemności i pozwolił Tkaczowi przejść bezpiecznie obok swojej kryjówki.

Następnie w pobliżu przewędrowali trzej bracia Stolarczykowie. Tom z bólem serca musiał im odpuścić. Potem pojawił się Roger Wioślarz.

Tom nie miał właściwie żadnego motywu, by zabić Rogera, ale też nigdy nie był nastawiony wobec niego szczególnie przyjaźnie. Poza tym Roger nie miał dzieci, a jego żona niespecjalnie go lubiła. Czy to jednak wystarczyłoby Billy'emu Malarzowi, by doszukać się powodu zbrodni?

Tom wiedział, że to trochę za mało... ale ta sama prawda dotyczyła wszystkich innych mieszkańców wioski. Rybak wyrastał wraz z tymi ludźmi, dzielił z nimi wszystkie dole i niedole, lata urodzaju, gdy jedzenia było dużo, i lata chude, gdy musieli prawie głodować. W jaki sposób mógłby mieć motyw, by zgładzić któregokolwiek z nich?

Musiał kogoś zabić. Pozwolenie na działalność przestępczą stawiało mu takie wymagania. Nie mógł opuścić wioski w kłopotach. Nie mógł jednak również zamordować żadnego z tych ludzi, których znał przez całe swoje świadome życie.

— Chwileczkę! — powiedział sam do siebie w nagłym przypiływie natchnienia. Mogę przecież zabić inspektora!

Byłoby to zbrodnia bardziej nawet haniebną niż zabicie burmistrza... Burmistrz był teraz generałem, zaś zabójstwo generała w oczywisty sposób oznaczałoby tylko rewoltę. Inspektor to znacznie ważniejsza potencjalna ofiara. Tom zabiłby dla chwały, sławy, rozgłosu. Samo to morderstwo zaś pokazałoby Ziemi, jak ziemską jest w istocie ich kolonia. Powiedziano by wówczas: „Przestępczość jest tak rozpowszechniona na Nowym Deiaware, że niebezpiecznie tam nawet wylądować. Jakiś kryminalista zabił tam właśnie naszego inspektora podczas pierwszego dnia wizyty! To najwyższy wskaźnik przestępczości, jaki spotkaliśmy w całej Galaktyce!”

Byłoby to najbardziej spektakularne przestępstwo, jakie Tom zdołałby popełnić, coś, czego nie powstydziliby się nawet kryminalista będący mistrzem w swym fachu.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu czując dumę z samego siebie, Tom w pośpiechu opuścił kryjówkę i pognął do domu burmistrza. Był tak blisko, że słyszał rozmowę, która toczyła się wewnątrz chałupy.

— To dość pasywna populacja — mówił pan Grent. — Oni są w gruncie rzeczy bierni jak owce.

— Dlatego tu wszystko jest nudne — odpowiedział inspektor. — Zwłaszcza dla żołnierzy.

— No cóż, czego można wymagać od zacofanych rolników? Ale ostatecznie zdobędziemy tu sobie paru rekrutów — oznajmił pan Grent, ziewając donośnie. — Strażnicy, ruszajcie się! Wracamy na statek!

Strażnicy! Tom zupełnie o nich zapomniał. Pełen wątpliwości spojrzął na swój nóż. Nawet gdyby zniecka skoczył na inspektora, strażnicy prawdopodobnie powstrzymaliby go, zanim morderstwo zostałoby popełnione. Muszą być przeszkoleni specjalnie na wypadek takich okoliczności.

Gdyby jednak udało mu się zdobyć jeden z ich karabinów...

Tom usłyszał z wnętrza chałupy szuranie stóp. Popędził z powrotem do wioski.

W pobliżu rynku ujrzał jednego z żołnierzy, który siedział na progu chałupy, śpiewając pijackim głosem. Przy jego nogach leżały dwie opróżnione butelki, z ramienia zaś zwisała niechlujnie broń.

Tom podkradł się do niego, wyciągnął maczugę i wziął odpowiedni zamach.

Żołnierz najwyraźniej musiał dostrzec cień jego postaci. Skoczył na równe nogi, blokując przedramieniem uderzenie maczugi. Dźgnął przy tym Toma wiszącym na ramieniu karabinem, trafiając go w żebra. Następnie zerwał broń z ramienia i wycelował w napastnika. Tom zamknął oczy i zaczął na oślep walić maczugą dookoła siebie.

Trafił żołnierza w kolano, zwalając go z nóg. Zanim ten zdołał wstać, Rybak machnął maczugą.

Przyklęknął nad żołnierzem, zbadał jego puls — nie miało przecież sensu zabijanie niewłaściwej ofiary — i stwierdził, że serce bije. Wtedy wziął broń, obejrzał ją, by upewnić się, że wie, który guzik należy nacisnąć, i pospieszył za inspektorem.

Zdołał ich dogonić, gdy byli już w połowie drogi do statku. Inspektor i pan Grent wysforowali się naprzód, żołnierze szli bezładnie dość daleko za nimi.

Tom zagłębił się w zarośla. Biegł po cichu truchtem równoległe do Grenta i inspektora, aż do chwili gdy ich wyprzedził. Wycelował broń i położył palec na spuście...

Nie miał jednak zamiaru zabić Grenta. Oczekiwano od niego tylko jednego morderstwa.

Pobiegł dalej, znów minął dwóch Ziemian i wyłonił się z zarośli wprost przed nimi. Gdy dotarli do niego, broń znajdowała się już w pogotowiu.

— O co chodzi? — zapytał surowym tonem inspektor.

— Proszę się nie ruszać — oznajmił Tom. — Rzućcie broń i zejście mi z drogi.

Żołnierze, którzy nadeszli już zwartą grupą, poruszali się tak, jakby byli w ciężkim szoku. Jeden po drugim rzucali broń na ziemię i odsuwali się w krzaki. Tylko Grent pozostał na miejscu.

— Co robisz, chłopcze? — spytał.

— Jestem tutejszym kryminalistą — stwierdził z dumą Tom. — Zamierzam zabić inspektora. Proszę usunąć się z drogi.

Grent wpatrywał się w niego.

— Kryminalista? — spytał. — Ach, więc to o tym bajdurzył burmistrz!

— Wiem, że w naszej kolonii od dwustu lat nie zdarzyło się żadne morderstwo — wyjaśnił Tom — ale zamierzam to nadrobić właśnie teraz. Proszę zejść mi z drogi!

Grent odskoczył z linii strzału. Inspektor stał teraz całkiem sam, chwiejąc się lekko na nogach.

Tom wziął go na cel, starając się myśleć o spektakularnej wymowie swego przestępstwa i jego społecznej wartości. Nagle ujrzał jednak oczyma duszy inspektora leżącego na ziemi, z martwo połyskującymi białkami oczu, zeszywniałymi nogami i rękami, ustami zastygłymi w grymasie przerażenia; inspektora, którego serce przestało bić.

Usiłował się przemóc i zacisnął palec na spuście. Umysł mógł myśleć, co mu się żywnie podoba o pożyteczności działań kryminalnych, ale jego dłoń wiedziała lepiej.

— Nie mogę! — krzyknął.

Rzucił broń na ziemię i pobiegł ku zarośłom.

Inspektor chciał wysłać za Tomem grupę zwiadowców i natychmiast go powiesić, jednak pan Grent się nie zgodził. Planeta Nowe Delaware niemal w całości pokryta była lasem. Dziesięć tysięcy ludzi nie zdołałoby schwytać zbiega w tym lesie, jeśli ten nie życzyłby sobie zostać złapany.

Burmistrz i kilku mieszkańców wioski wyszło z chałup, by zobaczyć, co jest przyczyną zamieszania. Żołnierze uformowali natychmiast czworobok, w środku którego znaleźli się inspektor i pan Grent. Stali tak z bronią gotową do strzału, a wyraz ich twarzy świadczył o powadze i zdecydowaniu.

Potem burmistrz zaczął wszystko wyjaśniać. Powiedział o tym, że w wiosce panował świadczący o zacofaniu cywilizacyjnym brak działalności kryminalnej. Powiedział o zadaniu, które zlecił Tomowi. I o tym, jak wszyscy mieszkańcy byli zawstydzeni, gdy okazało się, że Tom nie jest w stanie mu sprostać.

— A dlaczego zlecił pan to zadanie właśnie temu człowiekowi? — spytał pan Grent.

— No, cóż — odrzekł burmistrz. — Sądziłem, że jeśli ktokolwiek w wiosce potrafi zabić, to tylko Tom. Rozumie pan, on jest rybakiem, a to dość krwawe zajęcie.

— A czy reszta z was, podobnie jak on, nie jest w stanie zabijać?

— Nikt z wioski nie zdołałby zrobić nawet tego, co zrobił Tom — przyznał smętnie burmistrz.

Pan Grent i inspektor spojrzeli na siebie nawzajem, a potem na żołnierzy. Ci ostatni patrzyli teraz na mieszkańców wioski z szacunkiem i podziwem. Zaczęli coś szeptać między sobą.

— Uwaga! — zawołał inspektor. Następnie zwrócił się do Grenta i powiedział ściszym głosem:

— Lepiej się stąd zabierajmy. Proszę wyobrazić sobie w naszej armii ludzi, którzy nie umieją zabijać...

— Tak, to sprawa morale — oznajmił pan Grent, po czym mimowolnie zadrżał. — To mogłoby nawet okazać się zaraźliwe... Jeden człowiek, który znalazłby się w czasie bitwy na jakimś ważnym stanowisku bojowym, naraziłby swój statek, a może całą flotę, ponieważ we właściwym momencie nie mógłby wystrzelić... Nie, nie warto ryzykować.

Rozkazali żołnierzom, by ci powrócili na statek. Wydawało się, że maszerują oni wolniej niż zazwyczaj; co chwila oglądali się, by popatrzeć na wioskę. Stale szeptali coś między sobą, mimo że inspektor surowym tonem wydawał rozkazy.

Mały stateczek wystartował w strumieniach ognia wylotowego silników. Wkrótce połknął go duży statek. Potem zaś ten większy odleciał.

Krawędź świecącej słabo tarczy wielkiego czerwonego słońca wystawała teraz ledwie zza horyzontu.

— Możesz już wyjść! — zawołał burmistrz. Tom wyłonił się z zarośli, gdzie dotychczas się krył, obserwując wszystko.

— Spartaczyłem to... — oznajmił smętnie.

— Nie rób sobie wyrzutów z tego powodu — powiedział Billy Malarz. — Ta robota była niemożliwa do wykonania.

— Obawiam się, że tak — przyznał burmistrz. Ruszyli z powrotem do wioski. — Myślałem, że masz pewne szansę na to, by sobie z tym poradzić. Ale nie można winić cię za to, że ci się nie udało. W wiosce nie ma żadnego człowieka, który poradziłby sobie z tą robotą nawet tak jak ty.

— A co zrobimy z tymi wszystkimi budynkami? — spytał Billy Malarz, wskazując na więzienie, urząd pocztowy, kościół i mały czerwony domek szkolny.

Burmistrz na chwilę zamyślił się głęboko.

— Wiem — stwierdził. — Zrobimy plac zabaw dla dzieci. Będą tam huśtawki, zjeżdżalnie, drewniane pudła z piachem i dużo innych rzeczy.

— Następny plac zabaw? — spytał z niedowierzaniem Tom.

— Jasne. A dlaczego nie?

Oczywiście, nie było przyczyny, dla której nie mieli zbudować jeszcze jednego placu zabaw.

— Przypuszczam, że już nie będzie mi to potrzebne — oznajmił Tom, wręczając burmistrzowi zezwolenie na działalność przestępczą.

— Nie, sądzę, że nie — odrzekł burmistrz. Obserwowali zasmuceni, jak drze on dokument na strzępy. — No cóż, zrobiliśmy, co mogliśmy, tylko to po prostu nie wystarczyło — stwierdził.

— Miałem swoją szansę — wymamrotał Tom — i zawiodłem was wszystkich.

Billy Malarz położył mu dłoń na ramieniu w pocieszającym geście.

— To nie twoja wina, Tom — oznajmił. — Ani wina żadnego z nas. To wynika z faktu, że przez dwieście lat byliśmy okropnie zacofani. Pomyśl o tym, jak długo trwało, zanim Ziemia stała się cywilizowana. Tysiące lat. A my próbowaliśmy nadrobić to w ciągu dwóch tygodni.

— No cóż, teraz po prostu będziemy musieli wrócić do poprzedniego trybu życia — oznajmił burmistrz, bezskutecznie próbując obrócić wszystko w żart.

Tom ziewnął, pomachał do swych rozmówców, a potem ruszył do domu, by nadrobić choć trochę straconego snu. Zanim wszedł do chałupy, spojrzał na niebo.

Gęste, nabrzmiałe parą wodną chmury gromadziły się na nieboskłonie. Wszystkie były od spodu bardzo ciemne, co świadczyło, że wkrótce także i tu dotrze pora deszczowa. Oznaczało to, że zacznie się sezon połowu ryb.

Dlaczego nie potrafił wyobrazić sobie inspektora jako ryby, którą należy złapać? Był zbyt zmęczony, by zastanawiać się, czy stanowiłoby to wystarczający motyw zabójstwa. Tak czy owak,

było już za późno. Ziemia opuściła ich w osobach swych przedstawicieli, a wraz z nią umknęła cywilizacja na nie wiadomo jak wiele jeszcze stuleci.

Tej nocy Tom spał bardzo źle.

Citizen in Space

Obywatel Galaktyki

Popadłem w nie lada kłopoty. Większe niż byłbym w stanie sobie wyobrazić. Trudno wyjaśnić w skrócie, w jaki sposób znalazłem się w takich opałach, więc może lepiej zacznę od początku.

Po ukończeniu szkoły handlowej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku dostałem dobrą pracę jako monter zaworów sfinksowych na linii produkcyjnej Starling Spaceship. Naprawdę lubiłem te ogromne statki, mknące na Cygnusa, Alphe Centauri i na całą masę innych gwiazd. Byłem młodym człowiekiem z przyszłością, miałem przyjaciół. Znałem także sporo dziewczyn.

Ale nie wszystko szło dobrze.

Robota była niezła, nie mogłem jednak dać z siebie więcej przez te okropne ukryte kamery stale śledzące moje ręce. Nie chodzi mi nawet o same kamery, ale o warkot, jaki wydawały. Trudno się było przy nim skoncentrować.

Poskarżyłem się w Wydziale Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Powiedziałem: „Słuchajcie, dlaczego nie zainstalujecie nowoczesnych, cichych kamer, jakie mają wszyscy inni?” Ale byli zbyt zajęci, żeby zrobić cokolwiek w tej sprawie.

Wtedy zaczęło mnie drażnić wiele drobnych rzeczy. Na przykład podsłuchiwacz ukryty w moim telewizorze. FBI nigdy nie zestrzało go właściwie, więc buczał całą noc. Skarżyłem się setki razy. Tłumaczyłem: „Słuchajcie, u nikogo innego podsłuchiwacz nie szumi tak jak mój. Dlaczego akurat padło na mnie?” Ale oni zawsze wygłaszali tę samą orację na temat zwycięstwa w zimnej wojnie i niemożliwości zadowolenia wszystkich.

Takie sytuacje sprawiają, że człowiek czuje się nie doceniony. Podejrzywałem, że mój rząd się mną nie interesuje.

Weźmy na przykład mojego szpiega. Byłem podejrzanym kategorii 18-D — tej samej co wiceprezydent — a to oznaczało niepełną inwigilację. Ale mój szpieg musiał uważać się za postać z filmów gangsterskich, bo zawsze nosił brudny trenaż i kapelusz z zagiętym rondem przysłaniającym oczy. Był szczupłym, nerwowym facetem i niemal deptał mi po piętach obawiając się, że mnie zgubi.

Cóż, robił wszystko, na co było go stać. Doszedłem do wniosku, iż szpiegowanie to konkurencyjny biznes i widząc jak słaby jest w tej sprawie, nie byłem w stanie opanować współczucia. Żenowało nawet bycie jego podejrzanym. Przyjaciele śmiali się do rozpuku, kiedy tylko pojawiłem się z takim cieniem, dyszącym za moimi plecami.

— Bill — mawiali — czy to wszystko, na co cię stać?

A poza tym zrażał do mnie dziewczyny.

Oczywiście udałem się do Komitetu Dochodzeniowego Senatu i zapytałem: „Słuchajcie, dlaczego nie możecie dać mi wykwalifikowanego szpiega, takiego, jakich mają moi przyjaciele?”

Powiedzieli, że postarają się, ale wiedziałem, że i tak nic nie zrobią.

Wszystkie te drobne z pozoru sprawy doprowadziły mnie do granic wytrzymałości, a każdy psycholog powie wam, że nie potrzeba wiele, aby wyprowadzić człowieka z równowagi. Miałem dosyć ignorowania mnie, tego ciągłego lekceważenia.

Wtedy właśnie zacząłem myśleć o przestrzeni kosmicznej. Tam były miliardy kilometrów kwadratowych nicości, upstrzone gwiazdami, których nie udało się zliczyć. I dostatecznie dużo planet podobnych do Ziemi, żeby starczyło dla każdego mężczyzny, kobiety i dziecka. Na pewno znajdzie się wolne miejsce także i dla mnie.

Kupiłem „Wielki rejestr wszechświata” i znajdującego się w strzępach „Pilota galaktycznego”. Przeczytałem „Księgę pływów grawitacyjnych” i „Tabele pilota międzygwiazdowego”. Wreszcie stwierdziłem, że więcej już się nie nauczę.

Wszystkie oszczędności poszły na stary gwiazdny kliper Chryslera. Ten antyk miał przecieki tlenu wzdłuż nieszczelnych spawów, nadwrażliwy stos atomowy i napęd zakrzywiający tor lotu, który sprawiał, że nie wiadomo było właściwie, gdzie się doleci. Dosyć niebezpieczny, ale ryzykowałem co najwyżej własnym życiem. A przynajmniej tak sądziłem.

Dostałem więc paszport, załatwiłem deklaracje celne, certyfikat i resztę potrzebnych papierów oraz zastrzyki przeciw chorobie kosmicznej. Odebrałem wypłatę za ostatni tydzień i pomachałem w stronę warczących kamer. W domu spakowałem ubrania i powiedziałem do widzenia szumiącemu monotonna podsluchiawczowi. Na ulicy uściśnąłem dłoń mojemu biednemu szpiegowi i życzyłem mu więcej szczęścia.

Spaliłem za sobą wszystkie mosty.

Pozostały tylko ostatnie formalności, więc pospieszyłem do Biura Ostatecznej Odprawy. Urzędnik o nienaturalnie białych dłoniach i sztucznej opaleniznie na twarzy popatrzył na mnie z niesmakiem.

— Gdzie chce pan lecieć? — zapytał.

— W kosmos — odparłem wesoło.

— Oczywiście. Ale dokąd dokładnie?

— Nie wiem jeszcze. Po prostu w kosmos. Głęboki kosmos. Przed siebie.

Urzędnik westchnął ciężko.

— Jeśli mam dokonać odprawy, musi pan określić to bardziej precyzyjnie. Zamierza pan osiedlić się na planecie leżącej w amerykańskim kosmosie? A może wyemigrować do brytyjskiego? Duńskiego? Albo francuskiego?

— Nie wiedziałem, że są jacyś właściciele kosmosu — odpowiedziałem ze zdziwieniem.

— Więc jest pan po prostu niedoinformowany — skwitował z pełnym wyższości uśmiechem. — Stany Zjednoczone określiły, że do nich należy kosmos między koordynatami 2XA a D2B, poza niewielkim i mało znaczącym fragmentem przyznanym Meksykowi. Rosja ma przestrzeń między koordynatami 3DB i LO2 — nic ciekawego, mogę pana zapewnić. Są jeszcze sektory belgijski, chiński, cejloński, nigeryjski...

— A gdzie jest wolny kosmos? — przerwałem mu.

— Nie ma takiego.

— Wcale? To jak daleko sięgają granice?

— Do nieskończoności — odparł dumnie.

Na moment zrobiło mi się niedobrze. Nigdy nie przyszła mi do głowy myśl, że każdy skrawek bezkresnego kosmosu ma już swego właściciela. Ale z drugiej strony to rzecz normalna. Przecież ludzie mają głęboko zakorzenione poczucie własności.

— Chcę więc polecieć do amerykańskiego sektora — zdecydowałem. Wtedy zdawało się to nie mieć żadnego znaczenia, chociaż przyszłość pokazała, że było inaczej.

Urzędnik poważnie pokiwał głową. Sprawdził moje dane aż do wieku pięciu lat — uważając, że głębiej nie ma już sensu zaglądać — i wydał mi ostateczne zezwolenie.

W porcie kosmicznym już wcześniej zajęto się moim statkiem, więc zdołałem wystartować nie rozrywając śluz. Dopiero gdy Ziemia najpierw skurczyła się do rozmiarów punkciku, aż w końcu zniknęła, uświadomiłem sobie, że wreszcie jestem sam.

Pięćdziesiąt godzin później, przeprowadzając rutynową kontrolę zapasów, zauważyłem że jeden z worków zawierających warzywa ma kształt niepodobny do pozostałych. Otworzyłem go i zamiast stu funtów ziemniaków znalazłem dziewczynę.

Pasażerka na gapę. Przyglądałem się jej z otwartymi ustami.

— Nie pomożesz mi wydostać się z tego opakowania? — zapytała. — Może wolisz z powrotem zamknąć worek i zapomnieć, że mnie widziałeś?

Nie pozostało mi nic innego, jak pomóc jej wyjść. Była szczupłą dziewczyną o rudoblond włosach, odcieniem przypominających płomień wydobywające się z dysz statku kosmicznego. Jej przybrudzona twarz miała zuchwały wyraz, a błękitne oczy przysłaśniała mgiełka rozmarzenia. Na Ziemi bez wahania przeszedłbym dwadzieścia kilometrów, żeby się z nią spotkać. W kosmosie nie byłem jednak tego taki pewien.

— Możesz dać mi coś do jedzenia? — zapytała. — Od startu żywiłam się wyłącznie surową marchewką.

Przygotowałem jej kanapkę, a kiedy jadła, zapytałem:

— Co tu robisz i skąd się wzięłaś?

— Nie rozumiałbyś — mruknęła między kęsami.

— Zrozumiałbym na pewno.

Podeszła do bulaja i wyjrzała przezeń na gwiazdy — głównie amerykańskie — jaśniejące w pustce amerykańskiego kosmosu.

— Chciałam być wolna — wyjaśniła.

— Co?

Zmęczona opadła na moją koję.

— Zapewne uznasz mnie za romantyczkę — powiedziała cicho. — Należę do głupców, którzy ciemną nocą recytują sobie poezje i płaczą przed jakimś idiotycznym posążkiem.

Żółte jesienne liście wywołują we mnie drzenie, a rosa na zielonej łące wydaje mi się łzami Ziemi. Mój psychiatra twierdzi, że nie pasuję do otoczenia.

Wyraźnie zmęczona przymknęła oczy. Siedzenie w worku na ziemniaki przez pięćdziesiąt godzin rzeczywiście może być wyczerpujące.

— Realia życia na Ziemi przygnębiały mnie — ciągnęła. — Nie mogłam ich ścierpieć — dyscyplina, niedosyt, zimna wojna, gorąca wojna, wszystko. Chciałam śmiać się na świeżym powietrzu, biegać wśród zielonych pól, spacerować samotnie przez mroczne lasy, śpiewać...

— Ale dlaczego wybrałaś akurat mnie?

— Ty też szukałeś wolności. Jeśli nalegasz, odejdę.

To był dość głupi pomysł, szczególnie tu na statku, gdzieś w głębi kosmosu. A nie miałem wystarczająco dużo paliwa, żeby zawrócić.

— Możesz zostać — rzekłem wreszcie.

— Dziękuję — powiedziała bardzo miękko. — A więc rozumiesz.

— Oczywiście, oczywiście. Najpierw jednak musimy sobie wyjaśnić lalka spraw. Przede wszystkim... — Ale ona już zasnęła na mojej koi, z pełnym nadziei uśmiechem na ustach.

Natychmiast przeszukałem jej torebkę. Znalazłem pięć szminek, puderniczkę, flakonik perfum Venus V, kieszonkowe wydanie poezji i odznakę z napisem „Agent specjalny, FBI”.

Oczywiście podejrzewałem to. Dziewczyny nie mówią o sobie w ten sposób, ale szpiedzy zawsze.

Miło było wiedzieć, że mój rząd wciąż się o mnie troszczy. Dzięki temu kosmos wydawał się mniej obcy.

Statek coraz bardziej zagłębiał się w amerykański sektor. Pracując po piętnaście godzin na dobę zdołałem zachować w przyzwoitym stanie napęd zakrzywiający tor lotu, stos atomowy w miarę chłodny i nawet pouszczelniałem dziury na spawach kadłuba. Mavis O’Day (bo tak nazywała się moja agentka) przygotowywała wszystkie posiłki, zajmowała się utrzymaniem porządku, a przy okazji nafaszerowała cały statek mnóstwem miniaturowych kaset. Szumiały okropnie, ale udawałem, że tego nie zauważam.

Mimo wszystko nawet w tych okolicznościach stosunki z panną O’Day układały się całkiem poprawnie.

Podróż przebiegała dosyć monotannie, nawet szczęśliwie, do czasu aż to się wydarzyło.

Właśnie drzemałem przy konsoli, kiedy nagle intensywne światło rozbłysło przed dziobem, nieco z prawej. Oskoczyłem do tyłu, przewracając Mavis, która właśnie wkładała nową rolkę filmu do swojej kamery numer trzy.

— Przepraszam — wyjąkałem.

— Och, depcz mnie, kiedy tylko chcesz — odpowiedziała ze śmiechem.

Pomogłem jej wstać. Bliskość Mavis była niebezpiecznie przyjemna, a oszałamiający zapach Venus V drażnił mi nozdrza.

— Już możesz mnie puścić — rzekła.

— Wiem — odpowiedziałem i trzymałem dalej. Pobudzony jej bliskością, jakby z daleka usłyszałem własny głos:

— Mavis... nie znamy się długo, ale...

— Tak, Bill? — zapytała ciekawie.

W szaleństwie tej chwili zapomniałem o naszej zależności i obowiązującej relacji podejrzany — szpieg. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć, ale właśnie wtedy na zewnątrz znów rozbłysło światło.

Puściłem dziewczynę i pospieszyłem do konsoli. Z trudem zatrzymałem stary kliper gwiazdny i

rozejrzałem się wokół.

Przed nami, w bezkresie kosmosu, wisiał niewielki odłam skalny. Na nim znajdował się chłopiec w kombinezonie kosmicznym, trzymający pudełko flar i tulący do siebie pieska przyodzianego także w strój próżniowy.

Pospiesznie wciągnęliśmy go do wnętrza i rozpięliśmy kombinezon.

— Mój piesek... — odezwał się chłopiec.

— Nic mu nie jest, synku — uspokoiłem go.

— Bardzo przepraszam, że wprosiłem się w ten sposób.

— Nie ma o czym mówić. Co tam robiłeś?

— Proszę pana — zaczął drżącym głosem — muszę zacząć od początku. Mój tata był doświadczalnym pilotem kosmicznym i zginął na posterunku, próbując pokonać barierę światła. Mama ostatnio jeszcze raz wyszła za męża. Jej obecny małżonek to potężny człowiek z ciemnymi włosami, małymi rozbieganymi oczkami i wąskimi zaciśniętymi ustami. Do niedawna pracował w dużym sklepie. Nie lubił mnie od samego początku. Pewnie przypominałem mu mojego ojca, z jasnymi lokami, dużymi okrągłymi oczami i wesołym usposobieniem. Różnie między nami bywało. Aż wreszcie zmarł jego wuj (w podejrzanych zresztą okolicznościach) i odziedziczył posiadłość w brytyjskim sektorze kosmosu.

— Wyruszyliśmy więc tam naszym statkiem — ciągnął. — Kiedy dotarliśmy do tego opustoszałego miejsca, zwrócił się do mamy: „Rachel, on jest już wystarczająco duży, żeby samemu dać sobie radę”. Matka odpowiedziała: „Dirk, on jest taki młody!” Ale łagodna mama o wyjątkowo miękkim sercu nie mogła przeciwstawić się człowiekowi o nieugiętej woli, którego nigdy nie nazwę ojcem. Wpakował mnie w kombinezon, wręczył pudełko flar, ubrał Flickera w jego strój kosmiczny i powiedział: „W dzisiejszych czasach chłopiec z powodzeniem może sobie poradzić w kosmosie”. „Proszę pana, próbowałem się bronić, w zasięgu dwustu lat świetlnych nie ma tu żadnej planety...”. „Poradzisz sobie”, przerwał mi i wypchnął na tę skałę.

Dzieciak urwał, żeby zaczerpnąć powietrza, a Flicker popatrzył na mnie wilgotnymi, okrągłymi oczami. Dałem psu miskę mleka i chleb, i patrzyłem jak chłopak je kanapkę z masłem orzechowym. Mavis zaprowadziła go wreszcie do pomieszczenia mieszkalnego i troskliwie ułożyła do łóżka.

Wróciłem do kokpitu, ponownie uruchomiłem napęd i włączyłem interkom.

— Obudź się, ty mały idioto! — usłyszałem głos Mavis.

— Niech mi pani da spać — bronił się dzieciak.

— Obudź się! Po co Kongres cię tu przysłał? Czy oni nie wiedzą, że to sprawa FBI?

— On został przeklasyfikowany na podejrzanego 10-F. Wymaga więc pełnej inwigilacji.

— Tak, ale od tego ja tu jestem — krzyknęła dziewczyna.

— W poprzedniej sprawie nie poradziła sobie pani jak należy. Przykro mi, ale bezpieczeństwo jest najważniejsze.

— A więc przysłali ciebie — powiedziała Mavis łkając. — Dwunastoletnie dziecko...

— Za siedem miesięcy będę już miał trzynaście lat.

— Dwunastoletnie dziecko! A ja tak bardzo się starałam! Studiowałam, czytałam książki, chodziłam na wieczorowe kursy, słuchałam wykładów...

— Ciężka sprawa — powiedział chłopiec ze współczuciem. — Ja chcę być doświadczalnym pilotem kosmicznym. W moim wieku to jedyny sposób, żeby wylatać trochę godzin. Sądzi pani, że pozwoli mi kierować tym statkiem?

Wyłączyłem interkom. Wreszcie powinienem czuć się doceniony. Całą dobę obserwowało mnie teraz dwoje szpiegów. To oznaczało, że byłem kimś. Kimś, z kogo nie wolno było spuszczać oczu.

Ale tak naprawdę moi szpiegowie to tylko dziewczyna i dwunastoletni chłopiec. Musieli widocznie sięgać już do głębokich rezerw, skoro przysyłali kogoś takiego.

Mój rząd wciąż mnie upokarzał w typowym dla siebie stylu.

Radziliśmy sobie dobrze kontynuując lot. Młody Roy, jak nazywaliśmy chłopca, przejął pilotowanie statku, a jego piesek siedział czujnie na miejscu drugiego pilota. Mavis nadal gotowała i dbała o porządek. Ja spędzałem czas na uszczelnianiu spawów. Byliśmy niezwykle szczęśliwą grupą składającą się ze szpiegów i podejrzanego.

Wreszcie znaleźliśmy nie zamieszkaną planetę, wyglądem przypominającą Ziemię. Podobała się szczególnie Mavis, bo była niewielka i dość ładna, z zielonymi łąkami i mrocznymi lasami, o jakich czytała w swoich poezjach. Młodemu Royowi podobały się czyste jeziora i góry, akurat odpowiednie do wspinaczki dla takiego młodzieńca jak on.

Wylądowaliśmy i zaczęliśmy się zagospodarowywać.

Młody Roy natychmiast zaopiekował się zwierzętami, które rozmroziłem po wyjęciu z zamrażarki. Mianował się strażnikiem krów i koni, obrońcą kaczek i gęsi, wartownikiem świń i kurcząt. Zajął go to tak bardzo, że jego raporty kierowane do senatu były coraz rzadsze, aż wreszcie zupełnie przestał je wysyłać.

Naprawdę nie można było spodziewać się niczego więcej po szpiegu w jego wieku.

Najpierw rozstawiłem kopulaste namioty i obsiałem kilka akrów gruntu. Potem wspólnie z Mavis odbywaliśmy długie spacerunki po ciemnym lesie i otaczających go żółtozielonych polach.

Pewnego dnia zabraliśmy ze sobą lunch i urządziliśmy piknik u stóp niewielkiego wodospadu. Rozpuszczone włosy Mavis spływały na ramiona, a w jej błękitnych oczach jaśniało coś zachwycającego. Zupełnie nie wyglądała na szpiega i wciąż musiałem sobie przypominać o naszych rolach.

— Bill — odezwała się cicho po chwili milczenia.

— Tak?

— Nic.

Dłonią rozczesywała żdzbla traw. Nie wiedziałem, co mają znaczyć te objawy zażenowania. Ale nagle jej dłoń znalazła się w pobliżu mojej. Nasze palce zetknęły się i splotły ze sobą.

Długo milczeliśmy. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy.

— Bill?

— Tak?

— Bill, mój drogi, czy kiedykolwiek...

Nigdy się nie dowiem, co zamierzała powiedzieć, ani jak dalej potoczyłaby się rozmowa. W tej właśnie chwili ciszę zakłócił ryk silników. Z nieba opadał statek kosmiczny.

Ed Wallace — jego pilot — był siwowłosym starszym mężczyzną w kapeluszu z wygiętym rondem i w trenczu. Pracował podobno w Clear-Flo i zajmował się oczyszczaniem zasobów wodnych. Ponieważ nie potrzebowałem skorzystać z jego usług, podziękował mi i odszedł.

Ale nie oddalił się na dobre. Silnik jego statku ryknął raz i zapadła przerażająca cisza.

Przejrzałem mechanizm napędowy i stwierdziłem, że rozpadł się zawór sfinksowy. Zrobienie nowego za pomocą podręcznych narzędzi zajęłoby mi miesiąc.

— To straszny pech — mruknął. — Chyba będę musiał tu zostać.

— Chyba tak — przyznałem.

Z zalem popatrzył na swój statek.

— Nie mogę zrozumieć, jak to się mogło stać.

— Może dlatego, że potraktował pan zawór piłą — zasugerowałem i odszedłem. Widać było bowiem wyraźne ślady po cięciu.

Pan Wallace udał, że mnie nie usłyszał. Tego wieczoru podsłuchałem jego raport nadawany przez radio międzygwiazdne, które funkcjonowało idealnie. Jego pracodawcą, co dość ciekawe, nie było żadne Clear–Flo, ale Wywiad Centralny.

Pan Wallace był dobrym farmerem, chociaż większość czasu spędzał wędząc wokół z kamerą i notatnikiem. Jego obecność zmusiła do większych wysiłków młodego Roya. A ja wraz z Mavis przestaliśmy spacerować po mrocznym lesie i wszystko wskazywało na to, że nie znajdziemy okazji, by wrócić na żółtozielone pola i dokończyć nie dopowiedziane zdania.

Za to nasze małe osiedle rozrastało się, bowiem docierali tu i inni goście. Wpadli mężczyzna wraz z żoną z Wywiadu Regionalnego, udając wędrownych zbieraczy owoców. Za nimi pojawiły się dwie fotograficzki, w rzeczywistości reprezentujące Wykonawcze Biuro Informacyjne, a wreszcie młody dziennikarz, który właściwie pracował dla Rady Moralności z Idaho.

Każdemu nawalał zawór sfinksowy, kiedy przychodził czas na opuszczenie planety.

Nie wiedziałem czy powinienem czuć się dumny, czy zawstydzony. Obserwowało mnie pół tuzina szpiegów, ale każdy z nich należał co najmniej do drugiej kategorii w tym fachu. Po kilku tygodniach pobytu na planecie niezmiennie angażowali się w pracę na farmie, zaniedbując wykonywanie swych obowiązków szpiegowskich.

Ich postępowanie wywoływało we mnie refleksje pełne goryczy. Wyobrażałem sobie siebie jako królika doświadczalnego dla nowicjuszy — kogoś, na kim wyostrzą sobie zęby. Byłem podejrzanym, którego oddawano pod nadzór szpiegom zbyt starym lub zbyt młodym, nieskutecznym, roztargnionym albo po prostu niekompetentnym. Postrzegałem siebie jako obiekt zainteresowania przydzielany szpiegom odstawianym na boczny tor, beztalenciom lub czekającym już tylko na emeryturę.

Ale na co dzień nie martwiło mnie to zbyt. Posiadałem pozycję, chociaż dość trudno było ją zdefiniować. Byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem na Ziemi, a moi szpiedzy tworzyli grono miłych i uczynnych ludzi.

Nasza mała kolonia była szczęśliwa i bezpieczna.

Myślałem, że tak pozostanie już na zawsze.

I nagle, pewnego feralnego wieczoru, nastąpiło nieoczekiwane ożywienie. Najwidoczniej przekazywano jakąś ważną wiadomość, bo szpiedzy uruchomili wszystkie radia. Musiałem poprosić kilku spośród nich, żeby wspólnie ją odbierali, bo bałem się o przeciążony generator.

Wreszcie radia zamilkły i szpiedzy zaczęli konferować.

Prowadzone szeptem narady trwały całymi godzinami. Następnego ranka zebrali się wszyscy w salonie, z twarzami bladymi i smutnymi. Mavis wystąpiła naprzód, przemawiając w imieniu całej

grupy.

— Zdarzyło się coś strasznego — rzekła do mnie. — Ale najpierw musimy ci coś zdradzić. Bill, nikt z nas nie jest tym, za kogo się podaje. Wszyscy jesteście szpiegami pracującymi dla rządu.

— Co? — udałem zdziwienie, nie chcąc nikogo urazić.

— To prawda — ciągnęła. — Obserwowaliśmy cię, Bill.

— Co? — powtórzyłem. — Nawet ty?

— Nawet ja — przyznała smutnym tonem Mavis.

— Ale teraz to już koniec — nie wytrzymał młody Roy.

To mną poruszyło.

— Dlaczego? — zapytałem, tym razem naprawdę zaskoczony.

Popatrzyli po sobie niezdecydowani. Wreszcie odezwał się pan Wallace, wyginając rondo kapelusza w zrogowaciałych dłoniach.

— Bill, powtórne pomiary wykazały właśnie, że ten sektor kosmosu nie należy do Stanów Zjednoczonych.

— A więc do jakiego kraju?

— Uspokój się — odparła Mavis. — Spróbuj zrozumieć.

Cały ten sektor został dziwnym trafem przeoczony w trakcie międzynarodowych pomiarów i teraz nie może zostać przywłaszczony przez żadne z państw. Ponieważ jesteś pierwszym, który się tu osiedlił, ta planeta i kilkanaście milionów kilometrów otaczającego ją kosmosu należą do ciebie, Bill.

Byłem tak zdziwiony, że aż odebrało mi mowę.

— W takiej sytuacji — ciągnęła Mavis — nie mamy prawa tu przebywać. Odlatujemy więc natychmiast.

— Ale przecież nie możecie! — wykrzyknąłem. — Nie naprawiłem zaworów sfinksowych w waszych statkach!

— Wszyscy szpiegdy mają przy sobie zapasowe — wyjaśniła nieśmiało.

Patrząc jak maszerują do swoich statków wyobraziłem sobie czekającą mnie samotność. Rząd

przestanie się mną zajmować. Nie będę już słyszał kroków w nocy, a gdy się odwrócę, nie ujrzę twarzy jakiegoś zaaferowanego szpiega.

Zgrzyt starej kamery nie będzie mnie już uspokajał przy pracy, a szum nie dostrojonego podsłuchiwacza kołysał do snu.

A jednak ogarnęło mnie uczucie zawodu, chyba nawet większe niż ich. Ci biedni, przejęci, niezdarni, partaczący robotę szpiegdy wracali do ruchliwego, przepojonego rywalizacją świata. Gdzie znajdują drugi tak wyrozumiały obiekt jak ja i takie urocze miejsce jak moja planeta?

— Do widzenia, Bill — rzekła Mavis wyciągając rękę.

Patrzyłem jak idzie do statku pana Wallace'a. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że przestała być już moim szpiegiem.

— Mavis! — krzyknąłem i pobiegłem za nią. Przyspieszyła kroku, ale złapałem ją za ramię. — Czekaj. Jest coś, o czym zacząłem mówić na statku. Chciałem wrócić do tego także podczas pikniku.

Starła się uwolnić z mojego uchwytu. Zupełnie nieromantycznie wycharczałem:

— Mavis, kocham cię.

Znalazła się w moich ramionach. Całując przekonywałem ją, że jej dom jest tutaj, na tej planecie z mrocznymi lasami i żółtozielonymi polami. Tutaj, ze mną.

Była zbyt szczęśliwa, żeby odpowiedzieć.

Słyszac że Mavis zostaje, młody Roy zastanowił się, co robić. Warzywa pana Wallace'a właśnie dojrzewały, więc chciał się nimi zająć. Wszyscy pozostali także mieli tu jakieś obowiązki, których nie mogli tak po prostu porzucić.

A więc oto jestem u siebie — władca, król, dyktator, prezydent, jakkolwiek chcę się nazwać. Szpiegdy zaczynają przybywać tu ze wszystkich krajów, nie tylko ze Stanów.

Żeby wykarmić wszystkich poddanych, wkrótce będę zmuszony importować żywność. Ale władze poszczególnych państw zaczynają odmawiać mi pomocy. Uważają, że przekupiłem ich szpiegów, żeby zdezerterowali.

Nie zrobiłem tego, przysięgam. Po prostu sami przylatują.

Nie mogę się poddać, bo to miejsce należy przecież do mnie. A nie mam serca, żeby odesłać ich tam, skąd przybyli. Zupełnie nie wiem, co robić.

Sądziacie zapewne, że z ludnością składającą się wyłącznie z byłych szpiegów z łatwością mógłbym sformować własny rząd. Niestety, zupełnie nie mogę na nich liczyć. Jestem absolutnym władcą planety zamieszkaną przez farmerów, mleczarzy, pasterzy i kowbojów, więc może przynajmniej nie będziemy głodować. Ale nie o to chodzi. Problem w tym, że nie wiem jak, u licha,

mam rządzić.

Przecież nikt spośród tych ludzi nie będzie dla mnie szpiegował.

Ask a Foolish Question

Niewłaściwe pytania

Mędrzec został stworzony, aby trwać, dopóki będzie trzeba. Dla jednych było to dość długo, według innych zupełnie krótko. Sam Mędrzec zaś uważał, że w sam raz.

Zdaniem jednych był ogromny, natomiast mały w opinii innych. Niektórzy sądzili, że jego konstrukcja jest bardzo prosta, ale byli też tacy, co uznawali ją za skomplikowaną.

Mędrzec był pewien, że jest taki, jaki powinien być. Nie na darmo był Mędrce. On wiedział.

Jeśli chodzi o rasę, która go stworzyła, to im mniej o niej mówić, tym lepiej. Oni także wiedzieli, ale nigdy nie zdradzili, czy wiedza ta dawała im satysfakcję.

Stworzyli Mędrca jako źródło wiadomości dla mniej wycwanionych ras i zniknęli w niezwykły sposób. Gdzie się udali, wie tylko Mędrzec.

Bo Mędrzec wie wszystko.

Tkwiał na swojej planecie, obiegającej jego słońce. Czas płynął szybko, jak oceniali niektórzy, lub wolno w opinii innych. Tylko dla Mędrca płynął właściwie.

W jego wnętrzu zawarte były Odpowiedzi. Znał naturę rzeczy, wiedział dlaczego są takie jakimi są, czym są i co to oznacza.

Mędrzec mógł wyjaśnić wszystko pod warunkiem, że zadało się właściwe pytanie. I bardzo chciał odpowiadać! Nie mógł się tego doczekać!

Przecież w tym właśnie celu go stworzono.

Cóż więc innego miałby robić Mędrzec?

Czekał zatem wciąż na istoty, które przybywałyby i zadawały pytania.

— Jak się pan czuje? — zwrócił się Morran, podpływając do starca.

— Lepiej — odparł Lingman, siląc się na uśmiech.

Nieważkość przynosiła ulgę. Chociaż Morran zużył mnóstwo paliwa, startując z minimalnym przyspieszeniem, słabe serce Lingmana z trudem to znosiło. Narowiło się i dęsało, pukało nerwowo w swej kruchej klatce z żeber, zacinało się i przyspieszało. Zachowywało się tak, jakby obrażone miało zamiar stanąć już na dobre.

Ale nieważkość niosła ulgę i słabe serce znów pracowało spokojnie.

Morran nie miał takich problemów. Jego masywne ciało było odporne na wysiłek i stres. Nie doświadczył jednego ani drugiego w trakcie tej wyprawy, jeśli tylko stary Lingman będzie żyć.

— Będę żył — mruknął starzec, jakby w odpowiedzi na nie wypowiedziane przecież pytanie. — Na tyle długo, żeby poznać prawdę.

Morran dotknął przycisków i statek wśliznął się w podprzestrzeń niczym węgorz.

— Poznamy ją — zapewnił. Pomógł staremu uwolnić się z pasów. — Znajdziemy Mędrca!

Lingman przytaknął młodemu partnerowi. Zapewniali się o tym nawzajem już od lat. Wszystko zaczęło się od pomysłu Lingmana. Później, po ukończeniu Cal Techu, zapalił się do niego także Morran. Wspólnie już prowadzili poszukiwania w całym układzie słonecznym. Zbierali legendy o starożytnej rasie humanoidalnej, która znała odpowiedzi na wszystkie pytania. Stworzyła Mędrca i zniknęła.

— Pomyśl tylko — rzekł Morran. — Wyjaśnienie absolutnie wszystkiego!

Jako fizyk miał wiele pytań do Mędrca. O rozszerzający się wszechświat, siłę wiążącą jądra atomowe, nowe i supernowe, formowanie się planet, przesunięcie ku czerwieni i teorię względności oraz tysiące innych problemów nurtujących umysł naukowca.

— Tak — zgodził się Lingman.

Przybliżył się do tablicy wizyjnej i spojrzał na ponurą prerię iluzorycznej podprzestrzeni. Był biologiem i starym człowiekiem. Miał tylko dwa pytania.

Czym jest życie?

Co oznacza śmierć?

Po wyjątkowo długich poszukiwaniach purpury Lek i jego przyjaciele zebrali się na rozmowę. Purpura zawsze rozrzedzała się w sąsiedztwie skupisk gwiazd. Nikt nie wiedział dlaczego, więc wreszcie należało o tym porozmawiać.

— Wiecie, chyba poszukam tego Mędrca — odezwał się Lek językiem *ollegat* — mową poprzedzającą podjęcie decyzji.

— A po ci on? — zapytał Ilm językiem *hvest* — lekkiej kpiny. — Dlaczego chcesz wiedzieć? Czy nie wystarcza ci już praca zbieracza purpury?

— Nie — odpowiedział Lek, wciąż językiem poprzedzającym podjęcie decyzji. — Nie wystarcza.

Wielką pracą Leka i jego pobratymców było zbieranie purpury. Znajdowali ją, choć w znikomych ilościach, w wielu miejscach kosmosu. Powoli budowali z niej ogromny kopiec. Ale czemu miał służyć, tego nie wiedział nikt.

— Pewnie zapytasz go, czym jest purpura? — zainteresował się Ilm, kładąc się pomiędzy dwiema gwiazdami.

— Zgadłeś. Zbyt długo trwamy w niewiedzy. Musimy poznać prawdziwą naturę purpury i jej znaczenie. Musimy się dowiedzieć, dlaczego jest tak ściśle związana z naszym życiem.

Ostatnie zdania Lek wypowiedział już w języku *ilgret* — języku zapoczątkowania wiedzy.

Ilm i pozostali nie starali się oponować za pomocą języka argumentów. Nie mieli wątpliwości, że wiedza jest ważna. Zawsze, od narodzin czasu, Lek, Ilm i pozostali zbierali purpurę. Teraz przyszła pora na rozwiązanie najważniejszej dla nich tajemnicy wszechświata — czym jest purpura i po co wznoszą z niej kopiec.

Oczywiście mógł to wyjaśnić wyłącznie Mędrzec. Wszyscy słyszeli o Mędrцу, stworzonym przez obcą rasę, która zniknęła dawno temu.

— Zapytasz jeszcze o coś? — zainteresował się Ilm.

— Nie wiem. Może o gwiazdy. Wszystko inne nie jest ważne.

Skoro żyli od początku świata, nie interesowali się śmiercią. A ponieważ ich liczba była niezmienna, nie rozmyślali także o życiu.

Tylko purpura? I kopiec?

— Ruszam! — wykrzyknął Lek narzeczem podjętej decyzji.

— Powodzenia! — życzyli mu bracia językiem wielkiej przyjaźni.

Lek oddalił się, skacząc z gwiazdy na gwiazdę.

Na swej małej planecie spoczywał samotny Mędrzec, czekający na pytających. Od czasu do czasu mruczał sobie odpowiedzi. To był jego przywilej. On wiedział.

Czekał, a czas żeby przybyć i pytać nie był ani zbyt długi, ani zbyt krótki dla jakiegokolwiek istoty z kosmosu.

Było ich osiemnastu, zebranych w jednym miejscu.

— Wzywam zasadę osiemnastu — wykrzyknął jeden.

I pojawił się kolejny, który dotychczas nigdy nie istniał, zrodzony z zasady osiemnastu.

— Musimy udać się do Mędrca — zaproponował jeden. — Naszym życiem rządzi zasada osiemnastu. Gdzie jest osiemnastu, tam zaraz będzie i dziewiętnasty. Dlaczego tak jest?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć.

— Gdzie ja jestem? — zapytał dziewiętnasty.

Jeden odciągnął go na bok, żeby udzielić wyjaśnień.

Zostało siedemnastu.

— I musimy się dowiedzieć — zawołał któryś — dlaczego każde miejsce jest inne, chociaż odległość nie istnieje.

To też był problem. Jest się tutaj. Później jest się tam. Tak po prostu — żadnego ruchu, żadnego powodu. A jednak jest się w innym miejscu.

— Gwiazdy są zimne — zawołał jeden.

— Dlaczego?

— Musimy udać się do Mędrca.

Słyszeli legendy, znali opowieści.

— Kiedyś istniała rasa, podobna do naszej, i ona wiedziała i powiedziała Mędrcom. A później udała się tam, gdzie nie ma miejsca, a jest odległość.

— Jak się tam dostaniemy? — zapytał dziewiętnasty, teraz już posiadając nową wiedzę.

— Udamy się tam.

I osiemnastu zniknęło. Jeden został. W zamyśleniu popatrzył na bezkres lodowatej gwiazdy i także zniknął.

— Te stare legendy mówiły prawdę — szepnął Morran. — Jest tu.

Wynurzyli się z podprzestrzeni w miejscu, które wskazywały legendy, i przed nimi wyrosła gwiazda niepodobna do żadnej innej. Morran na oczekaniu wynalazł dla niej klasyfikację, ale nie miało to znaczenia. Drugiej takiej nie było.

Wokół gwiazdy krążyła planeta i ona także nie przypominała żadnej innej. Morran sprecyzował

nawet powody tego, ale nie miało to znaczenia. Nie było drugiej takiej planety.

— Proszę zapiąć pasy — rzekł. — Wyląduję tak delikatnie, jak tylko się da.

Lek zbliżył się do Mędrca, sprawnie przeskakując z gwiazdy na gwiazdę. Uniósł go w dłoniach i obejrzał z zainteresowaniem.

— A więc ty jesteś Mędrce — przemówił.

— Tak.

— Zatem powiedz mi — poprosił Lek, sadowiąc się wygodnie w przestrzeni pomiędzy dwiema gwiazdami. — Powiedz mi, czym jestem.

— Fragmentem — rzekł Mędrzec. — Drobiną.

— Hm — mruknął Lek, urażony taką opinią. — Mógłbyś powiedzieć coś więcej. Celem istnienia mojej rasy jest zbieranie purpury i budowanie z niej kopca. Czy możesz mi wytłumaczyć prawdziwy sens tego zajęcia?

— Twoje pytanie jest bez znaczenia — wyjaśnił Mędrzec.

Wiedział, czym naprawdę jest purpura i czemu ma służyć kopiec. Ale wyjaśnienie tego kryło się w dłuższej odpowiedzi. Bez niej problem, z jakim przybył Lek, był niemożliwy do rozwiązania, a przybysz nie zadał właściwego pytania.

Lek sformułował jeszcze wiele innych problemów, ale Mędrzec nie był w stanie mu pomóc. Przybysz postrzegał rzeczy na swój specyficzny sposób. Sięgał jedynie części prawdy, lecz nie widział całej reszty. A jak wytłumaczyć ślepemu na przykład wygląd zieleni?

Mędrzec nawet nie próbował. Nie na tym polegało jego zadanie.

Wreszcie Lek roześmiał się pogardliwie. Jedna z gwiazd na drodze skąd przybył rozbłysła, gdy dotarł do niej ten dźwięk, lecz zaraz przygasła.

Lek odszedł, przeskakując z gwiazdy na gwiazdę.

Mędrzec wiedział. Ale najpierw trzeba było mu zadać właściwe pytania. Rozmyślał nad tym ograniczeniem, spoglądając w gwiazdy, które nie były ani za duże, ani za małe, tylko akurat właściwych rozmiarów.

Odpowiednie pytania. Rasa, która mnie stworzyła, powinna wziąć to pod uwagę, pomyślał. Powinni zaakceptować pewne pozorne nonsensy, umożliwić próby wyjaśnienia.

Mędrzec zadowalał się mruzeniem odpowiedzi do samego siebie.

Osiemnaście istot przybyło do Mędrca, nie idąc czy lecąc, ale po prostu zjawiając się. Drżąc z zimna w świetle gwiazd spoglądali w górę, na potężnego wszechwiedzącego.

— Jeśli odległość nie istnieje, jak rzeczy mogą istnieć w różnych miejscach? — zapytał jeden.

Mędrzec wiedział, czym jest odległość i czym są różne miejsca. Ale nie mógł udzielić odpowiedzi na tak sformułowane pytanie. Istniała odległość, ale nie w rozumieniu tych istot. I były różne miejsca, ale w innym znaczeniu niż one to postrzegały.

— Zapytajcie inaczej — poradził z nadzieją.

— Dlaczego tutaj jesteśmy niscy, a tam wysocy? — spytał inny. — Dlaczego tam jesteśmy grubi, a tu nie? I dlaczego gwiazdy są zimne?

Mędrzec wiedział to wszystko. Wiedział dlaczego gwiazdy są zimne, ale nie potrafił wyjaśnić tego w kategoriach gwiazd czy zimna.

— Dlaczego funkcjonuje zasada osiemnastu? — zapytał jeszcze inny. — Dlaczego gdy zbierze się osiemnastu, przybywa kolejny?

Ale i to było oczywiście częścią innego, większego pytania, które nie zostało zadane.

W wyniku zasady osiemnastu powstał kolejny i dziewiętnaście istot zniknęło.

Mędrzec mruczał do siebie właściwe pytania i sam sobie na nie odpowiadał.

— Udało się — rzekł Morran.

Poklepał Lingmana po ramieniu. Delikatnie, bo staruszek sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł rozpaść się na kawałki.

Stary biolog był wyczerpany. Policzki miał zapadnięte, skórę żółtą i poznaczoną głębokimi bruzdami, a pod jej cienką warstwą wyraźnie rysowały się wszystkie nierówności kości czaszki.

— Ubierajmy się — wysapał ciężko.

Nie chciał zmarnować ani chwili. Nie pozostało mu już dużo czasu.

Odziani w kombinezony ruszyli ledwie widoczną ścieżką.

— Nie tak szybko — mruknął starzec.

— Dobrze.

Szli wolno ciemną dróżką na planecie niepodobnej do żadnej innej, krążącej wokół słońca nie przypominającego żadnego innego.

— Tam — wskazał Morran.

Legendy określały dokładnie: ścieżka wiedzie do kamiennych stopni. Po stopniach na dziedzińcu. A na nim... Mędrzec!

Postrzegali go jako biały ekran umocowany na ścianie. W ich oczach Mędrzec był bardzo prosty.

Ligman złożył drżące dłonie. To było ukoronowanie trwającej całe życie pracy: zdobywania pieniędzy, sporów, zbierania strzępów przekazów. Tutaj znajdował się jej kres.

— Pamiętasz? — rzekł do towarzysza. — Będziemy zaszokowani. Prawda stanowi coś, czego sobie nawet nie potrafiliśmy wyobrazić.

— Jestem gotów — odpowiedział Morran, spoglądając przed siebie roziskrzonym wzrokiem.

— A więc dobrze. Mędrze, czym jest życie? — zapytał Lingman swym słabym, starczym głosem.

Odpowiedź dotarła bezpośrednio do ich mózgów:

— To pytanie nie ma sensu. Poprzez określenie „życie” pytający odnosi się do fragmentarycznego fenomenu, niewytłumaczalnego w oderwaniu od całości.

— A więc czego część stanowi życie? — nie ustępował starzec.

— To pytanie, w obecnej formie, nie pozwala na udzielenie jakiegokolwiek odpowiedzi. Pytający wciąż określa „życie” z własnego, jednostronnego punktu widzenia.

— A więc odpowiedz na to ze swojego punktu widzenia — odezwał się Morran.

— Mogę tylko udzielać odpowiedzi na właściwe pytania.

Mędrzec ponownie zadumał się nad przykrymi ograniczeniami nałożonymi przez swych twórców.

Cisza.

— Czy wszechświat się rozszerza? — zapytał dla odmiany Morran.

— „Rozszerzanie się” to określenie nie mające zastosowania w tej sytuacji. Wszechświat, jak postrzega to pytający, jest pojęciem abstrakcyjnym.

— Czy możesz powiedzieć nam cokolwiek? — zapytał wreszcie Morran.

— Mogę udzielić odpowiedzi na każde odpowiednio zadane pytanie, dotyczące natury rzeczy.

Obaj mężczyźni popatrzyli po sobie.

— Chyba wiem, o co mu chodzi — rzekł ze smutkiem Lingman. — Nasze podstawowe założenia są błędne. Wszystkie.

— To niemożliwe — zaprotestował Morran. — Fizyka, biologia...

— Częściowe prawdy — wyjaśnił starzec ze znużeniem w głosie. — Przynajmniej to ustaliliśmy. Dowiedzieliśmy się, że nasze wnioski dotyczące obserwowanych zjawisk są niewłaściwe.

— Ale zasada najprostszej hipotezy...

— To tylko teoria.

— A życie... Na pewno mógłby przynajmniej odpowiedzieć, czym ono jest.

— Popatrz na to z innej strony — zaprotestował Lingman. — Przypuśćmy, że zapytałbyś: „Dlaczego urodziłem się w znaku Skorpiona, w koniunkcji z Saturnem?” Nie byłbym w stanie odpowiedzieć na to w kategorii zodiaku, bo on nie odgrywa tu żadnej roli.

— Rozumiem — powiedział powoli Morran. — On nie potrafi odpowiadać na pytania formułowane na bazie naszych założeń.

— Chyba właśnie w tym rzecz. A nie jest w stanie wskazać błędu w tych założeniach. Jest zaprogramowany do odpowiednich pytań, zadawanych na podstawie wiedzy, której niestety nie posiadamy.

— Nie potrafimy więc zadać właściwego pytania? Nie mogę w to uwierzyć. Musimy znać jakieś podstawy. — Morran zwrócił się do Mędrca. — Czym jest śmierć?

— Nie mogę wyjaśnić istoty przemiany.

— Śmierć to przeistoczenie! — wykrzyknął Morran, a Lingman odwrócił się podekscytowany. — Teraz już dokądś zmierzamy!

— Czy przemiana jest abstraktem? — zapytał starzec.

— Pojęcie przeistoczenia można zakwalifikować jako A — fałszywą prawdę lub B — częściową prawdę w przypadku specyficznej sytuacji.

— Co należy uwzględnić w tym przypadku?

— Jedno i drugie.

To było największe ich osiągnięcie. Nie potrafili wyciągnąć z Mędrca niczego więcej. Próbowali

przez drugie godziny, lecz prawda coraz bardziej się oddalała.

— To może prowadzić do szaleństwa — stwierdził wreszcie Morran. — To coś zna istotę wszechświata, a nie może nam jej wyjawić, jeśli nie zadamy tego jedyne go, właściwego pytania. Ale skąd mamy wiedzieć, jak ono brzmi?

Lingman usiadł na ziemi i wsparł się plecami o kamienną ścianę. Przymknął oczy.

— Barbarzyńcy — oto czym jesteśmy — odezwał się wreszcie Morran, spacerując w tę i z powrotem przed Mędrce m. — Niech pan sobie wyobrazi buszmena, który przychodzi do fizyka i pyta, dlaczego nie może trafić strzałą w Słońce. Ten może to wyjaśnić tylko w naukowych kategoriach. Co więc nastąpi?

— Fizyk nie będzie nawet próbować — odpowiedział Lingman słabym głosem. — Zna ograniczoną zdolność pojmowania pytającego.

— Jak wyjaśnić buszmenowi, że Ziemia się obraca? — rzucił Morran ze złością. — Albo jak wyłożyć mu teorię względności, oczywiście przez cały czas posługując się naukową terminologią?

Lingman, z wciąż przymkniętymi oczami, nie odpowiedział.

— My występujemy obecnie w roli takich buszmenów. Ale tutaj przepaść jest znacznie większa. Robak też chce poznać naturę ziemi i dlaczego jest jej tak dużo.

— Pójdziemy już, proszę pana? — zapytał po chwili.

Oczy Lingmana pozostawały zamknięte. Jego cienkie szponowate palce były zaciśnięte, a policzki jeszcze bardziej się zapadły. Wyraźnie widać było zarysy spojeń kości czaszki.

— Proszę pana! Proszę pana!

Mędrzec wiedział, że reakcji już nie będzie.

Samotny na własnej planecie, która nie jest ani mała, ani duża, tylko dokładnie taka jak trzeba, czeka Mędrzec. Nie jest w stanie pomóc przybywającym do niego, bo nawet on podlega ograniczeniom.

Może odpowiedzieć tylko na właściwe pytania.

Wszechświat? Życie? Śmierć? Purpura? Zasada osiemnastu?

Częściowe prawdy, półprawdy, okruchy wielkiej niewiadomej.

Mędrzec sam zadaje sobie pytania. Prawidłowe pytania, których nikt nie jest w stanie zrozumieć.

Jak więc mieliby pojąć prawdziwe odpowiedzi?

Te pytania nigdy nie zostaną zadane, a Mędrzec pamięta o czymś, o czym jego twórcy wiedzieli, lecz zapomnieli.

Aby zadać pytanie, trzeba już znać przynajmniej część odpowiedzi.